

ZAMACH CARYCY

divum

Caryca

Kacseroym

BIBLIOTEKA NOWOŚCI W WARSZAWIE •

Redakcja i Administracja

ulica Krakowskie Przedmieście 93.

Konto w P. K. O. 13355. Tel. 275-03

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:

Kwartalnie (13 tomów) 11 zł.

Półrocznie (26 „) 21 zł.

Książka wychodzi w każdą sobotę.

Nr. 63.

Redaktor i wydawca. **Stanisław Cukrowski.**

TAJEMNICE CARÓW ROSJI

G. P. DANILEWSKI

ZAMACH CARYCY

ROMANS HISTORYCZNY

PRZEKŁAD

EDMUNDA REZERSKIEGO

BIBLIOTEKA NOWOŚCI W WARSZAWIE

Wydawca: Stanisław Cukrowski.

Mirowicz wyjechał do Petersburga w dzień po wyjeździe cara ze Szlisselburskiej fortecy, i napisał ztamtąd Pczołkinej, że delegowanego zagranicę, dano sowiłą zapomogę na podróż i wyekwirowanie, a wkrótce z Narwy zawiadomił ją, że znajduje się już w drodze do oddziału Buturlina.

Pczołkina starała się uporządkować swe myśli, obmyślić swą sytuację, uspokoić się, — niepokoiła się coraz więcej. Wszystko, co z nią zaszło w ostatnich czasach, było tak nieoczekiwane, tak dziwne.

Przypomniała sobie swój przyjazd do Szlisselburga, przeglądała w umyśle najdrobniejsze szczegóły pierwszych dni swego pobytu w rodzinie Czurmantiejewa. Myślała tu znaleźć spokój po wzruszeniach niedawnego życia dworskiego; lecz, dowiedziawszy się niektórych szczegółów o nieznanym aresztancie, męczącym się w sąsiedniej z domem komisarza baszcie Świetlicznej, straciła spokój ducha. Tajemniczy, nieznanym przez świat obraz nieszczęsnego więźnia, odrazu przykuł do siebie uwagę Pczołkinoj. Dnie i noce bez przerwy myślała o nim, chciwie przysłuchiwała się najmniejszym napomknieniom o nim w fortecy, starała się po swojemu wyobrazić sobie jego niewidzialne, ukryte za murami baszty Świetlicznej, rysy. Wtedy jeszcze nie było wypadku z pożarem w pomieszczeniu księcia; tajemniczy, tak strzeżony więzień znajdował się przez podwórze, naprzeciwko mieszkania komisarza, w specjalnej sekretnej celi.

Poliksena nie spuszczała oczu z ganku tej baszty, gdzie, w milczeniu, chodził wartownik z karabinem i co wieczór od góry blado oświetlało się, ogrodzone czarną kratą, wąskie okno. Dopytywać się Czurmantiejewa Pczołkina obawiała się;

lecz dobroduszny komisarz sam niekiedy wtracał to lub inne słowo o zamkniętym. Z głębi duszy żałował powierzonego mu męczennika i cieszył się z każdej pogłoski, rzadko bardzo dobiegającej ze stolicy, o możliwości polepszenia jego doli. Zmian, jednakże, wtedy jeszcze nie było. Dnie płynęły za dniami w tem samym, dawno wymierzonym, martwo—cichem i jednostajnem śródowisku.

Skończywszy zajęcia z dziećmi, Poliksena siadała z robótką w ich pokoju szkolnym i podczas kiedy dziewczynki Czurmantiejewa bawiły się lalkami, biegały i dokazywały, zaczynała uporczywie myśleć o „milczącym widmie“, męczącym się w tajemniczej baszcie. Jaki on jest, i co z nim się dzieje? Jak odbiło się na biednym więźniu dwudziestoletnie, ciasne, ze skąpym światłem dziennym i powietrzem, samotne więzienie?

Poliksena wyobrażała go sobie, jako mało pojętne, zeszepecone wieczną, powolną torturą, nie proporcjonalnie do lat słabe dziecko. Wszystko tak jasno obmyśliła sobie przedtem, zanim niespodziewany wypadek pozwolił jej zobaczyć więźnia. — „On ledwie powinien chodzić po pokoju, — wyobrażała sobie Pczołkina: światło dzienne chorobliwie drażniło go i mogłoby go nazawsze oślepić, gdyby zamysłili naraz wyprowadzić go na powietrze. Myśl ludzka i mowa czyż mogą mu być znane; a jeżeli nieszczęśliwy aresztant i może wyrzec kilka słów, to winny one być podobne do krzyku marnego zwierzęcia lub ptaka nocnego.“ — Myśląc o jego twarzy, Poliksena wyobrażała sobie rysy jego, jako rysy zdziczałego, chorego od urodzenia, wystraszonego i przez wszystkich niekochanego dziecięcia, które straciło nawet pojęcie o tem, że dawno już dorosło i stało się człowiekiem.

„Niema wątpliwości, — rozmyślała w dalszym

ciągu Poliksena: stracił on już możność rozróżniania i poznawania zwykłych przedmiotów. Jeżeli wypuszcza go na wolność, zacznie wyciągać chude, słabe ręce do oddalonych przedmiotów, uważając, że są blisko niego... Wszystko będzie go radować, zajmować i bardzo dziwić... Nogi i ręce jego pozostawały bez użytku a dlatego skóra na nich i na twarzy powinna być delikatna i blada, wzrok słaby i tępy skutkiem wiecznego, bezustannego, przynębiającego półmroku. Wszystkie zdolności nieszczęsnego zamarły, śpią". „Lecz, — zakończyła swe myśli Poliksena: powinien być łagodnego, miękkiego, pociągającego charakteru, posłuszny, delikatny i łagodny, jak gołąb, jak jagniątko. I co, jeżeli przywołać go do życia, rozbudzić? Co, jeżeli otworzyć mu drzwi i powiedzieć; „tyś wolny, idź"... Kto się na to zdecyduje? komu to jest sądzone? I gdzie ten zbawca, odważny Kolumb, który pójdzie do tego nowego, zapomnianego przez ludzi, pełnego cudnych, śpiących sił, dziewiczego świata — i powie: obudź się, zyj".

Poliksena wynajdywała mnóstwo pomysłów i śmiałych przypuszczeń, jak ubłaga, porwie i przekona Czurmantiejewa, ażeby pozwolił jej odwiedzić aresztanta, jak zacznie w tajemnicy wpływać na zamkniętego, wychowa go: oświeci serce jego i umysł... „Z przebudzeniem się myśli i wyobraźni, więzień rozkwitnie moralnie i fizycznie". Zacznie mu nosić książki, razem z nim czytać je, objaśniać mu wypadki świata, bohaterów historii, różnicę między złem a dobrem... „Bywały, — rozmyślała: podobne przykłady... Ilu śmiałych ludzi dało się porwać dola więźniów, przedostawało się do nich podstępnie, błaganiami i, wychowawszy ich, dawało im możność ucieczki. To, widocznie, nie prosty człowiek". W tym czasie, gdy wszystkie

będzie przygotowane, — decydowała w myślach Poliksena: wybiorę chwilę odpowiednią, zjawię się u nieszczęsnego w najlepszych swych szatach, w jedwabnej dworskiej sukni i w uczesanych według mody włosach... On rzuci się do nóg moich; serce jego przemówi... I rękę moją postawi jako cenę wolności... Obmyślimy sposoby ucieczki... Ubiore go w mundur, płaszcz i kapelusz Czurmantiejewa; o zmierzchu wyjdziemy pod rękę z fortecy, ukryjemy się w łódce, potem trójką do pobliskich fińskich lasów, a tam — do Szwecji... Przyjdzie czas i gdziekolwiek daleko, w obcych krajach, objawi się on światu, przypomną go sobie i, być może, powrócą mu jego prawa"...

Meczącym, namiętnym marzeniom Polikseny sądzonem było spełnić się wcześniej, choć cokolwiek inaczej, niż ona przypuszczała. Nocny pożar w kazamacie księcia przestraszył władze forteczne. Komendant Berednikow stracił przytomność więcej niż inni. Trzeba było, w tajemnicy przed główną, sekretną ekspedycją, porobić reparacje i przeróbki w piecu, w kominie, przepierzeniu i podłodze, wszystko na nowo otynkować, wymalować i pobielić. Berednikow i Czurmantiejew umówili się z przedsiębiorcą. Zdunów i cieśli wpuszczali do fortecy w nocy. Ci pracowali przy latarniach. Książę Czurmantiejew przeprowadził aresztanta do siebie, rozpuściwszy pogłoskę, że ten zachorował i znajduje się w sekretnym szpitalu fortecznym.

„Sam będę go karmić i pilnować, — oznajmił komendantowi: pomocnik mój przebywa w Ładodze; prosił o przedłużenie i ja, ku wielkiemu żalowi, napisałem mu, że może pozostać dłużej. Dam sobie radę tymczasem sam". — I rzeczywiście, książę przedłużył urlop swemu pomocnikowi, Własjewowi. Naprędce opatrzone i umocniono

kraty w oknach cekhauzu, przyległego do mieszkania Czurmantiejewa. Pod pozorem zachowania w większej suchości jakoby przeniesionej tam aresztanckiej amunicji i prowizji, przy drzwiach zewnętrznych postawiono specjalnego wartownika. Takie zmiany w fortecy nie były nowością.

Czurmantiejew mógł się uspokoić. Oprócz garnizonowego feldfebla i felczera, nikt by i nie wiedział, gdzie właściwie znajduje się powierzony mu Bezimienny aresztant. Lecz, z początku nie-spostrzeżone wywichnięcie nogi wkrótce dało się uczuć Czurmantiejewowi. — „Oto, mości pani, jednego niespokojnego więźnia przeprowadziłem pod swój dach i opiekę, — rzekł do Pczolkinoj, przemykając się rano z kluczami i z miską aresztanckiego jedzenia, przez dwa nie zamieszkałe pokoje, znajdujące się za sypialnią dzieci i noszące nazwę „starej spiżarni“. Tych pokoi dawno nikt, nie widział, i w ostatnich latach pozostawały zamknięte. Chodził tam Czurmantiejew jeszcze raz w obiad, potem wieczorem, w kolację; lecz pod noc położył się i rozjęczał: ani spać, ani usnąć skutkiem rozpuchłej, bolącej nogi.

— Och, do Własjewa chyba napisać, czy co do Ładogi, — mówił z jękiem komisarz: wezwać by go... i gdzie, w rzeczywistości, samemu ze wszystkim poradzić?

— Dobrze pan robi, — rzekła Poliksena: niech pan dyktuje, przyniosę papier i pióro...

— Nie, mateczko, poczekam już... Może ulży do rana?..

A w nocy ogarnęła go febra, gorączka i maligna. Czurmantiejew miotał się bezsennie, co chwila wołał do siebie nianię — czuchonkę, coś wciąż zamierzał jej powiedzieć i nie mógł: była to zupełnie głucha i mało pojętna baba.

— Nie domyśli się, nie zrozumie, myślał o niej, męcząc się, Czurmantiejew: lecz innym może przyjdzie do głowy, zaczną ją wypytywać, i wyda sekret.

O świcie Poliksena przyszła odwiedzić chorego księcia. Leżał z otwartymi, płonącymi, przeżalonemi oczyma.

— Co panu jest? — spytała.

— Ten... więzień to, — wyszeptał Czurmantiejew, unosząc się i macając ręką pod poduszką: świeżej wody by mu, chleba, mleka... głupia ta czuchonka... feldfebla wzywać się nie chce.

— Niech pan da, ja mu zaniosę; dzieci jeszcze śpią.

— I on pewnie śpi... Zanieś, mateczko; tam przepierzenie, i znów drzwi... otwórz, postaw stannie i przeciotko wychodź.. Och, on przecież... wszystko śledzą...

Zakręciło się w głowie Czurmantiejewa. Nie domówił, podał klucze i wyczerpany upadł na łóżko. Poliksena była w pięknej nocnej bluzie. Narzuciła na głowę chustkę, przedostała się do byłej spiżarni. Niania i dzieci jeszcze spały. Poranne promienie słońca już przedostawały się z podwórza. Pczolkina otworzyła pierwsze drzwi, drugie; cicho nacisnąwszy ostatnią kłamkę, weszła za próg. — „Kto, jednakże, jest ten uwięziony? zapytywała siebie: fanatyk — rozkolnik, buntownik przeciwko władzy, lub ważny dezertor wojskowy? I jak wygląda? gdzie śpi? stary czy młody? Lub poprostu to ten sam... tajemniczy, ukryty tu, książę, o którym mówią?“

Poliksena zwolniła kroku przy wejściu. W pokoju było ciemno. Odsunęła składaną, wewnętrzną okiennicę, obejrzała się w około siebie. Na prawo od wejścia, na żelaznym, zardzewionym łóżku, po-

krytem starym zbitym wołokiem, w samodziałowej chłopskiej koszuli i w zdeptanych, na bosą nogę, trzewiakach, spał szczupły, błady młody człowiek. Jasne, długie włosy miękkimi falami okrywały poduszkę i część pięknej, z ryzawą bródką, twarzy. Delikatna, kobieco-biała ręka zwieszała się z pod narzuconego na śpiącego grubego płaszcza marynarskiego. — „Taki młody — i już więzień, — pomyślała Poliksena, starannie stawiając wodę i śniadanie na stole, na którym leżała napółrozszarta, poczerniała, o starym cerkiewnym druku, książka: prędzej — rozkolnik, ich archimandryta lub biskup — i, widocznie, niebezpieczny”, — dopowiedziała sobie Poliksena, cofając się do progu.

Aresztant obudził się, zerwał, usiadł na łóżku; przeraziło go niewidziane zjawisko. I nigdy, przez pozostałe lata życia, Poliksena nie mogła zapomnieć tych łagodnych oczu i tej pełnej zdumienia twarzy. — „Książę!” — pomyślała, czując, jak błyskawicą przebiegło to jej w myślach, otulając ją lękiem i dręczącą radością. Skamieniała.

Aresztant wyciągnął przed siebie ręce, przetarł sobie oczy i coś przemówił nieśmiałym, błagalnym szeptem. Co mówił w tym czasie i za kogo brał w pół-śnie, w pół-świadomości, wchodzącego do niego gościa, — trudno było zdecydować. W dziecinnych wrażeniach jego pozostały smutne wspomnienia o innej podobnej, łagodnej i delikatnej istocie; lecz to była mizerna, wysoka i chuda osoba, z wiecznie zapłakaną twarzą, w czarnej, żałobnej sukni, i z oczyma pełnymi przerażenia i bólu.

Aresztantowi później zdawało się, czy też mu to mówili, że to była jego nieszczęśliwa, zesłana z nim razem matka, księżna Anna Leopoldowa. I często, z bólem serca, z rozdrażnieniem my-

ślał o przeszłości, zwracał się do otaczających z zapytaniami o nią, starał się w myślach przedstawić sobie tą daleką, drogą, zapłakaną, matkę. Nie rzadko, w smutnym ciężkim śnie, Iwanuszcze błyskał na chwilę jej nieuchwytny, żałosny i jednocześnie czarujący, gdzieś w bezlitosny mrok, uciekający obraz. I naraz znów mu się wydało, że śpi i we śnie nieoczekiwanie zobaczył ten obraz. Nie, to nie ona. Tej nie można było się przypatrzyć, choć się starał, choć się męczył. A ta — oto stoi przy drzwiach; jej jasne, czarujące oczy patrzą na niego ze zdziwieniem i współczuciem, lekka postać jej kołysze się, jasna barwna bluza szeleści... Szczęknął zamek przy drzwiach, — gość zniknął...

Od tego dnia Pczołkina zaczęła bez przeszkód odwiedzać aresztanta. Czurmantiejew choć i zdawał sobie sprawę z niewygody tych widzeń, lecz trudno było ich uniknąć: leżał chory, nieruchomy. Do Petersburga o chorobie jego nie składano raportu. Przytem ze stolicy dobiegały pocieszające wieści; wszędzie okazywano ulgi, pobłażanie. — „A nuż przypomną sobie o nas, zapomnianych, nie ukarzą”, — myślał komisarz, przykuty przez zwichniętą nogę do łóżka: Bóg mi zesłał pomocnicę rozumną, skromną.

I rzeczywiście zachowywała się z namysłem, surowo. Zbędnego słowa nie powie: uważająca, dumna. Czy stróżów trzeba wpuścić, sprzątnąć pokój księcia, — wyprowadzi aresztanta, zamknie w przyległym pustym pokoju, — wpuści feldfebla do księcia, po klucze, — a sama narzuci szubkę i stoi przy drzwiach zewnętrznych, dopóki żołnierze z garnizonu zamiatają, myją podłogi i przewietrzają pomieszczenie księcia.

W dzień Poliksena przynosiła jedzenie, napój i książki aresztantowi; w nocy sama czytała z nim, uczyła go pisać, kreśliła mu widoki fortecy, jeziora, okolicznych miejscowości, opowiadała o Petersburgu. Zauważywszy jego zacinanie się, a przy niepokoju nawet jękanie, zmuszała go do czytania powoli, wyraźnie i powtarzania za nią trudnych dla niego słów. Więzień okazał się zupełnie nie tak mało pojętnym, słabym dzieckiem, jak sobie wyobrażała Poliksena. Był jasnym, pomysłowym, i kiedy nic go nie drażniło, — szybko przyswajał sobie nowe pojęcia i cieszył się ze wszystkiego bezgranicznie. Uciecha ta przechodziła niekiedy w wesołość, w śmiech niepowstrzymany. Książę zrywał się, skakał po pokoju, płatał zabawne figle. — „Boże, gdyby prędzej, prędzej!” — spieszyła i drżała Poliksena, ze strachem przypatrując się pracy, prowadzonej w stałym więzieniu aresztanta: czy zdąży mu wszystko powtórzyć, opowiedzieć? Widziała, jak nocami, przez podwórze, z latarniami, wynosili z baszty gruz, okopcone cegły; nowy komin wznosił się na dachu; wywlekli kupę drzazg z ganku; urządzili przy schodach kadź na wapno, i, pod konwojem inwalidów, zaczął chodzić do baszty z kubelkiem i pędzlem, malarz z osady. Przeróbki zbliżały się ku końcowi.

Raz, — było to wieczorem, — do chorej nogi Czurmantiejewa, na dwa dni przedtem, przyczepiło się zapalenie, róża, i czuł się on niedobrze. Poliksena przeszła, z koszyczkiem jedzenia i z nową książką, do aresztanta. — „Niech tam sobie, — myślała, patrząc na nią komisarz: nie wielka bieda: nie wstanę, umrę, — choć dobrze wspomną nic niewinnego, przez wszystkich zapomnianego, męczennika! — Poliksena weszła do więźnia, zamknęła za sobą drzwi, zasunęła okiennicę, zapaliła przy-

niesioną świecę woskową i otworzyła książkę. Aresztant siadł przy stole. Patrzała na niego, starając się przeniknąć jego myśli. Co myślał o niej książę? czego oczekiwał od niej, od swego losu? Był nieusposobiony; patrzył ponuro. Cicho wzięwszy ją za rękę i czule patrząc jej w oczy, nieśmiało dotknął ustami tej ręki.

— Co pan? — spytała, zarumieniwszy się, Poliksena.

— Wszystkie wy... takie? — wyrzekł Iwanuszka.

— Wiele jest lepszych, — odrzekła Poliksena.

— Imię twoje?

— Na co panu imię? niech pan nazywa... przyjaciелеm...

— Pozostań, nie odchodź... bądź wiecznie ze mną!

Aresztant przytulił rękę gościa do swojej piersi.

— Przyjacielu, każ mnie wypuścić, — rzekł: wszak wszyscy cię usłuchają.

— Myli się pan, jestem tu podwładną.

— Tyś nie człowiek... duch z nieba, planeta.

— Człowiek, i najostatniejszy, marny.

— Nóż weź i ich zabij! — rzekł aresztant, błysnąwszy oczyma.

— Jednego zabić, pozostanie wielu innych, — odpowiedziała Poliksena; cierp pan, proś Boga, książę! czas przyjdzie, będzie pan wolny.

Więzień słuchał i nie mógł zrozumieć, dlaczego ta zgrabna piękna dziewczyna, z każdego ruchu, słowa, z każdej fałdki ubrania której wiało takim czarem, nie miała mocy dać mu wolność, uratować go.

— Mnie wszystkiego pozbawili? — spytał: wszystkiego?

— Co pan chce przez to powiedzieć?
— Czy byli inni tacy męczennicy?
— Byli... Nieszczęsnych, jak i pana, pozbawili tronu, carstwa.

— A powiedz, czy komukolwiek zwrócili to, co odebrali?

Pczółkina opowiedziała więźniowi o królu francuzkim Karolu siódmym, i o jego wybawicielce włściańskiej dziewczynie z Orleanu. Iwan Antonowicz słuchał jej z zamierającym sercem, i kiedy skończyła opowiadanie, schwytał ją za rękę i, namiętnie przytulając się do niej, zaczął prosić, ażeby i ona wyślagała cud u Boga, uratowała go od prześladowców i więzienia. Jego dziecinnie—błagalna, bez związku mowa, łzy i silne, mężkie uściski doprowadziły Pczółkinę do oprzytomnienia. Odśunęła go, starając się uspokoić.

— Pan niech będzie gotów, jeśli myśli uciec, —być może, przyjdę lub dam znak, —rzekła.

— Rozkazuj, wzywaj.

— A jeżeli odkryją, dopędzą, zabiją?

— Ześlij, Boże, męki, śmierci! byleś ty... byle z tobą...

Poliksena wstała. W jej spokojnych, poważnych oczach błysnął stanowczy promień. Położyła ręce na ramionach więźnia, z roztargnieniem i nieśmiałą nadzieją patrzącego na nią: kurczowo ścisnęła cienkie palce, przyciągnęła go ku sobie i, gwałtownie dotknąwszy ustami jego bladego, wychudłego policzka, — poszła ku drzwiom.

Aresztant oszalał, zamarł.

— Gdzie, gdzie? — krzyknął, biegnąc za nią: światłości... radość!

Drzwi zatrzasnęły się, wszystko ucichło.

Cały następny dzień Poliksena chodziła, jak nieprzytomna. Wieczorem tego dnia, po długiej rozłące, niespodziewanie spotkała się, u duchownego, z Mirowiczem. Myśl o pomocy księciu narodziła się w niej z nową mocą. Gubiła się w przypuszczeniach, planach, domysłach. I znalazła się okazja, wskazująca, jak ma działać.

Prowadząc dzieci do spowiedzi, z pośpiechu, zapomniawszy zamknąć drzwi czasowego pomieszczenia więźnia i przez to spowodowała nieoczekiwane spotkanie z nim Mirowicza. „Los” — rzekła sobie, i tu przyszło jej do głowy — szczerym, bezimiennym listem skłonić cara do odwiedzenia więzienia Szlisselburskiego. Śmiały jej plan udał się, lecz nie takich oczekiwała następstw. Carski więzień pozostawał, jak dawniej, w zamknięciu; narzeczony Poliksena był wysłany zagranicę, a Czurmantiejewowi przed Wielkanocą oznajmili, że zastąpiony zostaje przez innego i przenosi się, w uznaniu za zasługi, na wypoczynek, do jednej z fortec pogranicznych za Wołgę.

Książę Czurmantiejew, przed wyjazdem, za wezwany został do Petersburga, dla niektórych wyjaśnień w specjalnej komisji — z Naryszkina, Megunowa i Wołkowa, którym odtąd powierzone było prowadzenie spraw aresztanta Bezimiennego. Książę wyjechał, a dzieci z Pczółkiną na pewien czas pozostawił, z powodu roztopów wiosennych, w domu duchownego.

Następca Czurmantiejewa, premier-major Życharew i jego pomocnicy, kapitanowie Batiuszkow i Uwarow, przystąpili z Berednikowym do rozwiązania środków dla wykonania osobistych rozkazów cara co do aresztanta. Do nich, z powodu tego, pisał Ungern z Petersburga: „aresztant, po złożonych mu odwiedzinach, łatwo może powziąć jakie-



kolwiek nowe, nieodpowiednie myśli; a dlatego wszystkimi sposobami powstrzymujcie go od nowych, zgubnych kłamstw, — o zdrowie zaś, o powietrze troszczcie się“.

Pierwszy spacer z aresztantem odbyli po Wielkanocy, i przeszedł on pomyślnie. Po wybiciu zorzy wieczornej, kiedy wszystko ucichło w forticy, księcia ubrano w płaszcz i kapelusz Batiuszkowa, a Zycharew wyprowadził go, wewnętrznymi schodami, na mur bastjonu. Książę upoił się świeżym powietrzem, chwiał się i coraz zwalniał kroku. chwytając się za serce, wykrzykując: — ach, Boże... ach, cudnie... co to? co?“ i chciwie wpatrując się, przez Nową, w domy miejskie i, w otulone wiosenną mgłą, nadbrzeżne polany i lasy.

— Ach, panie majorze, no, jak tu dobrze; — rzekł, schwytawszy za połę idącego z nim komisarza: nie zapomnę na wieki... jakie niebo... a książę... zapach...

— Pójdziemy, czas do domu, — tymczasem dosyć...

— Zupełnie jak kadzidłem pachnie... Och, nie mogę, usiądziemy; chwileczkę by jeszcze tutaj...

— Nie wolno, mości panie... innym razem...

Następnych dni spacerowali dłużej. Zycharew próbował wyprowadzać księcia na bastjony, za mury forticy, a po pewnym czasie zdecydował się przejechać z nim po rzece — „Bóg go wie, — rozmyślał Zycharew: komisja dla niego jakby surowa, a car ot jak o nim zdecydował... Kogo słuchać?“ — Kiedy kuter, lawirując po jeziorze, zbliżył się do przystani, stał się widocznym ruch na ulicach i dał się słyszeć gwar ludzi, snujących się na brzegu, — książę o mało nie wyskoczył za burte.

— Cóż, jakim ja teraz persona? — rzekł:

książę Iwan choć i wzięty żywcem do nieba, lecz we mnie jego osoba... wszędzie obecnie mogę... i Czurmantiejew, głupiec, obawiał się, nie chciał nawet rozmawiać ze mną...

— Wszystko, mości panie, od władzy. Było surowo, teraz słabiej...

— A gdzie Czurmantiejew?..

— Wyjechał.

— I dzieci z nim?

— Wszystkie, jak są.

Książę zamyślił się. — „Znaczy się, wyjechała i ta dziewczyna“... — rzekł sobie.

W końcu Fominej, w cerkwi fortecznej, za poradą duchownego, odprawiono dla więźnia specjalne, bez świadków postronnych, nabożeństwo. — „Czy to żart, tyle lat serdeczny w świątyni bożej nie był“ — myślał ojciec Isaja, wpatrując się w jasną poważną twarz młodzieńca, stojącego nieśmiało przed ołtarzem. Z uczuciem, płacząc radośnie, modląc się, za raba Bożego Joana, drżącym głosem intonował hymn wielkanocy: „Dzień zmartwychwstania... radujmy się ludzie..

Baron Ungern przysłał z Petersburga aresztantowi zapas bielizny, żywności i nawet łakoci, przyczem spytał Berednikowa, czy prędko rozpoczną budowę nakazanego przez cara domu. Przystąpili do tej budowy.

Do forticy zaczęli wozic kamienie, belki, deski. Przed domem komisarza wykopali rowy i zaczęli wznosić fundamenty. Robotą szła pospiesznie. Komendant spodziewał się skończyć wszystko, zgodnie z wolą cara, na 29 czerwca.

W dzień Nikoły, książę i jego nowy główny strażnik, spacerując po murach fortecznych, zasiedzieli się na szczycie bastjonu, wychodzącego na miasto. Joan Antonowicz widocznie zaczął się po-

prawiąc, nabrał cery i nawet opalił się. Nadchodził wieczór. Zycharew myślał o pozostawionej w Petersburgu rodzinie. — „Zeby choć droga prędzej się ustaliła, moich by tu sprowadzić, — rozmyślał: jakie nudy, zupełnie jak cementarz, mogiły“... Aresztant przez lornetę komisarza patrzył na plac targowy, gdzie sklepikarze, z osadnikami, ucieszeni z ciepłego majowego wieczoru, grali w orlankę, piłkę i prowadzili korowody. Przez wodę wyraźnie dobiegały krzyki, donośny śmiech bawiących się i odgłosy pieśni prowadzących korowody.

— To to?... ot, ot... porusza się, ryczy?— spytał książę.

— Stado krów, — odpowiedział Zycharew.

— A ci o to, zupełnie jak myszy... Jak rozsyпали się na brzegul za kim tak gonią?...
— Dzieci, panie...

— Ach, wasza wielmożności, gdybyśmy i my tak do nich? — rzekł aresztant.

— Nie można, mości panie, co pan? Nie takiej rangi z pana osoba, ażeby do czerni chodzić...

Zamyślił się więzień. — „Ot to dola, — myślał: przedtem trzymali, jak ostatniego zbrodnia-rza, teraz szanują, a wolności wciąż niema“.

Zaczął się ściemniać. W mieście zapłonęły światła. Gwiazdy zaczęły występować wśród miękkich, płynących nad jeziorem, pierzastych obłoczków.

— Ja znam wszystkie planety, — rzekł naraz aresztant: wszystkie, wszystkie co do jednej...

— Cóż pan wie o nich? — spytał, ziewając Zycharew.

— Przez okno wypatrzyłem... jak i co komu przeznaczone...

— I cóż z nich przeznaczone?

— Oto ta, biała... ot sama to... widzisz?... to moja.

— No, a te, dalej?..

— Błękitniutka — carska... Wszystkie noce patrzyłem na nie, badałem... zapytywałem się ich.

— I o cóż pan ich zapytywał?

Aresztant zamilkł; w przykrej niecierpliwości, milczał i komisarz. Jakiś ptak nocny w tym czasie nadleciał na nich i, przestraszony cofnąwszy się, odleciał w bok, do ciemnego bastjonu.

— Nie wypuści car, — ciągnął dalej aresztant: nie będzie on szczęśliwy...

— Kłamiesz, mości panie; też chęć głupstwa kłamać!

— Widzisz? błękitna planeta wcześniej od białej, za chmurę zaszła? No, wcześniej od mojej zajdzie jego dola...

— Głupstwa, bez sensu, mości panie, mówicie, — surowo rzekł, oglądając się, Zycharew: nie zaprzestaniecie kłamstwa, do władzy napiszę... Panu ulgi, łaski, a pan... czas do kątów...

Aresztant i jego stróż zeszli z bastjonu i przez ogród cerkiewny, podeszli do odwachu. Z poza rozwijających się drzew pokazał się dom duchownego. Książę spojrział tam, cicho wykrzyknął i pobieglł naprzód.

— Gdzie pan, gdzie? — spytał Zycharew, chwytając go za rękę.

Za występem domu, przy ganku duchownego, stała Pczołkina.

— Oj, a puśćżeż ty, grubjaniniel — krzyknął, wyrывая się, aresztant: — przyjacieli, przyjacieli... Ty tu?... oto ja, ratuj...

— Mości panno, odejdz, — wyrzekł komisarz: proszę was, rozkazuję...

Aresztant wyrwał się, pobieglł do ganku.

— Gdzieś była? gdzie?—dyszac ciężko, szep-
tał do Poliksena: tyle dni nie słyszałem głosu...

— Niech pan idzie, będzie posłuszny, — wy-
rzekła Pczołkina: i niech pan pamięta, gdzie by
pan nie był,—ja pana nie porzucę, znajdę...

Zycharew zawołał straż z odwachu. Warta
otoczyła aresztanta, który rzucał się na żołnierzy
i wściekle im się wyrывał.

— Dzikie zwierzęta z was! — krzyczał: kogo
słuchacie? car wolność mi dał, a wy nie puszczacie... sam ja car...

— Uspokójcie się, mości panie; co pan sobie
zyczy?—spytał Zycharew.

— Nie chcę do starej nory.

— Nowe pomieszczenie nie gotowe.

— Do popa przeniescie, ot tu...

— Tu ciasno, a i niewypada dla pana, nie
puszczą.

— Idź, psie, i proś... Wiesz sam, jakiego jam
rodu człowiek!

— Słucham, panie,—odrzekł, wpadając na po-
myśl Zycharew: pan rzeczywiście nie prosta per-
sona, a dlatego należy dla przyzwoitości oczyścić
tu pokoje. Pójdę do duchownego, a tymczasem
poczeka pan na dawnym miejscu.

Aresztant uległ. Zycharew zamknął go jak
dawniej w celi i postawił przy nim przy baszcie
zdwojną wartę. Pczołkinę rano wyprowadzili
z fortecy. Napisawszy do Czurmantiejewa, z dzieć-
mi jego przeniosła się do osady szlisselburskiej.

Tak upłynęły dwa tygodnie. Więzień wpadł
w rozpacz beznadziejną. Ogarnęły go porowy nie-
pohamowanej złości i okrutnej, zwierzęcej wście-
kłości.

Wartownicy, przy zmianach porannych, zawi-

damiali komisarza i komendanta o nocach bezsen-
nych, spędzanych przez księcia. W sieni i waz-
kiem przejściu przed całą rozlegały się roz-
dzierające duszę jęki i krzyki więźnia. Szalał bez
przerwy, z wymysłami i przekleństwami, stukał
zasuwą drzwi żelaznych, przewracał meble w po-
koju, bił szyby, rwał na sobie odzież i bieliznę.

— Co wam, panie, potrzeba?—zapytywali go
wartownicy przez zakratowane okienko w drzwiach:
taką manierą meble zniszczycie... sobie, sobie
i skarbowi w uszczerbek...

— Prowadźcie Zycharewa, jego, psa potrzeba.

— Zmijaś ty, krokodyl! — z pianą na ustach
krzyczał więzień do Zycharewa: ją przyprowadź...
słyszysz? ja...

— Nie wolno, według statutu, odjechała...

— Przystanie kochać... przecież przestanie
kochać... słowo jedno, choć spojrzeć!...

Aresztant gryzł sobie ręce, chwycił zębami
za kratę okienną.

„Jeszcze w Pitrze dowiedzą się o takim zu-
chwałstwie,—myślał, zamierając ze strachu komi-
sarz: już żeby prędzej zdecydowali, co z nim i jak!
wszystko Czurmantiejew narobił donieść o nim,—
lecz żal biedaka, zasądzał.“

— Skorpjony, zmij, spal ich, Boże, skrusz!—
krzyczał w dzień i w nocy przez okno i drzwi wię-
zień: zmij na nich! kamień! przeklnij ich! Boże,
przeklnij...

— Szatan opanował, zepsuli serdecznego! —
szepotali w sieni żołnierze garnizonowi: był spo-
kojny, a teraz jak burza...

Zapadając w krótki, niespokojny sen, arez-
tant budził się w nocy, i jeszcze ciężiej i gorzej
było w duszy jego. Kamienny strop dławił, jak
trumna. Z milczących, białych ścian wiało zimnem.

Kiedy to świt? Iwanuszka wołał Poliksena, stał jej czule słowa. Podbiegnie do lufcika celi, otworzy go, spiesznie stanie na palcach i chciwie oddycha świeżem, nocnem powietrzem. Widać skraj ciemnego pochmurnego nieba. Oto biała i błękitna gwiazdy; wysoko mrugają nad fortecą, nurkując w nadpływających obłokach.

„One wolne są w dalekiem niebie, — myślał: a jam znów w norze, znów w zamknięciu”.

— Noc mija. Zaczyna płońć bledy ranek. Wróble ćwierkają, wrony wlatując, czyszczą długie, chciwe dzioby. Słońce wschodzi. Śpiew skowronków, słowików dobiega z polan, z lesistych, budzących się tajemniczych głębin. Tam radość, tam życie! A tu! I zdaje się Iwanuszcze, że nie słowiki i nie skowronki odzywają się na brzegu, a trąbią cudotwórcze złote trąby jerychońskie, które niegdys zburzyły mury Jerycha.

— „Hosanna na wysokościach!” — szepce więzien: — „Egipt poda rękę, Assur ku nasyceniu ich... Lecz gdzie Egipt i gdzie oswobodziciel Assur?”...

Aresztant sili się wyłamać zardzewiałą kratę okienną i do krwi pokaleczył sobie ręce.

Niema ratunku, niema wolności... Poczerniała, zakapana woskiem książka rozwarła na stole. Słabe poranne światło ślizga się po niej, i skrapiają ją gorzkie, palące łzy. Iwanuszka czyta, lecz nie ma sensu i ulgi w przeczytaniem. Ściany głucho i nieme, jak mogiła. Wokoło cisza.

„Bych jako niedźwiedź łowiony, jako lew od ukrytych”, — czyta Iwanuszka, doszukując się odpowiedzi na swe udreki.

— Nie lew jam, — marna muszka, komar!... A tam, za ścianą... ciepło, powietrze, ludzie i ona... ha... ha... zwierzęta, zabójcy, zwierzęta!...

Dziki śmiech, budząc poranną ciszę, biegł z ciemnego okna więźnia.

Napis na wrotach.

Mirowicz opuścił Petersburg z lekkim sercem i pełen dawno nieuczuwanych, radosnych wrażeń. Przy szumie i plusku wód wiosennych, mknął zagranicę pocztą. Oto Łuha, Psków, Dźwina — jak morze, brzegi Niemna. Wiosna na Litwie była w całej pełni. Ciągnęły stada dzikich gęsi, żorawi. Lasy, zarosłe wodne niebieszczyły się we mgle, jęczały od krzyku ptaków i świstów. Pachniało brzoźowemi, smolistemi liśćmi, konwalją.

„Ożenię się, wszystko rzucę, — myślał Mirowicz, po przebyciu granicy: wezmę abazyt, wyjdę do dymisji i pojedę w strony rodzinne — starać się o swoje prawa. Co nam stolica, blask życia, fanfary, próżności? Poliksena powiedziała: kiedy nie Piter, lepiej wyjechać na twoją Ukrainę, do Perejasławskiego powiatu, naspacerowalibyśmy się tam, po pas w trawach polnych, nawąchalibyśmy się kwiatów jabłoni i gruszl. Zawiozę ją. Niema swego kąta w ojczyźnie, zdobędziemy go, — nie przez siebie, przez dobrych ludzi, a tymczasem pogościmy u przyjaciół. Nigdy, zdaje się, tak nie pragnąłem dostatków; a już dla niej... ona chce, i wszystko będzie! I Michajło Wasiljicz Łomonosow pochwalił, kiedym mu wszystko opowiedział, po powrocie ze Szlisselburga. Tam, na Trubieży, obok byłego dziadowskiego Lipowego — Kuta, gdzie pszczoły kuma ojcowskiego i gdzie chłopcem biegałem... Ot gdzie raj... Choć by strzępek ziemi ojczyste! Pan na zagrodzie równy wojewodzie... Czy całą jest ta pasieka i czy żyje stary kum ojca, Majstruk?..

Słońce grzało, Mirowicz drzemał i widział siebie w polu. Złote fale wysokiej, dojrzałej pszenicy szeleściły i kołysały się w koło. Szedł gdzieś niwą, do góry. Na górze cerkiew; śpiew w niej, płoną świece. Czekają na niego, ażeby dać ślub z Polikseną. A złotejniwy pszenicznej końca nie widać. Kołyszą się i szepcą wonne fale; tonie w nich, traci siły. Migają purpurowe maki, habry; na nich kołyszą się błękitnawe, z rogami, zuczki, ślepiaste, puszyste pająki... „Cóż to ja? przecież skrzydła mam!” — myśli Mirowicz, rozwinął skrzydła i leci nad szeleszczącym morzem i nie widzi końca kłosom. Czy zdąży?... Cerkiew coraz dalej i dalej... Serce zamiera. Ocknął się. Przed oczami szara kaptora żydowska, zgarbione plecy i ryże pejsy woźnicy. Stacja, zmiana koni...

Pertraktacje z Prusami o zawarcie ostatecznego pokoju zaczęły się jeszcze przed przyjazdem Mirowicza do oddziału Buturlina. Z jedną z takich ekspedycji, w liczbie innych oficerów, dostał się znów do Berlina i Mirowicz.

W końcu maja przysłał z zagranicy prezenty narzeczonej: szarą taftową suknię, aksamitną purpurową kamizelkę, szyldkretowe kolczyki, branzolety, broszę i modną, z białego szalu, narzutkę — barbar. Prezenty przysłane były przez okazję, na imię Bawykinoj. Nastazja Filatówna pochwaliła się nimi Łomonosowowi.

— Gustu niemało, — rzekł, przyglądając się podarunkom narzeczonego, Michajło Wasiljewicz.

— Tak — to tak, — wyrzekła, pokiwawszy głową, Filatówna: tylko gdzie on, rozrzutnik, pieniądze na to wszystko zdobył?... Czyżby w karty znów rznąć zaczął? jak pan myśli, wielmożny panie?...

— Już tam i w karty, matko, jacyście wyl...

— A w rzeczywistości, może i nie w karty! — rzekła, uradowawszy się, Filatówna: w górę, przypuścmy, poszedł; przecież zmyslny, choć gdzie; no i odznaczają... patrzcie, jeszcze z orderem powróci...

„Mnie to tylko, bez doli, co robić? — pomyślała, westchnawszy staruszka: gdzie się podziąć?... czyż tak wciąż z handlem na stare lata po ulicach się włóczyć? widocznie i poprostu, do ludzi iść na służbę!..”

Przed pierwszym dniem Wielkiejnocy car Piotr Fiedorowicz przeprowadził się do nowego pałacu zimowego. Budowniczy jego, Rastrelli, otrzymał holsztyńską gwiazdę św. Anny, z napisem: „Amantibus justitiam, pietatem, fidem”. Carycę car umieścił w oddalonym skrzydle pałacu; bliżej siebie ośmioletniego syna Pawła z wychowawcą jego flegmatycznym i workowatym, lecz chytrym i mądrym Nikitą Iwanowiczem Paninym. W antresoli urządzony był lokal Elizawieży Romanówny Woroncowej, a w oddzielnej oficynie pałacu car wyznaczył apartamenty przeznaczonej przez niego na narzeczoną dla przebywającego w więzieniu księcia Joana Antonowicza, niepełnoletniej córki swego wuja, generał-gubernatora Petersburga, księżniczki Katarzyny Piotrówny Holstein-Beck, z jej guwernantką, panną Mirabel.

Jadał obiady i wieczery Piotr Fiedorowicz z niewielką świtą. Holsztyńscy ulubieńcy otaczali go ciasną gromadą. Caryca odwiedzała męża bardzo rzadko i to przeważnie rano.

Zachodząc do pokoi syna, car wydrwiwał jego dawne, niewieście wychowanie i, szarpiąc chu-

dziutkiego, słabego chłopca, ze śmiechem mawiał: „z Pawłuchi wyjdzie jeszcze dzielny zuch, żebym tylko zdążył się nim zająć i zrobić z niego dzielnego żołnierza. A teraz, cóż on? piecuch, babski pieszczoch i tyle... W pochód, mości panie, w pochód!”

Swego nauczyciela na skrzypcach, włocho Pieri, Piotr Fiedorowicz mianował nadwornym kapelmistrzem. W pałacu dawano koncerty znakomitych amatorów muzyki. Bracia Naryszki, — jeden z nich kawaler orderu św. Andrzeja, — brali udział w tych zawodach muzycznych, obok poważnego uorderowanego Adama Olsufjewa, prawej ręki hetmana, prezydenta akademii — radcy stanu Grygorja Tieplowa i akademika Szelina. Car zjawiał się tam bez ceremonii.

— Muzyka u mnie będzie pierwszorzędna, — wesolo mówił do partnerów: sprowadzę z Padwy znakomitego weterana skrzypiec, Tastini... Wszak on, saperment! między nami mówiąc, jednej ze mną szkoły... Specialissime na delikatne, pieszczotliwe, a niekiedy majestatyczne tony i przejścia... Nigdzie grubych efektów, nigdzie bałaganowych wykretów i sztuk... melodia, sama melodia..

Holsztyńcy wciskali się wszędzie, zagarniali dla siebie i swoich „partyzantów” główne stanowiska.

Na dwa dni przed Wielkanocą, w dodatku do „S. Petersburskich Wiedomostiej” ukazał się, zwracając na siebie ogólną uwagę stolicy i, jak przypuszczali, pisany pod dyktando posła króla Fryderyka, Goltza, następujący artykuł wstępny: „St. Petersburg, kwietnia 4-go, 1762 r. Najmiłościszcy nasz car, od samego wstąpienia swego na tron, nie przepuszcza ani jednego dnia bez okazania nowych łask, lub nie podając istotnych prób ojców-

skiego swego o korzyści poddanych starania i głębokiej w sprawach państwowych przenikliwości” i t. d., i t. d.

Szemranie przeciwko holsztyńczykom wzma-gało się. Starzy słudzy Elżbiety nie znosili tych nieproszonych przybyszów. Nowe reformy i ulgi nie okupywały ordynarnego i obraźliwego postępowania zamorskich gości z ruskimi. Łomonosowowi przypisywano słowa: „Kapusta i rzepa jeszcze nie wzeszły w ogrodach, za to wschodzą holsztyńskie reformy”.

Każdy, budząc się tej wiosny w Petersburgu, zapytywał siebie: co dziś ogłoszono w imieniu senatu i co szykuje się na jutro? Wszyscy chodzili w oczekiwaniu niespodziewanych, nieprzewidzianych zmian. Nawet wszystko-wiedzący generał — policmajster Korf nieraz posyłał w tajemnicy do pałacu swoich adjutantów, mówiąc im:

— Wywołaj no tam, ojczulku, Karła Iwanycza Szpringera, i dowiedz się od niego, — hörst du! — mądrze, nad czym i z kim pracuje teraz car?

W ślad za zniesieniem tajnej kancelarii i darrowaniem wolności szlachcie, nowi faworyci poradzili mu zająć się, zapomnianym od czasów Piotra Wielkiego, projektem o odebraniu dóbr klasztornych i o wyznaczeniu ze skarbu pensji, jak czarnemu, tak i białemu duchowieństwu.

Baron Ungern rzekł razu pewnego, przy obiedzie u Aleksieja Razumowskiego, do Wołkowa:

— Nie źle by powiedzieć arcybiskupowi Dymitremu o zniesieniu postów... Wasz postny olej, rzodkiewka nie pasują do żołądków obecnego świata. I powiedzieć by mu, á propos, że czas by już przejrzeć i w wielu rzeczach zmienić i cały wasz stary świat mniisi, a duchowieństwu

pozwolić golić brody i chodzić, jak w Europie, w cywilnych strojach.

— Czyja to jest rada? — spytał Wołkow.

— No, ty już powiedz przewielebnemu Dymitrowi, — zagadkowo uśmiechnął się Ungern: niech pomyśli.

Te słowa szybko rozniosły się po mieście. W niejednych bojarskich komnatach przypominano sobie, że car Piotr Fiedorowicz, zaraz po pogrzebie carycy-ciotki, odwiedził uroczyste po niej nabożeństwo w kościele katolickim, gdzie wykonaną była żałobna kantata requiem, utworu Manfredim, i że, po nabożeństwie, jadł śniadanie u pa-trów tej świątyni.

W Fominym tygodniu nakazano przystąpić do natychmiastowej budowy, dla cudzoziemskiej służby dworskiej, kościoła luterńskiego przy oranienbaumskim pałacu letnim.

— Luteranizm wprowadzają w Rosji, — zaczęli głośnić wśród ruskiego duchowieństwa. Powtarzano nawet słowa manifestu o tolerancji religijnej, jakoby już w zupełności przygotowanego, przez generał-prokuratora Glebowa, gdzie w liczbie innych dowodów przytaczano słowa Ewangelji: „Spójrzcie na ptaki niebieskie, one nie sieją, nie orzą i nie zbierają do śpichrzy“.

— I wszystko to holsztyńcycy! — dodawano wśród ludu: wszystko oni, przekłęci poganie.— Powstało nawet przysłowie: „Holsztyniec da ci gościniec“.

Szemranie wzrosło, kiedy rozeszła się przez kogoś puszczona pogłoska, jakoby cudzoziemscy faworyci przygotowywali rozkaz o wyniesieniu ze świątyń wszystkich starych, jakoby pozbawionych piękności, inaczej zniekształconych przez czas ikon, i o zamknięciu w pałacach wielmożów cer-

kwi domowych: „nie przystoi chram boży pozbawiać przystojności, lub trzymać ony u siebie pod ręką, na wzór swojej bilardowej sali, kuchni i tego gorzej“.

Po przyjeździe z Kilonji wuja carskiego, księcia George'a, wpływ Niemców stał się jeszcze silniejszym. Powtarzały się nazwiska filarów tej partji: Olderoga, Zobeltischa, Katzau, Zege — von Manteuffla, Zeitz. — „Nowa Bironowszczyzna nastaje!“ — coraz głośniej i głośniej powtarzali obrażeni ruscy. Młodzi doradcy cara, tymczasem, nie rozpaczali. Podchlebiali mu i przepowiadali powodzenie wszystkim jego błędnym, przepojonym zupełną nieznaną i niezrozumieniem Rosji, zamiarom.

W fabryce obić i gobelinów, — której dyrektorem był mianowany, awansowany na kamerhera, ulubieniec cara, nadworny fryzjer Bressan, Piotr Fiedorowicz zamówił, dla przedpokoju w nowym pałacu zimowym, dwa wielkie ściennie dywany „haute lisse“. Jeden powinien był wyobrażać wstąpienie na tron Elżbiety, drugi — jego własne.

W maju były spuszczone na Nową dwa świeżo zbudowane okręty. Jednemu car dał nazwę niedawnego wroga Rosji, swego przyjaciela, „Król Fryderyk“, drugiemu — pierwszego księcia krwi, nowego feldmarszałka i estandzkiego generał-gubernatora — „Książę George“.

Polecivszy założyć dla podtrzymania handlu i kupiectwa, bank państwa, z pięciu milionami rubli kapitału, Piotr Fiedorowicz wydał rozkaz urzędzenia, za przykładem zagranicznych „domów dłużników“, — „umyślnego“, domu dla, „rzeczywiście głupich“, to jest obłąkanych. Spacerując raz wieczorem po mieście, car omal nie został pokąsany przez stado włóczących się psów. Natychmiast ogłosił

rozkaz o utworzeniu ze strzelców pałacowych „specjalnego oddziału“ celem „najszybszego wytracenia psów bezdomnych.“ Temuż oddziałowi pozwolono strzelać na placach miejskich i ulicach „do wron i pozostałych ptaków niegospodarskich.“ Gorliwi strzelcy zaczęli strzelać na ulicach do czczonych przez lud gołębi.

Zwolniejszy hrabiego Aleksego Grygorjewicza do dymisji, car często zajeżdżał do niego do pałacu Aniczkowa, gdzie lubiał przy rozmowie z nim wypalić fajkę knastru lub, wchodzące w tym czasie w modę, cygaro „fidibus.“ Przewrotny hrabia, ceniąc po swojemu tą uwagę, rzekł po ukraińsku do cara: „a pozwólcie mi, niegodnemu synowi hreczkosieja i wnukowi pastucha, pozyskawszemu tak wielką przychylność zmarłej carycy, pozwólcie uczcić waszą miłość,“—i ofiarował w prezencie wysokiemu gościowi piękną trzcinę, z rączką z kości słoniowej, i na dodatek do niej—na wojenne potrzeby cara—milion rubli.

— Ba-ba-ba!—zawołał, jak dziecko uradowany car: Potz-Blitz! lecz tyś, Grygorjewicz, Hexenmeister, czarownik, akurat zgadłeś, że moje finanse specjalnie są złe... Dziękuję, gołąbku; zapamiętane będzie! przy okazji odwiedzimy się.

— Gwardja — to terazniejsi janczarzy! — nie krępował się rzec Piotr Fiedorowicz do hetmana Kiryły Razumowskiego, komendanta ulubionych przez Piotra Wielkiego i Elżbietę izmajłowców: wkrótce ich rozformuję, a tymczasem zacznę ich zastępować polowymi pułkami, i pomału, na wzór naszych dzielnych holsztyńców, reformować...

Silnie wzburzyły te słowa wszystkich wojskowych, służących w Petersburgu.

— Czyż jesteśmy przestępcy, zdrajcy? — mówili obrażeni słudzy Elżbiety: otoczyli cara

przedajni holsztyńscy kielbasiarze... Daj Boże zdrowie jego synowi i mateczce, jego żonie, — ci zamorskich psów nie lubią.

Pokój z Prusami był ostatecznie zawarty i dziesiątego maja uroczyście świętowany. Pamiętnym pozostał ten dzień w świetle dworskim.

W specjalnej sali pałacu zimowego wyprawiony był wspaniale przygotowany obiad. Z fortecy, z admiralicji i okrętów, stojących na Newie, do późnej nocy rozlegało się bez przerwy bicie z armat.

Było dane więcej niż tysiąc wystrzałów z dział. Pili ku czci króla Fryderyka i za trwałość „szczęśliwego pokoju“.

Wzniósłszy toast za własną wysoką familję, Piotr Fiedorowicz posłał do carycy — małżonki „berlińską gołębicę pokoju“ — Andrzeja Gudowicza, — z zapytaniem, dlaczego przytem nie wstała? Caryca Katarzyna Aleksiejewna odpowiedziała:

— Dlatego, że cała nasza familja, oprócz jego carskiej mości, cara, składa się tylko ze mnie, i z dziecka, mojego syna.

— Powtórz jej, że jest głupiał — ordynarnie krzyknął car: powtórz, że oprócz niej i syna, są jeszcze dwaj członkowie naszej familji, — wuj książę George i jego wysokość książę Holstein-Beck.

Caryca załala się łzami. Dowcipny i pomysły hrabia Strogonow stał w tym czasie za jej krzesłem. Ażeby rozerwać carycę, półgłosem opowiedział jej świeżą anegdotę miejską o pewnym zakochanym generale Bechleszowie, który pojechał romansować do Szlisselburga i omal, z powodu zmiany tamtejszej władzy, nie dostał się do celi fortecy.

— Marlborough s'enva-t-en guerre... — szep-
tał, nachyliwszy się, Strogonow.

Caryca przez lzy uśmiechnęła się. Zauważo-
no to. Tegoż wieczoru pomysłowy hrabia został
wysłany pod strażą do swego domu zamiejskiego,
na wyspie Kamiennej. Przytem, przez księcia Fie-
dora Boriatyńskiego, zostało ogłoszone i arestwo
wianie carycy; Boriatyńskij zdołał pozyskać wsta-
wiennictwo księcia George'a, i rozporządzenie co
do areztu zostało cofnięte.

Wkrótce rozeszła się nowa pogłoska o obie-
dzie w pałacu Aniczkowskiem.

Siedząc naprzeciwko posła duńskiego, Hackst-
hausena, Piotr Fiedorowicz, niespodziewanie dla
wszystkich, skierował rozmowę na to, że Danja —
odwieczny wróg Rosji, i, że zamierza ogłosić woj-
nę królowi duńskiemu, za ucisk jego rodowego
księstwa, Holsztynji. Następnego zaś dnia w mie-
ście poczęto mówić, że przeciwko duńczykom rze-
czywiście kazano uformować dwie silne armje i,
że komendant izmajłowców, prezydent akademii
nauk i hetman Małorosji, hrabia Kirill Razumow-
skij, poprowadzi zagranicę trzydzieści pułków ko-
zackich. Wielki kanclerz Woronców i Wołkow ra-
dzili carowi nie wszczynać tej wojny. Nikogo nie
słuchał.

— Niema odpowiedniego wodza, furaz dla
armji nieprzygotowany, — mówił kanclerz.

— Głupstwo, z prowiantem jeszcze zdaży-
my... A co do wodza, ja sam stanę na czele oby-
dwóch armji... Książęta, moi przodkowie, w czasie
wojny nigdy nie siedzieli w domu.. I przedewszyst-
kiem, po drodze, zajadę oddać uwagę i kordjal-
ny respekt mojemu bratu i królowi, królowi Fry-
derykowi.. Miałem zaszczyt służyć w jego armji,
jako prosty żołnierz... I nikt z jego braci i podda-

nych nie jest mu tak oddany, jak ja. On się oba-
wia o moje życie, anonsuje mi sekretnie, nie są
zdolni ocenić generosität zesłanego im monarchy...
O-ho! Larifari! zobaczą, kto ośmieli się przeciwko
mnie i moich wiernych, dzielnych holsztyńskich
byków! Z nimi jestem spokojny... A wyjeżdżając,
zostawię tu w arjergardzie przenikliwych i bacnych
nadzorców...

Dwór na jedynasty czerwca szykował się do
przeniesienia za miasto. Było słyhać, że car, we-
dług zwyczaju, zamierza zamieszkać w ulubionym
swoim Oranienbaumie, że syna postanowił pozos-
tawić w Petersburgu, a carycy nakazał przema-
czyć na mieszkanie pałac w Peterhofie.

Dwór bawił się. Spacery za miasto i wieczory,
z grą w „biribi“ i „campis“, zmieniały się
koncerty śpiewami, przy dźwiękach lutni, czułych
i wzruszających, romanów niemieckich i pieśni
ruskich, utworu nadwornego muzykanta Bielihrac-
kiego.

Ażeby zadzwic z zamilkłego Łomonosowa,
cudzoziemscy faworyci poradzili prezydentowi aka-
demji zachęcić hulakę — wierszorka Barkowa, któ-
remu, za odę ku czci nowego cara, był dany ty-
tuł tłumacza akademickiego.

Koronację swą car odkładał do czasu powro-
tu z wyprawy przeciwko Danji.

— Koronę zamówić trzeba w Hamburgu, —
oznajmił Ungernowi: w Rosji niema porządnym
jubilerów; drogo, i niema czasu, — uwieńczymy się
wpierw zwycięskimi, rycerskimi laurami...

O carycy nie było prawie nic słyhać. Mó-
wili jedno, że caryca Katarzyna Aleksiejewna żyje
zupełnie, jak pustelnica, bez żadnego szacunku,
siły i władzy. Na nią zwracano mniej uwagi, niż
na siostrzenicę kanclerza, hrabinę Elizawietę Ro-
manownę Woroncową.

— Kocham dyscyplinę, jestem wymagający, lecz daję i ulgi, — mówił Piotr Fiedorowicz: niech naród odpoczywa, — czas okrucieństw i lęku w Rosji minął... Niech mnie w potomności nazywają łagodnym Tytusem...

I rzeczywiście, — w pierwsze dni rządów swoich, — Piotr Fiedorowicz wrócił z zesłania mnóstwo osób, zesłanych jeszcze przy jego ciotce, Elżbiecie Piotrównie.

W kołach wyższego towarzystwa Petersburga, co dzień nieomal, od wiosny 1762 r., zaczęły ukazywać się dziwne, nieznane i obce nowemu pokoleniu, widma przeszłości, przestarzali elżbietkańscy dygnitarze i faworyci, którzy niegdyś kierowali losami Rosji, a teraz wydawali się trupami, które wstały z dawno zapomnianych i rozwalonych mogił.

W początku czerwca Mirowicz był w drodze powrotnej z Prus. Lecz w pierwszym pogranicznym mieście przedstawiono mu polecenie wojennej kolegi — pozostać na miejscu, do Petersburga nie jechać i oczekiwać na dalsze rozporządzenia od najbliższej władzy. Tu otrzymał list od Pczółkinój.

Poliksena dziwiła się, że zwleka z powrotem i dodała, że Czurmantiejew został przeniesiony za Wołgę, że już dawno opuścił Szlisselburg i w tych dniach jedzie z dziećmi do Kazania i dalej. Poliksena z początku zamierzała pozostać u Bawokinoj, lecz rozmyśliła się: żeby z tego nie wyszły dla niej, zaręczonej narzeczonej, jakiegokolwiek szkodliwe plotki i następstwa.

„A gdzie się podziąć, nie wiem, — pisała: pan zaś, mości panie, Wasilij Jakowlewicz, tak skąpisz

z wiadomościami. Zapraszają mnie Pticyny, i myślę do nich na ten czas się przenieść! Niech pan tam pisze. Mają oni willę na Kamiennoj, i bardzo proszą. Lub poradź pan co innego?”.

Polecenie kolegi wojennej i ten list tak zmarły Mirowicza, że nie wiedział, na co się zdecydować.

„Czurmantiejew przeniesiony za Wołgę, Poliksena znów w Petersburgu, — gubił się w domysłach: szkodliwe plotki i następstwa... Co to wszystko znaczy? i gdzie książę? czyżby, w końcu, uwolniony? W cudzoziemskich gazetach o tem coś pisano“...

Car Piotr Fiedorowicz, przejeżdżając w pierwszych dniach czerwca po Petersburgu, postanowił obejrzeć w Petropawłowskiej fortecy mennicę. Przy tem rzekł do otaczających:

— Ta fabryka, panowie, podoba mi się więcej od innych; gdyby była przedtem moją, nie tak by aranżował bieg moich finansów: wiedziałbym, jak z niej korzystać...

Do fortecy car wjechał przez północne, kronweskie wrota, na których rzucił mu się w oczy nieoczekiwany, który bardzo go zaniepokoił, napis.

Wielkimi, bladymi, wyblakłymi od czasu i słońca literami, na górnej części, było napisane:
Joannowskie wrota — 1740 r.

— Baroniel — z uczuciem prawie przerażenia, rzekł car, do siedzącego obok niego Korfa: spójrz pan! 1740 rok! imię Joana! Oto cudo... Wszędzie to słowo wyskrobywali, topili, palili, a tu oto, w fortecy, i przeoczyli... Kiedy nadejdzie chwila i mój siostrzeniec, były car Joan Trzeci, z należną pompą, znów ze mną wjedzie do Petersburga pierwsze, co mu pokażę będzie to imię...

Wypadek z napisem nie minął nadaremnie.

„Zapomniałem, o nim, zapomniałem — myślał, jadąc z fortecy, Piotr Fiedorowicz: i nikt nie przypomniał! Co odkładać i czekać na budowę nowego domu? Wywieźć go czempredzej ze Szlisselburga... I jemu będzie lżej, poznajomi się z księżniczką Elżbietą, swoją narzeczoną, i zamysłoną sprawę powoli zacniemy“...

W dzień potem, do Szlisselburga od Ungerna była posłana sztafeta, która bardzo zaniepokoiła komendanta i nowego starszego komisarza.

„A przecież białą to planetę i wprost przypomnieli sobie na naszym horyzoncie, — pomyślał Zycharew, idąc oznajmić aresztantowi radosną wieść: „nie zapomnij, Paniel obok niego i naszej doli“...

III.

Student moskiewski.

W początku czerwca 1762 roku, Łomonosow wyjechał na kilka dni za miasto, do własnego, ofiarowanego mu przez zmarłą carycę, folwarku Korowałdaj i Ustrudica, spojrzeć na gospodarstwo i odpocząć na powietrzu wiejskiem.

Folwarki te leżały za Oranienbaumem, w ówczesnym Koperskim powiecie, o siedemdziesiąt wiorst od Petersburga, i były подарowane Łomonosowi celem urządzenia fabryki szkieł różnobarwnych, pereł szklanych, do nawlekania i paciorków, — „jako pierwszego w Rosji wynalazcy sekretu tych wyrobów“. — Ziemie tych folwarków zraszała głęboka i bystra rzeka Rudica, nad którą przed dziesięciu laty, urządzone były młyn, tartak i fabryka szkieł barwnych.

Teraz to wszystko było zapuszczone.

Niewielki z jodłowych belek dom, z ciągle zamkniętymi okiennicami, jedną stroną wychodził na gęsty odwieczny las pustej Ingrii, drugą — na pagórkowy brzeg morza. Nad poczeriałym dachem ze skrzypieniem kręcił się zardzewiały blaszany Eol. Był to znak samopiszącego obserwatorium meteorologicznego. Budynki gospodarcze wokoło domu, wycinany parkan z desek i most przez rzekę starzały się, bez dozoru, i również były zapuszczone. Jedna droga, — brzegiem morza, do Oranjenbaumu i Petersburga, druga — na górę, — do sąsiadów, z których najbliższym był żonaty z wnuczką feldmarszałka Minicha, właściciel folwarku Annenthal, baron Iwan Andrejewicz Fintinhof.

Przed trzydziestu laty sam włościanin rybak, Łomonosow z swoimi dwoma setkami poddanych czuchońców, których według rozkazu „przy tej fabryce zapisali na wieki“, był zapobiegliwy, sprawniwy, lecz, jak wogóle z podwładnymi i młodszymi, wymagający i surowy. Kochał ich, troszczył się o ich potrzeby i nie patrzył na nich, jak na obcych, zgóry, zabawiając się, kiedy niektóry zagłodzony chłopina, przy spotkaniu, nie zdejmował przed nim czapki i po prostu przychodząc do swego znakomitego pana, siadał przy nim i opowiadał o swoich troskach. „De science — akademik jam, — szacunek od wszystkich nakazany mi jest zgóry! — patrz, nie zawstydyź mnie przy innych!“ — żartował pan Korowałdajski, częstując chłopinę piwem i wódką.

Gospodarstwo Łomonosowa, szczególnie w ostatnich latach, szło bardzo źle. Żółtowołosy i Żółtooki, lecz chytry, miejscowy burmistrz Adamka Kuwelajnen, z młyna i pozostałych artykułów dawał w ostatnich czasach Michajle Wasiljewiczu takie

sprawozdania, że i skórka za wyprawę nie starczała. Za to Adamka zjawiał się przed panem z chatynki, zbitej z pni, polan, mchu i kory, nie tylko bez czapki, lecz, na dowód swego ubóstwa i marności, nierzadko bosy i nie nazywał go inaczej jak „grabia“ i „wasza wielmożności“, a jego kiesa i on sam — grubieli niepomierne.

I w czasie tego pobytu Michajło Wasijewicz zajmował się więcej sprawdzaniem samopiszącego Eola, niż rachunkiem postarzałego tartaku i przechylonego na bok młyna. Pomówił z Adamką o doprowadzeniu do porządku domu, z którymś z włościan; zamyślony, posiedział na ganku, z którego widniały bielejące w oddali gotyckie, drewniane wieżyczki Annaenthalu; zachwycał się widokiem spokojnego, bezbrzeżnego morza i wyjechał do Petersburga przez głąszę leśną, pełną śpiewów ptasich i krzyków, i wieczornego zapachu trawy i drzew. „Dobrych obyczajów lud, — myślał o włościanach, którym dla pomocy chorującemu i schnącemu bydłu kazał rozdać i tym razem, z powodu suszy i braku paszy, najlepsze łąki: szlachetną uczciwością i troską najlepiej łaski swe przyjemnymi i upragnionymi zrobisz... Ech! Trzeba by dłużej u nich pogościć, bliżej przyjrzeć się tym mało jeszcze pojętym... Lecz interesy, obowiązek służby nie pozwalają... Trzeba wyrwać się, pomyśleć“...

Do domu swego, na Mojce, Michajło Wasiljewicz powrócił odświeżony, z lekką, otwartą dla cichych radości, duszą.

— Za tydzień, — uprzejmie rzekł do żony i córki: wszystko na folwarku będzie gotowe. Oto macie siurpryzę, — przeniesiecie się tam na całe obecne lato.

Córka zaczęła skakać z radości; żona westchnęła, nachmurzyła się.

— Wmieście wszystko staję się drogie, — oznajmił Łomonosow: tam niema co kupować, — ogród, żywność i chleb swoje. I krowy nasze podpasą się na łąkach. Jedno nieszczęście, mościa pani moja, dochodu przytem ani grosza.

— My i tak, herr profesor, — mietosząc fartuch, odpowiedziała żona, Lizawieta Andrejewna: my i tak — co nam? — przywykłyśmy siedzieć w domu...

— I znakomicie, mości pani, robicie! — z uśmiechem pokłoniwszy się, wyrzekł Michajło Wasiljewicz: lepiej siedzieć z robotką lub mądrą książką, w domu, w oddali od gwaru i wszelkich ludzkich głupstw, niż — Boże mój! — mieć do czynienia z pustymi komedjantami i szkodliwymi włóczęgami, i plotkarzami... Z nimi do rodziny wkradają się złe przyzwyczajenia, rozdźwięki, krętanina i wszelakie kłamstwa... Jestem im przeciwny, przeciwny!... A i pani, frau profesorin, zgodzi się, nie zdobędziesz hipochondrji przy gospodarstwie, w troskach o swoje potrzeby i o swój kąt.

Następnego dnia wczesnym rankiem Łomonosow wyszedł do swego ogrodu wiejskiego, odciął kilka suchych i zbędnych gałązek, obejrzał szczególnie pnie drzew owocowych. Zawinawszy ręce w rękawy, dokopał zaczęta grządkę, dla sprowadzonych nasion dzikiej bawełny, — saclepias syriaca, — i, obłożony książkami i rękopisami, za siadł w oddalanej altance — pracowni.

„No, teraz nie prędko wyjdzie stamtąd! — patrząc do ogrodu, pomyślała Lizawieta Andre-

jewna: zapomni o wszystkim, nawet o jedzeniu... O, du, mein Gott! ist das ein Mensch?.. Entuzjasta!.. fantastyk! Nie będzie się myć, broda zarosnie... I tak na tydzień, na kilka tygodni.. och! i co on pisze?.. O Syberji, o chińskich i indyjskich carskich powozach... A ja mam wszystkiego jedną suknię jedwabną,— wszystkiego jedną.. U żony sekretarza akademji Tauberg, u profesorowej Wintzheim po pięć, a jeszcze w swoich powozach po mieście jeżdżą... My więcej chodzimy piechotą. Byli lokatorzy; a teraz, oto, krawiec Kriech, jakoby z powodu naszych przebudówek, a ja myślę, że z oszczędności, z wyrachowania, przeprowadził się na Litejną; piekarz Miller zamierza do Oranienbauma, — dwór tam się wybiera, — i frau Bawykina znalazła miejsce u jakiejś tam bogatej greckiej damy, — w taką głuszę do Kalinkina mostu przeniosła się... Na folwark!.. I cóż tam dobrego, wśród ordynarnych tutejszych chłopów?.. To nie Marburg — złota moja ojczyzna.. O krowach fantastyk, entuzjasta, myśli, a o naszych wygodach ani słowa“...

Lizawieta Andrejewna omyliła się. Michajło Wasiljewicz tym razem, we właściwym czasie, a mianowicie w południe, opuścił altankę, maszynę, z przyjemnością zjadł obiad, pożartował z Lenoczką — „tyś to iljowo lica i złotowłosa, grecka Helena, i żeby to ciebie kto jeszcze ode mnie tu nie porwał“ — poszedł do sypialni i zasnął tam na półtorej godziny. Potem znów pracował w altance.

Był już wieczór, kiedy Łomonosow opuścił tonący już w mroku ogród i z teczką pod pachą ukazał się na ganku murowanego domu na Mojce, gdzie w końcu maja przeprowadził się z rodziną, z powodu przeróbek w opuszczonej przez lokato-

rów oficynie. Michajło Wasiljewicz nie krępował się mieszczan. Na oczach wszystkich lubiał wieczorami siadywać u siebie na ganku w cieniu brzoź, — bez peruki i w tym samym starym kitajkowym szlafroku, w którym zwykle pracował. W tym samym szlafroku przyjmował tu raz i znakomitego swego przyjaciela i sąsiada z Mojki, Iwana Iwanowicza Szuwałowa, w złotej karecie i wstędze orderowej, za dawnych dni, przyjeżdżającego do niego na pogawędkę prosto z pałacu.

Obszerny, zasłonięty brzożami, ganek wychodził na niebrukowany, zarosły trawą, brzeg Mojki. Żołnierki na tratwie prały bieliznę. Przewoźnicy, wykrzykując, ciągnęli linami naładowaną barkę z cegłą. Czyjaś gęś, z żółtymi gąsieniami, pasła się na trawie. Gromada bosonogich chłopców i dziewcząt z sąsiednich domków biegała na wyścigi po zielonym brzegu, wznosząc tumany gęstego, żółtego pyłu, za każdym razem, gdy wyskakiwała na wyjeżdżoną kolej uliczną. Czerwonolacjata, holenderska krowa Lizawiety Andrejewny, nadszedłszy z pola, czekała pod bramą, dopóki stróż i woziwoda, dymisjonowany bombardjer Skworcow, nie otworzy jej furtki. Własny, biały czudzki wieprz Skworcowa, chrząkając, czochał się pod płotami.

Lenoczka wyniosła ojcu na ganek kwartę zimnego kwasu mietowego. Wypił go duszkiem, pocałował Lenoczkę, zażądał jeszcze trochę i pozwolił córce biegać po ulicy. Usiadłszy na ławce przy okrągłym stole lipowym, zobaczył swą teczką do pracy i dwa listy.

W jednym liście było zaproszenie z pułku Izmajłowskiego, na dziewiąty czerwca, od jego sąsiada ze wsi, barona Fitinhofa, na wieczór, na pogawędkę i na fajkę tytoniu.

— Znam ja tą fajkę,—pomyślał, odsuwając list, Łomonosow: wieczorynka ku czci powróconego znakomitego dziadka, Minicha... Niema wątpliwości, wszystka arystokracja tam będzie, przed rozjechaniem się dworów na letniska... Oranienbaumowcy, peterhofcy... Montecci i Capulletti... Jedenastego czerwca rozłokują się do nowego starcia oba wrogie obozu.. A przed rozjechaniem się — to spotkanie głównych obecnych dzierżycieli naszych losów, holsztyńczyków i pozostałych niemców. Wstrętne obrzydliwych kreatur twarze i mowyl.. No, ich do djabła... nie pojadę! Zestarzałem się — pchać się między dworaków, niema pogo. A oni wszystko knują przeciwko Katarzynie Aleksiejewnie... Szkoda mojej mądralil Duszę bym oddał za nią, przesładowaną, chociaż i nie wie ona o tem, nie wie. Ot przy kim by rozkwitł zbór ukochanych nauk! Jak to jej prace, rozmowy w ciszy z genjuszami wieków! Czy żart to, po rusku mówi i pisze jak rodowita rosjanka,—lecz gdzie tam, dużo lepiej od wielu ruskich... Odwiedziłbym ją, jeszcze potępią. Nigdzie teraz nie jeżdżę, zamknąłem się i oczekuję, co będzie... A będzie, zdaje się, niedobrze... Ciekawe tylko, czy prędko?

Drugi list był z poczty, od Mirowicza.

„Wielce czcigodny i szczerzy mój obrońco i protektorze,—pisał Wasilij Jakowlewicz: wybacz za dokuczanie tą moją kartką. Wydarzyły mi się dziwne, smutne sprawy. Pierwsze—pokój dawno zawarty, a mnie, czasowo posłanego z komisją od pułku narwskiego, zatrzymali przy powrocie, jako-by dla ochrony rannych, z początku pod Kownem a potem w innej norze, w ohydnyem żydowskiem miasteczku, Szawłach, gdzie i obecnie przebywam. Ach, wielce łaskawy patronie i doradco mój, ratuj! Pisałem niejednokrotnie przy posyłaniu sztafet,

prosiłem oddziałowego i lekarzy: lecz, zupełnie, jakby wszyscy ogłuchli,—Nie rozgniewaj się,—odpowiadali mi: głupstwa pleciesz i rozum, widocznie, zupełnie straciłeś; lecz, czyż my możemy pójść przeciwko woli z góry? Siedź i czekaj.—Michajło Wasiljewicz! Na młodość Pana Boga, odwiedź którego-kolwiek z silnych holsztyńczyków. Pan im wymyśla, a oni, przy władzy, teraz jeszcze więcej mają posłuchu. Jak słyhać, Biron, a i Minich również powrócili z zesłania, i na wzór sępów, znów krążą nad stolicą. Poproście ich, albo którego z niemców w waszej akademji, ażeby mnie stąd wypuścili. Pana usłuchają. Jeżeli nie to — nieszczęście. Czyżbyż prawda była wypędzona ze świata? Wywyższenie—w poniżenie, zasługa—w cierpienie i smutek się obróciły! Żyję, jak pustelnik-mnich, uczę się cierpliwości i wszelkie męki dla własnej nauki i jako podniecię do światła wewnętrznego przyjmuję. Według przykazania nauczycieli wielkiego zakonu, naśladowując starożytnego Adama, gotów jestem wystąpić przeciwko zgniliznie, grzechom i szatanowi, gotów jestem walczyć przeciwko wszelkim pokusom, nie dotykając sercem ich próżności. Lecz czy starczy sił? Wokoło zawiść, złość, beznadziejni pijacy, szalbierze, wieczne kłótnie, pijaństwo, karty. Rzuciłbym wszystko, uciekłbym, lecz ukarzą, jako dezterera. Poczekam jeszcze trochę. Nie poratuje pan mnie,—nieszczęściel! Co przedsięwziąć, co myśleć, nie wiem. Ach, gdyby pan widział tą martwą głuszę i dziczyznę, ten grzbiet tygrysa, na którym siedzę obecnie, między życiem a śmiercią—W. Mirowicz.“

Zamyślił się Łomonosow nad tym listem. „Do holsztyńczyków, do donnerwetterów iść! Jaka kara Boża, szyderstwo natury! — rzekł do siebie, rozkładając ręce: a szkoda chłopca! z sensem

i duszą! Naśladuje starożytnego Adama... Natworzyli kłamstw tępe niemieckie głowy o masonerji, ten i bez tego przeciwny naturze ascetyzm.. Życ by, żyć i zabawiać się.. I przedmiot jego miłości, ta dziewica, chyba, naprawdę również tęskni w takiej przeciwności losu... I wszędzie, we wszystkim taka bezsensowność, takie niepokoje rozwartego na wszystkie strony politycznego i społecznego naszego horyzontu... Co robić? Co przedsięwziąć?"

Łomonosow otworzył teczkę, wrzucił tam listy, wydqbył zeszyt do pracy, przewrócił kilka stronic i zamyślił się nad wierszem „Świerszcz”. Naszkicował go w czasie ostatniego przejazdu swego przez lasy peterhofske.

„Nie prosisz, nie winieneś! — westchnął Łomonosow: a główne — wolny! Wolność, ojczysta wolność! dalekie Białe morze, próg ojcowski... A tu? Intrygi, wykrętni przejsiciowi ludzie i wieczna podziemna, krecia wojna! Wielki mój bohater Pierwszy Piotr! Dlategoś, dla tryumfu i nadmiaru codziennego, chciwego kłamstwa, zamysłilesz ulubione dziecię swoje — Petersburg? — Wyjadę, porzucę ten Babilon, rzucę niepewne, burzliwe dzie. W siermięgę się przyodzieję, brode zapuszczę i nazawsze się ukryją w wiejskiej, spokojnej głuszy.. Wyszedłem z ludu, do ludu powrócę.. Czas!”

Krzyki i bieganie dzieci na brzegu niespodziewanie umilkły. Łomonosow spojzał na ulicę.

O dwieście kroków od domu, w stronie Siwego mostu, zatrzymał się najemny powóz. Siedzący w nim, nachyliwszy się, dopytywał się o coś chłopców z ulicy. Do ganku podbiegła Lenoczka.

— Kto, kto? — spytał Łomonosow.

— Wissen... fon... lub jak... no, Wissen,— z trudem chwytając powietrze, odpowiedziała cała

ezerwona z biegania Lenoczka: student z Moskwy... on do was pisał...

— Al przypomniał, proś! — rzekł, spiesznie otulając się w szlafrok, Michajło Wasiljewicz.

„Do zagranicznej kolegji prosi... wiersze w tych dniach przysłał do przeczytania!” — rozmyślał, przykrywając głowę starym, poźółkłym trójkątnym kapeluszem.

Powóz zjechał przed bramę. Na ganek wszedł osiemnastoletni, przystojny, z okrągłą twarzą z rumianymi, odkrytymi puszkiem policzkami, pulchnymi ustami i wielkimi wyrazistymi oczyma, choć cokolwiek workowaty i nie na swe lata tęgi młodzieniec. Miał na sobie szary, wprost z pod igły, studencki pół-sukienny mundur. Z pod przypłaszczonego trójroźnego kapelusza wydobywał się jasny, w naturalnych jedwabistych puklach, harcap. Uśmiechał się, przypominając ruchami spokojnej rzeźkiego, wypasionego żrebaka rysaka. Z ukazaniem się jego na ganku, dał się poczuć zapach, wchodzących wtedy w modę perfum cynamonu, lub gocukich jagód, rosa cinnamonea.

— Lejb gwardji siemionowskiego pułku sierżant i student moskiewski... — zaczął gość, dobrodusznie i kanciato kłaniając się: przed czterema laty, w domu naszego kuratora jaśnie wielmożnego Iwana Iwanowicza Szuwałowa, miałem szczęście być panu przedstawionym...

— Tak, tak.. Jakżeż, pamiętam... Bardzo mi przyjemnie.

— I pan mnie jeszcze wtedy spytał, czego się uczyłem A ja miałem zaszczyt odpowiedzieć, — po łacinie, za co i byłem przez pana aprobowany! — ciągnął dalej, wachlując się kraciastą chustką, student.

— Tak, tak, panie Fonwizin! — i to wszystko

przypominam sobie—wyrzekł z uśmiechem, sadząc gościa, Łomonosow: i list pański otrzymałem, i projekt o zamysłonej komedji pochwalam. Cóż? czy pisze pan, — jak to pan myśli nazwać? — „Brygadjera?”

— Zacząłem, lecz nie udaje się wciąż, — zamieniwszy się po uszy, odpowiedział młodzieniec, zachwycony uwagą wielkiego pisarza,

— Cóż przeszkadzało? — róże przyjemności? kolce nauki?

— Prawdę raczył pan powiedzieć, rozrywek to za dużo!... Wie pan, w Moskwie tak wesoło, tylu krewnych... i pod Moskwą również... u babki. Małanja Iwanowna, babka moja,—staruszka, a pełna życia,—na harfie gra, lubi wesołość i pana wszystkie rzeczy na pamięć umie. Chyba gdy wstąpię na służbę, to wtedy...

— Piszcie, mości panie, demaskujcie złe i głupie obyczaje, — rzekł Łomonosow: znakomity pomysł wziął pan, i tło bardzo odpowiada czasowi, llu takich próżniących nieuków obciąża ziemię! A i małżonkę wymyślonego pastucha, brygadjerową, staranniej niech pan obrobi. Wszystkich naszych głupawych elegantek pokrewną jest taka arcybestja. Lecz mądrze, ojczulku, — ostrej zrzeczności słowo wyszukawszy, — dotknijcie przytem i nasz pościg za modami, z jego bezsensownością, rozpustą i wszelakiem głupstwem!.. Pan to potrafi. Imię i imię ojca pańskiego?

Gość wymienił je.

— Tak, Denis Iwanycz, niech pan pisze. Inaczej—grzech! Talent dał panu Pan Bóg niewątpliwy.

— Wiersze zaś... raczył pan przejrzeć wierszyki?—pożerając pełnemi zachwyty oczyma zna-

komitego poetę, spytał Fonwizin: ja panu, Michajło Wasiljicz, posłałem z Moskwy kilka arkusików...

— Poprostu nie to że piękne, a znakomite! — z uśmiechem łagodnych, surowych oczu, oparłszy się o ławkę, rzekł Łomonosow: oto wasze pismo — tu, do tego notatnika mojego włożone. Chciałem odpowiedzieć, lecz byłem na wsi. Nie rozstaję się z nimi, zachwycam się... Lis — Oszust zachwycający. Pochwały jego dla zmarłego Iwa niezrównane: „on miłość byłą w duszy swej żywił!” Ach, jak pan uradował.. Trafnie powiedziane, lecz nie mniej humorystyczne i złośliwe są i te protesty kreta:

„Tron łagodnego cara, godzien ołtarzy,
Był zbudowany z kości rozszarpanych zwierząt,
Za jego rządów ulubieńcy i wielmoże
Zdzierali bez rangi z niewinnych zwierząt
[skóry...]

I słowem, była sprawiedliwość sroga,
Ze kto kogo zmógł, to ten tego na rogi“..

— Winszuję, panie moi, winszuję! talent! — ciągnął ze szczerym zachwytem, klepiąc ręką po rękopisie, Łomonosow: strzały Swifta i sól Beoulieu!.. Godzisz, mości panie, prosto na Horacjusza... Umiarkowanie tylko, umiarkowanie, — nieustępliwa cierpliwość i praca. W odezwie zaś do rozumu swego i uczciwość i ostra drwina satyrą chlaszczą razem..

Ty chcesz głupców w Rosji zmniejszyć,
I chcesz zmniejszać ich w takie dnie,
Kiedy ze wszystkich stron napływają oni?...
Kiedy by tu z głupców podatki ściągano,
Jedna by Francja skarb wzbogaciła“..

— Właśnie tak, właśnie! — wyrzekł, śmiejąc się i kaszląc Łomonosow: no, miłe, a i wszystko

tu... Jada, dają do obcych krajów — mądrości szukać... A patrzysz, młody rosyjski prosiaczek, objechawszy teatry i kawiarnie obcych krajów, powraca nic a nic nie mądrzejszy, — prawdziwą ruską świnią!... Lecz pozwólcie, czym was, moi panie ugościć?..

— Zlituj się pan, — odpowiedział, zrywając się i kłaniając, Fonwizin.

Nie wiedział, gdzie patrzeć. Spocona, przystojna, obrosła puszką twarzyczka jego wyrażała dziecięcinną bezradność i gwałtowny zachwyt.

— Eh, bez tego nie można... Lenoczka, a Lenoczka! — krzyknął Michajło Wasiljewicz: moczonej maliny nam przynieść, z cukrem... Chołmogorscy ziemlacy, Denis Iwanycz, w post w prezencie przywieźli. Nie odmawiajcie, spróbujcie... Podali maliny...

Rozmowa nie przerywała się. Słońce zaszło. Brzeg Mojki opustoszał. Poszły dzieci, baby — żony marynarzy, gęś z gąsieniami, krowa Lizawiey Andrejowny i wieprz stróża. Gospodarz i gość z ganku udali się do ogrodu. Nad sąsiednimi dachami wzniósł się księżyc. I zanim się wzniósł, oświetlając czyste, daleko widoczne niebo, akademik i student, rozmawiając, spacerowali po krętych, pełnych chłodu i smolnej mgły, ścieżynach.

— I pamiętaj pan przykazanie przyjaciela, — zwolnwszy kroku, rzekł z porywem Łomonosow: czcij pan wysoko związek cnoty, akordy ogólnego szczęścia i dobra... Bądź pan zwiastunem wiecznej prawdy, uciekaj jaknajdalej od niesytych zbytku i wszelkiej podłości kreatur, kłaniającego się nizko tłumy. Wie pan, widywaliśmy takich; w głowie wieje, pustki; na ciele niektórego świniopasa koszuła niema, a chodzi w brylantach, w jedwabiach... patrz, mówi, jacy to my jesteście!..

— Tak więc pan, moi panie, życzy sobie, ażeby przemówił za nim słówko do kanclerza? — spytał, przy rozstaniu, Łomonosow.

— Przez całe życie będę Boga błagać.

— Lecz czemuż moje słowa będą silniejsze choć od mowy Iwana Iwanycza, któremu pan niegdyś był przedstawiony?

— Faworyt więcej nie jest faworytem... a Łomonosow był i na wieki pozostanie Łomonosowym! z niekłamanem uczuciem i zarumieniwszy się aż do korzeni jedwabistych, jasnych pukli, odpowiedział Fonwizin.

— Tak, tak, — rzekł zmieszawszy się Łomonosow: wiele zaszczytu!... tylko mylicie się, moi panie... nie te obecnie czasy...

— Nie myślę się, Michajło Wasiljcz. Kanclerz czci pana i nie odmówi. A jak już pan mi dopomógł! Służba da sytuację w świecie, środki do życia, — rodzice moi co do nich, na nieszczęście, nie są zamożni, — a ze środka, z poparciem współczujących przyjaciół tylko i można u nas pisać.

— Prawdziwie powiedziane, po sobie wiem, — wyrzekł, ożywiając się Łomonosow: — poparcie, przyjaciele, — trwalsza z nimi robota... Z gwarem, pszczoły miód niosą... Inną prawdę powiedzieli. U nas na pisarza patrzą jeszcze, jak na ogólnego krzywdziela lub błazna. Myślą, że uczony, na podobieństwo Diogonesa, winien z psami mieszkać w budzie. Plugawi mówcy, źli prostacy i pyszni faryzeusze. U mnie naprzykład, — znów rozdrażniony, z goryczą wykrzyknął Łomonosow: jak choroba przyjdzie, rodzina czasem niema za co kupić medykamentów. Fabryka szyb mozaikowych i pozostałe eksperymenty wszystkie dochody przy domowych trudnościach na długo pochłoneły... Szelma zaś, naszej konferencji radca, Schumacher, — główny

oszczercą i osobisty mój wróg, — zięciowi swemu, Taubertowi, w posagu prawie że całą akademję oddał, a mnie — wynalezioną przeze mnie lunetę astronomiczną za skarbowe pieniądze, potrójnie przeklętą niemiecką pałą, wciąż nie sprawia... Żmija pod trawą! I już, doprawdy, jaka szkoda, że dotychczas nie domyślili się ich powywieszać...

Gość i gospodarz zbliżyli się do furtki ogrodowej.

— Więc jakżeż, Michajło Wasiljicz, — ocierając się chustką i znów rozpościerając zapach cynamonu, spytał Fonwizin: zaszczytacie rozmową o mnie z kanclerzem?

Łomonosow odpowiedział nieodrazu. Nie spuszczał oczu z przystojnego, utalentowanego młodzieńca, w jasnych loczkach i w szarym, prosto z igły, letnim, półsukiennym mundurze, stojącego przed nim.

— Daj mu Boże, daj Boże! — myślał: nowa siła ojczyzstego rozumu... Lecz jak mu pomóc?

Przypomniawszy sobie o zaproszeniu na wieczór do Fitinhofa: — „Dawno nie wyłaziłem ze swej nory! rzekł do siebie Michajło Wasiljewicz: chyba wdziać perukę i galowy mundur akademicki, i już odrazu na tem holsztyńskim zebraniu postarać się i o Mirowicza“.

— Długo będzie pan gościł w Petersburgu? — spytał gościa.

— Z tydzień, a gdy potrzeba, to i dłużej. Dali mi rodzice urlop na miesiąc.

— Gdzie pan mieszka?

— U wujka, w pułku Izmajłowskim. Oto mój adres... Pozwoli pan, mam książeczkę, zapiszę... Gdy pan przyjedzie, proszę spytać o błoto, za błotem ogród, a w ogrodzie, w takiej oddzielnej murowan-

ce, — łaźnia czy kuźnia tam przedtem była, — mnie, gdy przyjeżdżam, dają mieszkanie.

— I znakomicie, — dziś czwartek, — zdecydował Łomonosow: w niedzielę wieczorynka w Izmajłowskim również pułku, u sąsiada mego ze wsi, a jeżeli pan słyszał, barona Fitinhofa. Kanclerza dawno nie odwiedzałem; nigdzie nie jeżdżę. A on po ich stronie... Dowiem się, i jeżeli hrabia Michajło Łariwonycz będzie tam, ja również tam pojedę i o panu, panie mój, jak by przy okazji, rozumie pan, pomówię.

— Nie mam słów, jak dziękować — odpowiedział z ukłonem Fonwizin.

— Bezustanna czujność piszących ludzi ruskich, a szczególnie choć młodych, lecz tak utalentowanych, — rzekł Łomonosow: państwu jest potrzebne... Oto carska żona, Katarzyna Aleksiejewna, — słyszał pan, jakie postępy w ruskim stylu w tajemnicy dokonała? Czy dawno, pamiętam, pisywała w listach: „ij mysły“... „gospodaz“, — zamiast „jej myśli gospodarz“... A teraz i pana ze mną za paszatknie. Godne naśladowania... A wie pan, mości panie, a propos, jaki błąd, na przykład, popełnili w „Petersburskich Wiedomościach“, przy oznajmieniu w listopadzie sześćdziesiątego roku, o zdobyciu Berlina?

— Nie wiem.

— To była umyślna i złośliwa szykana obrażonych tutejszych niemieckich bydła... I ja za nią omal lichtarzem nie dzieliłem w pysk sekretarza akademji Tauberta... Byłego naszego posła w prusach hrabiego Piotra Czernyszewa, wyobraź pan sobie, jakoby przez omyłkę, — zamiast rzeczywisty kamerher, — publicznie wydrukowali rzeczywisty kamerdyner.

Bal u Fitinhowa.

Baron Iwan Andrejewicz Fitinhow, żonaty z wnuczką feldmarszałka, hrabiną Anną Siergiejewną Minich, mieszkał w wielkim drewnianym domu, wychodzącym oknami na Fontankę, przy Izmajłowskim moście. Tu zamieszkał z początku, po powrocie tej wiosny z zesłania, Minich, który później przeprowadził się do domu Naryszkina, przy moście Siemionowskim.

Wieczór niedzielny, dziewiątego czerwca, przyciągnął przed dom Fitinhowa wielki tłum gapiów.

Bulwar Fontanki i obydwie strony olbrzymiego, otoczonego wysokimi drewnianymi sztachetami podwórza zatłoczone były przez powozy. Wyłoczone i zamalowane amarami i kwiatami karety, powozy i kryte wiedeńskie linijki coraz, to w osiem i cztery konie przejeżdżały z bulwaru w głąb obszernego podwórza, gdzie dwoma szeregami ogni płonęły jasno oświetlone, gdziegdzie naroścież rozwarłe okna.

Podjechała lustrzana, wszystkim znana kareta sztalmejsztra Naryszkina; za nim lando posła pruskiego Goltza. Wpadł szóstką, cugiem, z murzynami i laufkami, jasno-błękitny, otwarty berlin, młodego pięknego huzara Sobańskiego, krewniaka „panie-kochanku” Radziwiłła. Kierowana przez Piera, grzmiała muzyka nadwornej orkiestry. Przerzywał ją, umieszczony za domem, w ogrodzie, chór śpiewaków Bieligrackiego. Klomby i drogi w ogrodzie były iluminowane. Na stawie, naprzeciwko głównej alei, szykowano fajferwerk.

„Ball czart z pieca spadł ho-ho! — śmiano

się w tłumie ulicznym. — Kaskady, chłopcy, ogniście fontanny będą, luminacja! — podchwytywały głosy: pozostawaj choć do rana! — „Orzechy, chyba, rubelki będą przez okna sypać!” — „Dadzą ci, Mit’ka, orzechów... Widzisz, zmije holsztyńce! załoba po carycy się nie skończyła, a oni, wrodzy, uczty wyprawiają...”

Z ulicy było widać, jak wystrojone, w kwiatkach i lekkich balowych sukniach, piękności, wyfruując z powozów, wbiegały po czerwonym suknie ganku. — „Patrzno, Pietrajka patrz... — hrabina Briusowa... Gagarina księżna... hetmanowa z córkami...” — „A stamtąd kto zajechał?” — „Skąd?” — „A od prospektu...” — „Baron jakiś tam...”

W oświetlonych żyrandolami oknach ukazywali się, w gwiazdach i wstęgach, znani miastu holsztyńscy i ruscy dygnitarze, migwały upudrowane, z harcapami, głowy wojskowych i cywilnych elegantów, tłoczyły się białe, żółte i czerwone, nowego kroju, mundury gwardji i armji...

Był początek dziewiątej godziny wieczorem. W pokojach stawało się duszno. Tańce z przeprowadzonej przez gości sali przeniesiono do obszernej galerji kwiatowej, z oknami na ogród, wychodzącej na pierwszą rotę pułku Izmajłowskiego.

Menuet zamieniony został przez kotyljon, gawot — przez grosfater, grosfater — kontredansem. Skrzypce Pieri jęczały, jak turkawka, beczały, jak baranek, rozsypywały trele, jak słowik. Klarnety, oboje i flety podchwytywały ryk mosiężnych trąb; kontrabasy huczały, jak stado nadlatujących chrząszczy majowych.

„General — policmajster Korf jedzie! Korfl! Rozstąpcie się, bracia! — odezwali się z bulwaru: hetman, hetman!” — „Gdzie?”

— „A oto on, przedni forysia mkną przez most... laufer krzyczy“.. — „Zabieraj, Wasil Mitrycz, py-k, — na wskroś przebiją“!..

— „Hno-ho-o“! — śmiał się napływający z niebrukowanego bulwaru tłum.

W sali portretowej i gabinecie gospodarza starsi grali w karty.

Lokaje roznosili wina, likiery, orszadę i lemoniadę. Tłusty i dostojny, jak pies newfoundlandzki, czerwony na twarzy szwajcar, w wielkiej pudrowanej peruce, z długimi i cieniutkimi huzarskimi warkoczami na skroniach, w czerwonym kaftanie, z galonami i guzami, w pończochach i trzewikach, stał z buławą przy progu głównego salonu i basem w żabot, wygłaszał według nowej mody nazwiska wchodzących dostojnych osób: Opperman, Zeitz, Medem, Olderog, Bukshaewden, Kaszau, Ungern, Frederiks, Schweidel, Sztoffeln, Rosen — herbu białych róż, Rosen — herbu purpurowych róż, Szlippenbach i inni.

W liczbie ruskich, za generał-prokuratorem Glebowym, wszedł jeszcze piękny, z temi samemi gęstemi, czarnemi brwiami i z aksamitnemi, lecz już nie śmiejącemi się oczyma, wydający się zmęczonym i bardzo wychudłym, feldmarszałek Aleksy Razumowski. Za nim — pomarszczony, z drgającym prawem okiem, dyrektor niedawno zamkniętej tajnej ekspedycji Aleksander Szuwałow i Wołkow. Przy nazwisku Łomonosowa, spojrzenia wielu, z pogarliwą ciekawością, zwróciły się na workowaty, ceglastej barwy, mundur uczonego i na surową i śmiałą, żółtawą, twarz atletycznego plebejusza — akademika, którego muza uporczywie milczała przez całą pierwszą połowę tego roku. Wmieszany w pstry, pełen gwaru rozmów tłum,

Łomonosow usiadł na kanapce pod ścianą między dwoma salonami, i zaczął przyglądać się.

Zjawiała się w czerwonym, jedwabnym robronie, z długim trenem, błyszcząca pięknością i gracją, hrabina Helena Stepanowna Kurakina, faworytka niedawno zmarłego hrabiego Piotra Szuwałowa. Otoczył ją natychmiast rój młodych i starych dworaków. — „Sprawczyni wolności szlachty, — szepotały o niej złe języki: brylantów to, brylantów!“ — Kurakina śmiała się głośno z komplementów wielbicieli i z tryumfującym uśmiechem, zakrywając się wachlarzem, bacznie oglądała stroje pozostałych przysięgłych elegantek. W towarzystwie dwóch siostrzeńców — paziów, ukazała się w niebieskiej aksamitnej robie, na fiszbinach, z wstęgą przez ramię i w ognistożółtym toku, orderowa dama Buturlina. Oczy wszystkich skierowały się na Kurakinę. Ktoś półgłosem, mrugając na ostatnią, wyrzekł obok Łomonosowa: — „Odbił pięknotkę u zmarłego naczelnika Grygorij Orłow, — a i w górę poszedł przez swe zuchwalstwo wyżej...“ — Tłusta staruszka Buturlina odzukała oczyma gospodynię domu. Sapiąc i kołysząc się z nogi na nogę, podeszła do Anny Siergiejewny Fitinhof, niezgrabnie przysiadła według nowego ceremonjału dworskiego i udała, że omal co skutkiem tego nie upadła. Baronowa i stojące obok niej damy roześmiały się.

— „Przedrzeźnia, wyśmiewa carski rozkaz! — pogardliwie wskazał na nią Wołkowi Aleksander Szuwałow, przechodząc obok Łomonosowa. Dla Michajła Wasiljewicza było to obojętne. Nie spuszczał oczu z podstępного lisa, Razumowskiego, który sypał uprzejmości i, ze łzami w oczach, całował się z ulubieńcem cara Ungernem. — „Całuje go, albowiem go zdradzi“, — pochyliwszy się do ucha Łomonosowa, szepnęła słodziutki, szepleniący Becki.

Lecz co to?... Emigranci z tamtego świata...

Błyszcząca, wystrojona w jedwab, koronki i aksamit młodzież zakrzętała się. Wszyscy tłoczą się, wskazują na siwych i drżących, lecz jeszcze usiłujących być rzeźkimi starców, którzy prawie że jednocześnie ukazali się w głębi sali. Byli to powróceni zesłańcy.—Minich z Kostromy, Lestocq z Uglicza i Biron z Jarosławia. Tłum rozstąpił się. Łomonosowa odsunięto pod ścianę między okna.

Osiemdziesięcioletni, wysoki, z resztkami byłej wspaniałości i piękności, Johann Burchhardf, lub, jak nazywali go ruscy, Iwan Bogdanycz Minich, powrócił z Syberji w lutym. Siwowłosy, lecz jeszcze rumiany, uperfumowany i tęgiego zdrowia celadon jakby i nie był na dwudziestoletniem zesłaniu. Pod rękę z lekkomyślną i piękną Heleną Stiepanówną Kurakiną i młodą hrabiną Brius, nie przestając kurtyzanić, jak kurtyzanił za panowania Anny Iwanowny, całuje rączki zachwyconych jego uwagą czarodziejek, dowcipkuje i marszczy brwi na widok koszarowo kaprałskich twarzy, i zachowania się, stanowiącego zaletę nowych sfer dworskich.

W pobliżu niego, — siedemdziesięcioletni, zesłany przez tegoż Minicha, niedawny „bicz Rosji“, — zzarty przez hemorojdy, na cieniotkich, podagrycznych nóżkach, z zamglonemi czarnemi „straszliwemi“ oczyma, książe Ernest Biron. Powrócony z zesłania w marcu, idzie z gospodynią, baronową Fitinhof, pogardliwie wysunawszy twardą, mięsistą dolną wargę, z ukosa, nieśmiało, z pod ociężałych powiek, rozglądając się na wszystkie strony i kurczowo potrząsając wielką, zupełnie jakby z granitu wykutą, suchą, zimną i okrutną głową...

Z tyłu po za nimi, ulaskawiony jeszcze

w grudniu, w oliwkowym aksamitnym kaftanie i niechlujnej, nastroszonej, upudrowanej peruce, pokręcony przez lata, nędzę i wszelkie rozczarowania, bezzębny, obsypany tabaką, przechwalający się kłamca i miedziane czoło, śmiały i zuchwały awanturnik Lestocq. — „Witam szóste szczęśliwe panowanie — hm! — w szczęśliwej Rusi!“... — dowcipkował, chichocząc i szurając aksamitnymi sztybletami przed wystrojonemi staruszkami, niegdyś pierwszemi pięknościami dworu elżbietańskiego.

Łomonosow nie wierzył swoim oczom. Jakby powiało na niego zapachem mogiły. Serce jego ścisnęło się. Ze smutkiem wpatrywał się w żywych, lecz zupełnie jakby przez mole i zgniliznę zżartych, groźnych starców, kiedyś trzęsących losami Rosji. — Byłe bogi Niemców na Rusi! a więc im wybaczonol. stado okrutnych wilków... A naszego to nieszczęśliwego zesłańca, Biestużewa, i zapomnieli! — myślał, przyciśnięty do okna: — „Biron, widzę, wreszcie jestem w pobliżu tego brzuchatego, chciwego i złego pajaka kurlandzkiego, upijającego się w straszliwe dnie krwią tysięcy ruskich... A ten, który zdławił i pożarł rodaka-przyjaciela, stary intrygant Minich? „Czy pamiętają oni znieprawione wyraźnie „słowo i dzieło“ i nieoczekiwane spotkanie ich na stacji, kiedy jednego wywozili na Syberję; a drugiego, zesłanego przez niego, z Syberji? Oto kłaniają się, komplementy prawią, częstują jeden drugiego tabaczką i obydwaj kręcą nosem na wstrętne go francuza Lestocq'a, zupełnie jakby od niego doprawdy pachniało krwią zamęczonej, rodziny Iwana Antonowicza...“

Zaczęli napływać nowi goście...

Biron, suwając wychudłemi, niepewnemi nóżkami i wruszając kamienną głowę, zmieszał się z tłumem. Minich również chciał przejść do są-

siedniego salonu, lecz otoczyła go nowa fala dam. I znów jego bystre, badawcze, uśmiechające się oczy błysnęły dowcipem. Podniósł rękę z lornetką, coś półgłosem szepcząc do Kurakinej.

— „Ach, dosyć, Iwan Bogdanycz!... ach, ach, jasnie oświeconyl.. no cóż pan!” — uderzając go wachlarzem w rękę, śmiała się, uszczęśliwiona z uwagi jego Helena Stiepanowna.

„Przed dwudziestu laty, — pomyślał Łomonosow: stałem w tłumie ludzi, między akademją i kolegami, a on, ten spokojny, twardy Minich stał całym wzrostem na szafocie, obok kata. Miał na sobie czerwony płaszcz feldmarszałkowski, łysa głowa była obnażona, a na dworze panował mróz trzaskający. Wysłuchawszy wyroku śmierci na ćwiartowanie, żartował z żołnierzami: — „Cóż, ojczulku, zimno? — rzekł z uśmiechem, schodząc z szafotu, do nawpół zamarzłego oficera policji: sznapsika by teraz, — admirałska godzina!”.

Odgłosy muzyki w galerji kwiatowej i nowy ruch pełnego, wesołego tłumu przerwały rozmyślania Łomonosowa. Skierował się w stronę tańczących.

— Panowie, kto życzy sobie palić, do gabinetu, albo do altanki chińskiej! — mówił po niemiecku i po francuzku baron Iwan Andrejewicz Fitinow.

W gabinecie rozmawiano o niezadowoleniu Francji i Austrii, o oczekiwanej wojnie z Danją! Słychać było tylko samą mowę niemiecką, przerywaną przysłowiami holsztyńskimi. „A wiecie, panowie, jak Naryszkin otrzymał wstęgę andrejewską? — wyrzekł ktoś w kącie: włożył ją, żartując, wyszedł do sali przyjąć, a potem raportuje carowi: „wstyd mi, pozwólcie nie zdejmować, — wszyscy

wyśmieją”. Ha — ha — ha”, — odzywali się do stojni słuchacze.

Część gości udała się do ogrodu, do oświetlonej latarkami chińskiej altanki.

— Gdzie kanclerz? — spytał Łomonosow, spotkawszy się w kwiatowej sali z byłym nauczycielem cara, akademikiem Sztelinem.

— Na cóż on tobie? drogę do Indji wciąż zamierzasz odnaleźć?.. nie tobie para był Wielki Piotr, i ten zawiódł się.

— Nie pleć głupstw. Porozmawiać z nim muszę o pewnym młodym człowieku.

— Szukaj w ogrodzie, w bufecie. Nigdy Michajło Łarionowicz nie palił; a teraz, wyobraź sobie, i on modnym chce być człowiekiem.

— Czy nie wskażesz mi, przytem, Ober — kriegs — komisarza Zeitzza? — dodał Łomonosow.

— A ten waszej miłości na co? — spytał z uśmiechem, wypomadowany i czyściutki, jak laleczka z cukru, Sztelin: oto on, widzisz, wysoki przy drzwiach, z piórami przy kapełuszu... Czy nie poemat lub odę ku czci holsztyńczyków raczyłeś, Michajło Wasiljewicz, skomponować?

— Głupstwa pleciesz! — gniewnie odpowiedział, odwracając się od kolegi, Łomonosow.

Podszedł do Zeitzza, z godnością przedstawił się i, dla większego powodzenia, zaczął mówić z nim o Mirowiczu po niemiecku. Gruby, nadęty i kompletnie głupi Zeitz, z uwagą wysłuchał znakomitego petenta, niespokojnie poruszał głęmi, jasnymi brwiami, i, myśląc po niemiecku, odpowiedział łamanym ruskim językiem: — „Pan obowiązek służbowy nie znać, pan dyscyplina, przepraszać, nie rozumieć, a dlatego.. dlatego odmówić nie obrażać się... Bitte um Verzeilung!”. Powiedziawszy to wąty i długi, jak tyka, ordynans carski

kanciato i sucho uklonił się na bok krzywą figurą, szcześnie olbrzymiami ostrogami i w milczeniu, kołysząc się, odszedł do koła innych generałów.

„Pfuj, ty, niemieckie wstrętne zwierzę! — omaal nie głośno wyrzekł Łomonosow: jeszcze nauczki, obrzydliwy karaluszki trup, daje wiedziałbym i nieprosiłbym!“. Lecz pozostawały jeszcze starania o Fonwizina. Michajło Wasiljewicz poszedł na poszukiwania kanclerza Woroncowa.

Zamiast drogi do altanki na prawo Łomonosow z tarasu skierował się na lewo i trafił w mało oświetloną głąb ogrodu. Panowała tu zupełna ciższa. Dróżki między wysokimi drzewami zbiegały się w kręty, chytrze poplątany labirynt.

W końcu ogrodu, za stawem, na skrzyżowaniu dwóch alej, stała stara rozłożysta lipa.

Pod lipą, na ławach, w około prostego niemalowanego stołu siedziało trzech z pośród gości. Fajki ich błyskały w ciemności, jak wilcze oczy. Czwarci, rozmawiając, powoli przechadzał się przed nimi. Widoczny im był każdy, kto szedł od domu. Ich zaś można było dojrzeć tylko w pobliżu. Usunęli się tu, dla rozmowy w samotności i dla odetchnięcia czystem powietrzem, odświeżanem przez bliskość ciemnego, okrytego lekką białą mgiełką, stawu. Dwaj z nich przy godzeniu się w pałacu, dla pozorów, w tych dniach wzięli za puhary. Lecz ledwie car odwrócił się, rozeszli się i nie zechcieli pić jeden zdrowia drugiego. Tu byli, widocznie, przyjaciółmi.

— Car bardzo niezadowolony z małżonki, bardzo! — rzekł po francusku, zatrzymując się przy stole, Woroncowi: wszystko wstrzymuje się przez te niezgody; dostawa furazu dla wyprawy

wojskowej nie rozdana dotychczas... dostawcy tracą głowy...

Starczo- mruclliwe chrzypienie i pochrząkiwanie odestwało się w odpowiedzi na te słowa, Wszedko pod lipą znów umilkło.

— Gdzie idziemy? na co czekamy? — ciągnął to po francuzku, to po rusku wielki kanclerz: do chodu spodziewamy się piętnaście milionów, wydatków szesnaście i pół. Czem pokryć deficyt półtora miliona? A tu ta wojna z Danją!.. Wszędzie narzekania!.. w własnej rodzinie car zupełnie nie jest asekurowany. O nic nie można prosić, niczego się spodziewać..

— Siostrzenica pańska, Eliza Romanówna, pocieszyć go! — odpowiedział po rusku, puszczając dymek z kręconej fajeczki, Lestog: żoneczka być, ślub wziąć można na cichy sposób.

— Niebezpieczni! — rzekł Woroncowa: w marjaże się zabawiać — to nie w durnia... Nie wybaczają nam tego nasi osobiści wrogowie... I bez tego supponują... Przypuśćmy, siostrzenica moja tak jest blizka carowi... Lecz z Katarzyną Aleksiejewną, — to nie żarty, — gwardja, lud... wszędzie nie spokojnie, podglądają, śledzą...

— Postrzydz cokolwiek!.. do klasztoru na chleb i wodę!.. — przecedził przez zęby były za usznik carocy Elżbiety, który również niegdys wypłynął na klasztorze: niech pozna przysłowie, — jak to?... ot takie, babko Jurjew dzień...

— Szkoda, szkoda biedna! — rzekł z silnym niemieckim akcentem, Minich: jest ona tak zgrabna, delikatna taka, spokojna... Plutarcha czyta, kronikę od Tacyta, encyklopedję Belle i Woltera... Rozumna główka...

— Kapryśna i podstępna! — pogardliwie i ordynarnie zamruczał trzeci rozmówca, w milczeniu

siedzący na ławce: rebeljanci i konspiratorzy. Ma-
skarada!.. babie pofolgujesz, sam babą będziesz...

— Lecz cóż, wasza wysokość, robić? — od-
wracając się na głos tego trzeciego, łagodnie spy-
tał Woroncowa; dites-le, ou non de Dieu! votre
experience et puis... pańskie doświadczenie i prze-
zorność...

— Areszt i wieczna kazamata! — zadźwię-
czał żelazny głos z ciemności.

— Mais... excellence, eccoutez! kto nam za-
wierzy? Z więzienia ludzie przecież też wychodzą —
zaprzeczył Woroncowa: a zamkniętego? — mogą od-
bić z pod wszelkich zasuw i zamków...

— Metoda jest dobra inna! — odezwał się ten
sam głos z pod drzew.

— Jaka? spytał z mimowolnym drżeniem kan-
clerz.

— Szafot i topór! — okrąгло i już zupełnie
po rusku powiedział Biron.

W alei, za poblizkimi krzakami dały się sły-
szyć kroki. Woroncowa obejrzał się, przybrał minę
łagodnie dobroduszną, i spokojnym krokiem, po-
szedł na spotkanie dawnego przyjaciela Łomonosowa.

Zatrzymali się w oddaleniu od lipy. Kanclerz
niecierpliwie i z roztargnieniem kręcił w rękach
tabakierkę. Łomonosow, widząc jego zmieszana
i jakby coś zawinił twarz, pomyślał: „Przejsz już
może obok? jakieś sekretne tu konsyljum.. Nie,
niema co tracić czasu“. — Przemógł się i w krót-
kich słowach powtórzył kanclerzowi prośbę za
studentem Fonwizynym.

— Wciąż ten sam marzyciel, dobry, troszczą-
cy się o innych! — wycierając twarz i skrzywiwszy

się, rzekł Woroncowa: rad jestem, przyjacielu, zoba-
czyć ciebie, rad! dawno już czas się ukazać... Lecz
czy czas teraz, ojczulku, zgodzisz się, o tem
mówić, i to jeszcze na balu?... Ty wiesz, ja ciebie
kocham, zawsze gotów, lecz zlituj się, Michajło
Wasiljicz, osądź sam...

— Jam, jasnie oświecony panie, domator, nie-
dzwiędź w barłogu, nie lizus, — z śwędzeniem
w gardle, zaciskając szerokie pięście, gniewnie za-
mruczał Łomonosow: lecz pana, ośmielam się tak
wyrazić, tym razem trudzić mojem dokuczaniem
nie przestanę...

— Lecz, cher ami i imienniku! wakansów
w kollegjum obecnie niema. Uspokój się, oszczędź!
I wyżsi ranga, śmiem zapewnić, jak należy, nie są
pewni... Gdzie ja wetknę twego protegowanego?
Pewnie to, hultaj, chłopak — filut, moskiewski ma-
min — synek?..

— Nie hultaj, mości panie mój, — z obrazą
odrzekł Łomonosow: a za filutami, od urodzenia
nigdy nie prosiłem... O miejsce tłumacza, proszę,
hrabio, dla tego studenta... On bajki Holberga tłumaczył,
Krügera sny, Alsię Woltera... I pierwsza
książka wydana w Moskwie kosztem dobrodzie-
jów... Gorliwi do nauk u nas nie wiedzą, czego
się mają chwycić. I ja wprost powiem, — takimi
ludźmi, a szczególnie ruskimi, dla odwrócenia szko-
dliwych gadanin i faksji, gardzić by nie należało.

— Szkodliwe gadania i faksje! Boże mój! —
z przykrością przerwał Woroncowa, oglądając się
ku lipie, gdzie w mroku, jak oczy szakali, jak daw-
niej wybuchały fajki opuszczonych przez niego
rozmówców: écoutez, mon brave et honorable ami!
prawdę — matkę wyrznę... O kim ty mówisz! o ja-
kimś studenciku, o mizernym pisarzu jakichciś
tam książeczek, nic więcej... No, czy warto! I na-

raz wybuchłeś! I wciąż ta wasza zapalczywość... Czy to nam teraz?.. Czy o tem wszyscy myślą? Zresztą, pozwól — dodał po namyśle: chyba poza etatem i bez pensji, a i to niech zda przy kolegii egzamin..

— Lecz, miłościwy panie mój, — straciwszy cierpliwość, podniósłszy głos rzekł Łomonosow: gdzie to widziane? On moskiewski, filologicznego i filozoficznego fakultetu student... a Niemców u was przyjmował.. Lecz kiedyż, wreszcie, tak fatalnej i zgubnej ślepoty kres my zobaczymy?

Nie skończył. Ze stawu, z głośnym świstem, wzniosła się rakietą. Na brzegu wybuchnęło kilka różnobarwnych ogni. Drzwi na balkon z sali kwiatowej rozwarły się naraźcież. Zabrzmiało holsztyński, z bębniami i trąbami, marsz. I przez iskiy fajerków widać było, jak na przedzie błyszczącej świty wojskowej, na ganku, obok Gudowicza, w białym, z różowemi obszyciami, holsztyńskim mundurze, z akselbantem i epoletem na jednym ramieniu, ukazał się car.

— Tak więc, hrabio? Czy będzie, w końcu, wzięte pod uwagę? — natarłszy ramieniem na roz-targnionego Woroncowa, spytał Łomonosow.

— Ach, ojczulku! zupełnie jak Cicero: quosque tandem?... brakuje jeszcze Katyliny! — spieszenie, truchcikiem, niknąc w (bocznej alei, przemówił wielki kanclerz: jeżeli się zgadzacie, egzamin i po za etatem...

— Huncfoty! Kainy! — zamruczał wściekły Łomonosow, idąc za nim i omal w mroku nie zaczępił o perukę Lestocq'a: takiego młodzieńca i nie ocenić... Pomiot prosięcy!... gdzie nie spojrzysz, jeden pomiot...

— Quel môť de chien! — dało się słyszeć pod lipą.

— Rebeljanci i konspiratorzy! nichts weiter! — pogardliwie zakończył, wstając na swe słabiutkie, trzęsące się nóżki, ksiądz Biron: biednej Rosji koniec... punctum!..

Łomonosow ujrzał w gęstwinie brzózek chińską altankę. Było tu teraz pusto. Palacze i amatorzy piwa udali się, ażeby zobaczyć fajerków. Michajło Wasiljewicz usiadł przy stoliku. Drzenie nerwowe nie opuszczało go. Siedział bez myśli, bez ruchu, przysłuchując się muzyce i pochwalnym okrzykiem tłumu, przyglądającemu się iluminacji. — „Boże, Panie! lecz cóż to? — rzekł do siebie: gdzie ja się dostałem? I trzeba było miledź tutaj!“ — Wyszedł z altanki.

Pierwsza część fajerków była skończona. Tańce w domu wznowiły się. Orzeźwieni na powietrzu, damy i mężczyźni powracali wesółmi grupami do komnat. Szykowali się do rozpoczęcia nieograniczonego, tak zwanego „saskiego“ lub naryszkinowskiego grossvatera.

Galerja kwiatowa była przepelniona. Po przyjeździe cara, otworzono dla tańca nową, zapasową, woniejącą kadzidłami salę. Łomonosow, obok upudrowanych, w kwiatkach i perłach niewieścich głów, obok gwardyjskich mundurów, epoletów i pałaszy, delikatnych, w długich rękawiczkach, dzie-wicznych rąk i nisko obnażonych, wspaniałych damskich ramion i plec, bokiem przecisnął się do tej sali.

Jeszcze raz chciał znaleźć Zeitza i przy pomocy hetmana, prezidenta akademii, przekonać go do zwrócenia jakiegokolwiek uwagi na Mirowicza.

Krzętanina i ścisk, poprzedzające ulubiony, wszystkich porywający taniec, odsunęły Michajłę Wasiljewicza do przegródki z kwiatów. Za przegródką w orkiestrze, zobaczył przed pulpitem, z skrzypcami w rękę, cara.

Piotr Fiedorowicz, strojąc struny i z czegoś głośno, bezceremonialnie śmiejąc się, rozmawiał z baronową Fitinhow. Pod rękę z nią, wachlując się, stała średniego wzrostu, tęga, przewzana przez dowcipnisiów miejskich „szynkarką” — Lizawietę Woroncowa. Lew Aleksandrowicz Naryszkin, w aksamitnym, wiśniowej barwy kaftanie, z wstęga św. Andrzeja i olbrzymimi brylantowymi guzikami, krzątał się, biegał, zatrzymywał się, machał chustką i znów biegał, organizował taniec, w muzyce którego car oświadczył, że weźmie udział.

„Wesela się, — rzekł do siebie Łomonosow: faworytka u wszystkich na uwadze, wszyscy jej się kłaniają, pochlebiają... A ona, Katarzyna Aleksiejewna, mądra moja, kryje się, książki czyta, nawiedza świeżą mogiłę zmarłej carycy... Dziś spotkałem ją... W żałobie, w krepie i w smutnej, zupełnie mniszkiej czapeczce, jechała powozikiem pomodlić się do fortecy“...

Na drugim końcu sali, uwagę Łomonosowa zwróciła błada, poważna, niespokojna twarz szcuplej, zgrabnej dziewczyny.

Wsparłszy się na ręce drugiej, rumianej i wesołej, i jakby skamieniawszy, z wyciągniętą szyją i zaciśniętymi ustami, nie spuszczała nieśmiały, błagalnych oczu z cara. Przed nią w białym delmanie, z lamparciem futrem na ramieniu, stał dzielny husarz polski, krewniak Radziwiłła, Sobański. Uśmiechając się, oddawna jej coś mówił, widocznie zapraszając do grossvatera. Lecz oto oprzytomniała, podała rękę, zwróciła się do przyja-

ciółki. Coś znajomego spotkał wzrok Łomonosowa. — „Gdzie ja ją widziałem, lub kto mi o niej mówił? — pomyślał Michajło Wasiljewicz: twarz widzę jakby po raz pierwszy, a tymczasem... zupełnie jakbym gdzieś ją spotykał... Muszki i dołeczki na policzkach, szare, jak u sfinksa, migdałowe, jakby beznamietne oczy, — i ile w nich zadumy, tajemnicy i głębi... Taftowy paljowy robron, wyszywany perłami, purpurowa aksamitna kamizelka i koronowe branzolety — skławaż... Narzeczona zagraniczne prezenty... Bawynka je pokazywała... Czyżbyż to była narzeczona Mirowicza — Pczolkina!.. On ją tak opisywał... Lecz była w Szlisselburgu... Jak i z kim dostała się tutaj? Oto wypadek... może powiedziec coś o nim“...

Grzmot muzyki przerwał myśli Łomonosowa. Kręcący się grossvater odsunął go do orkiestry. Na tęgich sprężystych, obciążonych białym jedwabiem łydkach, na czole pstrego korowodu, płynął, wybijając wymyślne pasy i piruety, Naryszkin. — „Weselimy się!“ — rzekł do kogoś w pobliżu Łomonosowa, kiwając głową: „weselimy się!“ — potwierdziły oczy jego i pozostałych tancerzy, lekkim rojem przebiegających obok orkiestry.

Nie zdążył Michajło Wasiljewicz odsunąć się na bok, opamiętać się, nie zdążył spojrzeć w tą stronę, gdzie frunęła z husarzem szcuplej, zgrabna dziewczeczka, gdy otoczyły go fale zielonej, z złotymi blaszkami, materji, i poczuł zapach groszku i rezedy. Przed nim, z koafiurami w kształcie korbów kwiatów, uśmiechając się, stały piękna gospodyni domu i tego, z czerwoną twarzą, Lizawietę Romanowną Woroncowa. Baronowa przedstawiła go ostatniej.

— Dawno, dawno już nasłuchałam się, — cokolwiek grubym głosem i przeciągając zwróciła

się do niego faworytka po rusku: co pan pisze, Michajło Wasiljicz?

Krew uderzyła do głowy Łomonosowowi. Przypomniała mu się caryca Katarzyna Aleksiejewna, w powoziku, w żałobie.

— Nic nie piszę... chory byłem, — odpowiedział ze skurczem w gardle.

— To być nie może! dlaczegoż zamilkła, nigdzie się nie pokazuje pańska muza?

— Spódnica jej obcięta, — myśląc, że mówi do siebie, głośno powiedział Łomonosow.

Obydwie damy ze zdumieniem spojrzały w twarz jego.

— Czytałyśmy pańskiego „Świerszcza”, — rzekła, pragnąc go zjednać, baronowa: — voilà un vrai génie... délicieux!

— Gdybym ja był, mości pani, konikiem polnym, — wyrzekł, zachmurzywszy się, Łomonosow: jabym dawno uciekł stąd, skryłbym się w głuszy, w burzanach...

— Ani jednej ody, zlituj się pan! — z minami, kręcąc się i oglądając na wszystkie strony, ciągnęła tonem kapryśnej monarchini, rozpieszczona faworytka: wszak były takie uroczystości! pokój z Prusami! fajerwerki, spuszczenie okrętów... pan przecież wierszopis, akademik...

— Na to są inni, — jeszcze ordynarniej, z drżeniem rąk i ust, burknął Łomonosow: napisze cukrowy Sztelin, przetłumaczy Barkow... jego akurat i wsadzili do de science-akademji, innym na złość...

Ktoś wybawił damy. Odeszły, wzruszając ramionami. — „Prostak, grubjanin i wszystkol” — z niepokojem patrząc na orkiestrę, wyszeptwała Woroncowa.

V. Audjencja.

Za przegródką, między muzykantami, nie było już cara. Piotr Fiedorowicz odegrał pierwszą część grosvatera i oddał skrzypce Olsufjewowi. W głębi sali zwrócił uwagę na dziewczynę, tańczącą z polskim husarzem. Ledwie skończyli figurę i stanęli przy drzwiach, podszedł tam car...

— Wasza carska mości! — rzekła, kłaniając mu się, Pczolkina: darujcie chwilę nieszczęśliwej...

Widać było, jak Piotr Fiedorowicz uprzejmie uśmiechnął się, podał jej rękę, i wyprostowawszy się po wojskowemu, grzecznie odszedł z nią wolnym krokiem na bok.

— Kto mówi z carem? — spytała, w szarej jedwabnej sukni, rumiana damulka.

— Pticyna... Majora Pticyna córka... — odpowiedziała jej druga dama, w zielonym kornecie.

— Nie, ma chere, nie Pticyna; quelle idée! ta wyższa i teższa...

— Więc któż?

— Oppermana by spytać... Gdzie baron?..

— Ach, popatrz, jak się wykrzywia... no, bezprzykładne już!.. oczami to oczamił a ramionami jak wyrabia...

— Przytem i blada... — dodała zielona damulka: ach, jaka blada!..

— Lecz nie blada przecież, co ty! — przerwała dama w szarem: żółta, no, jak chłopka, żółta i czarua..

— Ach — ach! popatrz... I przecież tutaj z declaration'amil.

— Eh, dosyć, radość przysięgam, nawet śmieszne słuchać, — z declaration'amil Taką to... Nie myślałam, ma chère, żeś ty taki pedant...

— Panowie, panowie! wy zaczynacie! — krzyknął ze środka sali czerwony i spocony, goniący resztkami sił Narysakin: — *tournez à gauche, balancez... chaine...*

I znów wil się i jak długi, pstry wąż ślizgał się bez końca i, w wymyślnych pas i plię, fruwały *grossvater*...

Car i Pczolkiną odeszli do bluszczowego szpaleru. Nie tańczący goście, zgodnie z przepisami etykiety, stanęli półkolem w oddali od nich.

— Jakąż jest prośba pani? — spytał car.

— Jestem narzeczona. — nieśmiało, błagalnym azeptem, rzekła Pczolkiną: mego narzeczonego, na rozkaz pański, wysłano do armji...

— Narzeczonego?... — a kurtagi: ha-ha, *meauet* w kostjumie nimfy, pamięta pani? — spytał Piotr Fiedorowicz, śmiejąc się.

— Lecz czy czas na to teraz, wybaczenie, błagam, wasza carska mości...

— Nie ma cierpliwości? chce pani jaknajprędzej go zobaczyć? Lecz przecież teraz post, — wesela niewolno... Eh! Niech pani poczeka do końca miesiąca, no, do moich imienin... Obiecałem wtedy i wasz marjaż, niech pani wierzy, wyprawimy. Zgadza się pani?

— Słysząc o nowej wyprawie, wasza carska mości, — przewyciężywszy wrażenie, ciągnęła dalej Pczolkiną: pan wyjedzie... Szukałam sposobności, ażeby jeszcze o jedną osobę prosić; znów go wszyscy zapomnieli. Chciałam paść do nóg waszej carskiej mości... Ach, carze, pomóż, okaż swą łaskę... taki jesteś dobry...

— Nie pani być u czyichkolwiek nóg. — chytrze uśmiechnawszy się, rzekł Piotr Fiedorowicz: zawińnięm... Lecz, — *mille pardons*, — za kim pani pani jeszcze prosi?..

— Pan, carze, obiecałeś przed majem przyjechać, uwolnić... księcia Joana; a teraz czerwiec... Wybacz, wasza carska mości, szalonej, zuchwalej... Mieszkałam u tamtejszego komisarza; jego zmieniono za pewien list; lecz nie on go pisał... Ukarz panie, — to ja zdecydowałam się wtedy przypomnieć... i teraz ośmielałam się...

Poliksena nie skończyła.

Car obejrzał się. Przed nim, z błądą z oburzenia i zazdrości twarzą, stała Woroncowa. Czerwone plamy wystąpiły na jej czole i na trzęsących się z oburzenia policzkach.

— Parę słów, wasza carska mości, — zachryplym ze złości głosem rzekła po francusku: sprawa bardzo poważna...

— No, no, cóż tam za pośpiech? Za minutę, i jestem do usług pani, — zwrócił się car, życzliwie skinawszy Pczolkiną.

Podał rękę Woroncovej. Tłum przed nimi rozstał się. Wyszli do sąsiedniej sali.

— Z kim pan teraz rozmawiał? spytała, tłumiąc wściekłość Woroncowa: zaszczycie odpowiedzią, ja wszystko widzę, wszystko...

— Z jedną dziewczyną; ona... prosiła za narzeczonym...

— Za narzeczonym?... A pan nie widzi, nie słyszy, co wokoło nas się dzieje? Niech pan spyta mojego wuja. On wierny pański sługa; lecz pan go nie słucha. Śmiałość wrogów dojrzewa nie dniami już, a godzinami... Pan wyjedzie, mnie zamkną do więzienia, stracą, — zakończyła przez łzy Woroncowa.

— Aj, Romanowna, jaki to wszystko nudnel — przerwał z niecierpliwością Piotr Fiedorowicz, zwracając się ku drzwiom, poza którymi pozostawił Poliksenę: ty po kolana w bibiji brodzisz

każdy to wie. Lecz pani, z wujaszkiem i z Gudowiczem, jakie ponure pytki. Ach! ihr alten Russen! alle auf einem Schicht! Wszystko u was to znowy, i konspiracje! Mimowoli przypomnisz sobie Szwecję... oto cichy, cywilizowany naród... POCO MNIE TUTAJ PRZYWIĘZI?

— Pańska małżonka, — ciągnęła dalej Woroncowa: coś szykuje; mówią, wszystkie role rozdane... Jeżeli nie z wujaszkiem, niech pan pomówi z Bironem, spyta Minicha, wszyscy powiedzą... Przed narodem ukazuje się w mniszey czapeczce, dogadza duchowieństwu, czerni...

— A ot poczekaj, Romanowna, jak za parę dni przeniesiemy się do Oranienbaumu...

— Lecz wszystka młodzież, słyszy pan, wszystka młodzież za nią, — tupnąwszy nogą, wyrzekła Romanowna: niech pan spyta, — poeci po jej stronie, warjują.

— Nichts, als Eifersucht, mein Kind! Nic, tylko zazdrość! — bez troski uśmiechnąwszy się, odpowiedział Piotr Fiedorowicz: nawet literatów, wierszokletów, oto, przypomniawszy... Wstyd, pfuj! A poczekaj, przed wyprawą ślub urządzimy, ciebie jako regentkę pozostawie... Wtedy co powiesz? No, będziemy filozofami, jak wielki Fryderyk...

— Co to? — po chwili milczenia rzekł car: kanonada rakiet, finał fajerwerku... Pójdziemy do ogrodu. Lecz à propos, tyś przypomniawszy o pisarzach... Ja tu zauważyłem jednego zaczepnika. Poczekaj; trzeba z nim parę słów pomówić.

Muzyka umilkła. Grossvater skończył się. Wszyscy ruszyli na balkon.

Za stawem, odbijając się w wodzie, płonęła pomysłowo urządzona brylantowa kolumnada. Na słupach płonęły urny, z każdej wylatywały gwiazdy i biły różnobarwne, ogniaste fontanny. I nad

całym tym obrazem, dumnie, jak na obłokach, widniała tarcza, z literami P i E.

— Piotr i Ekaterina, — objaśnił ktoś po niemiecku swojej damie, przechodząc aleją obok Łomonosowa.

— Piotr... i Elizawieta, Lizka Woroncowa... — gniewnie zamruczał w ślad za nimi po rusku inny głos w ciemności: na jakiej tylko wierzbie ona metresę powiesi świat matka nasza, Ekaterina Aleksiejewna?..

„E he he! toż Bóg nie bez łaski! — rzekł do siebie Michajło Wasiljewicz: przyjaciele to naszej rozumnej są i tutaj, w samym obozie jej wrogów”...

Łomonosow westchnął. Przypomniał mu się w tej chwili, czas przed dwudziestu laty, uroczystości i fajerwerki ku czci cara Joana Antonowicza. Ten sam blask, hałas i krzątanie się. Lecz gdzie to wszystko?.. I gdzie jest teraz sam winowajca tych uroczystości?

Ostatni snop rakiet z trzaskiem wznosił się i rozsypał w powietrzu. Sygnał do tańców znów się rozległ w domu.

Prowadził je teraz błękitny dzielny hussarz, Sobański.

— A votre place, messieurs et mesdames, — brzęczał ostrogami i klaskał w dłonie, patrząc, gdzie podzielała się zaproszona przez niego Pczółkina, i myśląc o niej: „Sto diabłów! jaka piękna, a pazury — jak u tygrysyca”...

Młodzież zbierała się w pary do końcowego kontredansa. A tymczasem słychać już było dźwięki nakryć stołowych. W sali portretowej, kwiatowej i narożnej nakrywano stoły do kolacji.

Wszyscy stłoczyli się w sali, spiesząc się zna-

leżć w tańcu, w którym starzy i młodzi, na przeboj, dążyli do jednego, — być jak najbardziej rozswawolonymi.

Łomonosow precisiwał się tam również, szukając oczyma Pczołkiniej, z którą nie zdołał porozmawiać. Lecz Poliksena, po próżnem oczekiwaniu na cara, zauważyła okrągłą figurkę i z napięciem utkwiony w niej wzrok, jak z pod ziemi wyrosłego, generała Bechleszowa, wytłomaczyła się zmęczeniem, poleciała komuś ze znajomych przeprosić husarza, i odjechała z Pticyną.

„Nie dał los! — pomyślał, znów wydostając się z sali, Łomonosow: i obrzydliwej czapli Zeitza nie widać... Nie ma co robić; szczególne niepowodzenie! Tak też i obydwóch proszących zawiadomie”...

— Jego carska mość wzywa pana na audyencję, panie profesorze! — rzekł, podchodząc do Michajły Wasiljewicza, generał adjutant cara Gudowicz: proszę bardzo... Car w ogrodzie, z balkonu na lewo. Jeżeli pan pozwoli, zaprowadzę pana.

Łomonosow przeobraził się.

„Prowadź, gołębico uratowanej arki berlińskiej, prowadź!” — pomyślał, idąc za Andrzejem Wasiljewiczem Gudowiczem i śmiało, dumnie patrząc na rozstępujących się z szacunkiem przed nim Niemców i ruskich.

Ta sama głąb ogrodu i ta sama lipa, na skrzyżowaniu dwóch alej. Pod lipą, gdzie przed dwoma godzinami z kanclerzem rozmawiali Minich, Lestocq i Biron, bez kapelusza i ze szklanką lemoniady w ręku, siedział, wachlując się chustką, car. Przed nim stali Ungern i Korf. Zobaczywszy Łomonosowa, car wszystkich odesłał na bok.

— Dawno siebie nie widziałem, Michajło Wa-

siljicz, siadają! — rzekł Piotr Fiedorowicz: tyś o mnie zupełnie zapomniał. Ciotkę popierałeś, w odach opiewałeś. Mnie, jak widzę, mniej kochasz. A na ciebie wszyscy patrzą, czekają, co powiesz.

Łomonosow, stojąc z szacunkiem, milczał.

„Przypomniał! — przebiegł w jego umyśle: Panie, widzący serce grzesznych, daj mi rozum i oświeć”...

— Voyons... oto rozeszła się pogłoska, — z usmiechem ciągnął dalej Piotr Fiedorowicz: jakobyś ty sporządził projekcik wypędzenia z Rosji wszystkich Niemców... Czy to prawda?..

— Istotne oszczerstwo i bezsensowność, — zarumieniwszy się po uszy, odpowiedział Łomonosow: i ja takimi dziecinnymi bredniami nie zajmuję się. Bywam, wybaczenie panie, szczególnie w godzinach hipochondji, ostry w słowach... Lecz nie w tem nasze korzyści i potrzeby, carze... Dobrzy cudzoziemcy — nasi nauczyciele; i ja, najniższy, sam u nich, w ich ojczyźnie, światło prawdy poznałem. Nie o nocy św. Bartłomieja wobec cudzoziemskich nauczycieli nam myśleć, a o podniesieniu i wzroście nauk ojczystych. Zmądrzejemy, przyjezdni mentorzy nie będą nam potrzebni...

„Zdobędę przychylność jego dla siebie. — drwiąco pomyślał Piotr Fiedorowicz: rosyjski Mallesherbes i Pindar. Oto stoi przedemną. A we dług mnie po prostu mruk i wyczerpany z latami, papierowy bazgracz i oszczerca”...

— Słuchaj, Michajło Wasiljicz, — rzekł car: ja, jak wszyscy, jak i dziad mój, Wielki Piotr, mam wielu nieprzyjaciół... Mnie przepowiadają różne nieszczęścia, trudności. Ci radzą jedno, ci drugie. Nie wiesz komu i wierzyć. Słuchaj... Proś mnie o co chcesz, wszystko zrobię... tylko pomyśl dobrze i daj mi radę... U nas niema mówców pu-

blicznych, jak w Anglii, niema śmiałych encyklopedystów, jak we Francji. Chciałbym, no, przyszedł kaprys, wysłuchać ciebie. A przecież ty, słuchaj, i trzeba to uznać, pierwszy genjusz, sława mojego tronu. Zatem słucham, Michajło Wasiljewicz.. Primo — proś, secundo — radź..

Coś żrącego, palącego podstaąpiło do gardła Łomonosowa. Chciał mówić i nie mógł. „O pieniądze zaraz poprosi“ — przebiegło w wesoło nastrojonych myślach Piotra Fiedorowicza.

— Ani encyklopedystów, ani wyższych i niższych parlamentów u nas niema, to prawda! — ponuro odpowiedział Łomonosow: masz za to, carze, pieśniarza, dziennik grzmiący!.. Dziennik grzmiący przeciwko złym, chorym ludziom, wrogom i nie-nawidzącym ojczyznę.. Osobistych próśb do ciebie nie mam.. Z pokolenia na pokolenie przejdzie jak twoje imię, carze, tak i twego pieśniarza. I nikt nie powie, ażeby były rybak, a obecnie znany całemu światu, rodowity ruski uczony i poeta, Michajło Łomonosow, ażeby on sprzedawał swe ody za jałmużny z rąk jego carów.

— Ja i nie mówię tego! co ty! zlituj się!..

— Opiewałem twą ciotkę, opiewałem. — ciągnął dalej Łomonosow: i ciebie, obejrzawszy zarisy twych poczynań, witałem radośnie.. teraz milczę..

— Rada, rada! — niecierpliwie zastukawszy ręką w stół, rzekł Piotr Fiedorowicz.

— Rada? pozwól, carze, tylko nie rozgniewaj się. Tyś miękki duszą, szczerzy i dobry człowiek. Wszyscy to wiedzą. Lecz państwo, dane ci, nie niemieckie ksiąstewko.. Ono — Rosja!.. tobie potrzebni są mądry, genjuszem obdarzeni doradcy..

— Kto oni są? gdzie? — spytał, poruszywszy się na ławce, car: „czy też nie siebie chce on proponować na doradcę?“ — pomyślał ze wstrętem.

— Pogódź się ze swoją małżonką. — rzekł, kłaniając się z szacunkiem, Łomonosow: lepszego doradcy i przyjaciela nie potrzebujesz.

„To samo i Fryderyk radził“, — pomyślał Piotr Fiedorowicz: „lecz w tem, i tylko w tem, on się myli. — nie zna madame la Ressource“..

— Nie, nie! — odpowiedział z rozdrażnieniem car: żona nieposłuszna, uparta, zuchwała; powiem otwarcie — nie szanuje najlepszych i wiernych obrońców moich, holsztyńczyków. Klerykali są po jej stronie; cała młodzież gwardyjska, jak słyhać, w niej zakochana..

— I ja, car, wybac, należą do jej gorących wielbicieli, — wyrzekł, znów się kłaniając, Łomonosow,

„Zupełnie, jak by zmówili się“, — z przykrością pomyślał Piotr Fiedorowicz.

— Ty ją obrażasz, uciskasz, — ciągnął dalej Łomonosow: a oderwani od łona blizkich mimo-woli szukają cudzego poparcia i obrony.. Taki jest porządek rzeczy w naturze!

— Dalej, dalej! — niecierpliwie przerwał car.

— Zagładź ciężki grzech carcy — twojej ciotki, — rzekł Łomonosow: uwolnij nieszczęsnego więźnia, byłego cara, Joana Antonowicza.. Dwa-dzieścia lat krzyczą z więzienia o jego doli.. Nie zbliżysz go do swego tronu, uwolnij go do obcych krajów..

Piotr Fiedorowicz znów zrobił ruch.

— Ungern i wuj książe Georges to samo mówią, — wyrzekł: czy to możebne, słuchaj?.. No, jakżeż go uwolnić? wszak to pretendent?

— Można. W tem prerogatywy, i potęga twej władzy. Daj mu skończyć życie, jak człowiekowi.. Wychowaj go, wzmocnij zdrowie biedaka, oświeć łaskami wiary i rozumu.. Odkup przeszłość.. Ina-

ezej sąd Boski i ludzki, wyrok historii — tobie nie wybaczą... Odeślij go zagranicę do krewnych...

Piotr Fiedorowicz wstał. Silne wzburzenie ogarnęło go.

Porywczo poprawił na sobie kapelusz, schwytał za pendant, wyprostował się, chciał mówić i przez kilka chwil nie znajdował słów. Szpada drżała w jego ręku.

„I ta dziewczyna, — pomyślał: i ona dopiero co o to samo prosiła... Pamiętam obietnicę, trzeba słowa dotrzymać“...

— Dziękuję, — rzekł car: część tego coś powiedział, szczerą prawdą... Potem dowiesz się, ja dawno, i przed tobą, myślałem o tem samym... W pozostałem, wybac mi, mylisz się. Zresztą, bądź spokojny, odtąd jam za tobą. Wierzę ci i na tobie polegami... Lecz ty o nic nie prosisz?... Voyons... Nie chcesz dla siebie, prosz dla innych... Słucham...

Łomonosow skupił myśli i powtórzył prośbę o Mirowicza i Fonwizina. Car zawezwał Ungerna, któremu zaraz na miejscu wydał rozkaz o swojej zgodzie na obydwie prośby.

— Studiosus twój, jak widzisz, będzie przyjęty... A za oficerem, — wyrzekł, uśmiechając się, Piotr Fiedorowicz: mille pardons nie sam prosisz... I jego narzeczona ha-ha, przed chwilą, mnie tu o te samo bardzo bombardowała. Ein Teufels mädel! djabelnie milutka, mądra dziewczyna..

Nie czując nóg pod sobą i nie zmieniając dumnej postawy, Łomonosow przeszedł przez amfiladę pokoi, obok znów z uniżonością pochylających się przed nim głów, podziękował za kolację, pożegnał się z gospodarzami, i znalazłszy kapelusz i trzcinę, pieszo udał się do siebie, na Mojkę. Oczy jego były wilgotne, serce biło gorąco. Długi cień

od księżycy padał z tej strony ulicy, gdzie, szeptać jakieś słowa, rozczulony i wzruszony, kroczył „gazet grzmiący“!

Po wyjściu Łomonosowa, Woroncow odszukał Minicha i długo, pod rękę z nim, spacerował po oddalonych drożynach ogrodu. Rozmowa szła o tem samem, o upadku finansów, o wahanii wszystkich spraw i o dostawie furazu dla armji.

— Je conjure votre Excellence, — mówił Woroncow: natęźcie swe wpływy, ażeby car okazał mi ten fawor...

— Lecz co ja mogę? — spytał Minich, was kann ich, mein liebster Michajło Łarjonycz?...

— Ecoutez... — szeptał kanclerz: je vous offre encore une fois d'être en moitié avec moi dans ce négoce... podzielimy się, — panu połowa, mnie druga, — dodał po rusku: tylko oględniej, z samego echa mogą zwięszyć i przeszkodzą..

Minich pomyślał, milcząco — protekcyjnalnie uściskał pod łokciem rękę kanclerza i z powagą wyszedł z nim z ogrodu...

— Najniebezpieczniejszy — Grygorij Orłow, — półgłosem rzekł przy kolacji car do Korfa; należy zarządzić potajemną obserwację nad nim.

— Słucham, — odpowiedział wzrokiem generał — policmajster.

— Nad Daszkową, — ciągnął dalej car: najlepszym argusem będzie Romanowna, jej siostra... Kto się spodziewał? tyle udawania! Nie nadarmo nie nagradzałem uczonych; w pałacu ani jednej łacińskiej książki w mojej bibliotece nie kazałem umieszczać.

Rankiem car zawezwał Gudowicza, długo z nim się naradzał, a tegoż samego dnia był posłany nowy sekretny goniec do Szlisselburga. „Na służbę wojskową księcia, — rozmyślał Piotr Fiedorowicz; ja go wychowam, wybije mu głupstwa z głowy, i przestanie bredzić“...

W połowie czerwca, późno wieczorem, przed willę Gudowicza, w głuszy leśnej, na wyspie Kamiennej, zajechała, z opuszczonemi firankami, okryta kurzem, najęta karetą. Wysiedli z niej zatroskany starszy w granatowym garnizonowym mundurze, oficer i długowłosa, blade, w holsztyńskim płaszczu, z zaplecionymi w harcapy włosami, młody człowiek.

Oprócz cara, gospodarza willi i jeszcze dwóch, trzech dygnitarzy, nikt nie wiedział o przybyciu tych podróżnych. Zajęli oficynę w głębi podwórza domu Gudowicza i przez pierwsze dni nigdzie stamtąd nie wychodzili.

VI.

Pelmeni.

Przeczekawszy dzień i drugi na Fonwizina Łomonosow udał się na poszukiwania jego.

„Przy okazji odwiedzę i była moja lokatorkę, Bawynkę. — zdecydował: zanim poszłą rozkaz do armji, dowiem się od Nastazji Fiałatowny ścisły jego adres i sam go uraduję przyjemną wiadomością“.

Bawynka mieszkała teraz przy moście Kalinkina. Dom wuja Fonwizina był niedaleko przy jeziorze, lub, prędzej, błocie, między koszarami piątej rotacji pułku izmajłowskiego.

Łomonosow najpierw udał się do Fonwizina. Po środku podwórza spotkała go, z misą i stosem

talerzy w rękach, jakaś masywna, lecz jeszcze młoda z wyglądu kucharka. Na zapytanie o Denisa Iwanycza, zapytała: — „Czego?“ — i, z gniewem wskazawszy talerzami w stronę niewielkiej murowanki, stojącej między wierzbami i akacjami, dodała: „a juścił tu omi i mieszkają“...

Była dopiero dziesiąta godzina rano. Z okien murowanki tymczasem słychać już było brzęk noży i widelcy, i smakowicie pachniało pieczonem z cebulą mięsiwem. Przy ganku leżały kije i wielka wełniana pokiereszowana piłka, do gry w palanta. Z po za niziutkich, przekrzywionych i zapadłych w ziemię drzwi słychać było śmiech i rozmowę kilku młodych głosów.

— Wcześniej, jednak, jedzą obiad na błociel! — pomyślał, biorąc za kłamkę, Łomonosow.

Oczom jego, za progiem, przedstawił się obszerny, jasny pokój, wypełniony sprzętami, książkami i wszelkiego rodzaju starzyzną. Śmieci z niego nie wymiatano widocznie tygodniami. Pachniało dymem tytoniowym. Przy otwartem na wielki zielony ogród oknie stał stół z desek. Przy stole, przed baterją pustych i niedopitych butelek piwa, przy półmisku dymiących, pływających w tłuszczu pelmeni, z dobrodusznymi, spoconymi od jedzenia twarzami, w koszulach i bez chustek na szyjach, siedziało trzech śmiejących się wojskowych młodych ludzi. Jednego Łomonosow natychmiast poznał. Pozostali dwaj — okrągło twarzy, wysoki, rumiany, z wielkim nosem i czarnymi wesoło patrzącymi oczyma, i drugi — starszy, niewysoki, barczysty i w okularach, — byli mu nieznanymi.

— Gdzież to pan, Denis Iwanycz, się zapodział? — spytał Łomonosow, przekraczając swą tego, zdrową postaćą próg pokoju: przyjechał,

oczarował sobą domatora i wpadł, jak w wodę..
Przychodzę z dobrmi wiadomościami..

— Michajło Wasiljewicz!!! ojczulek! nasz wielki... — zawołał i zakrzętał się, struchlały i do ostatnich granic roztargniony, Fonwizin: panowie, panowie! — zwrócił się do przyjaciół, którzy zerwali się również i w zmieszaniu sami nie wiedzieli, co mają robić: pozwólcie wam przedstawić... pfuj co ja!.. czy się ośmielę?..

— Dosyć, Denis Iwanycz, — zwrócił się do niego Łomonosow, siadając na beznogiem, na jakichciś śmiesznych podstawkach, okrytem dywanikiem, łózku: wymień kto są twoi przyjaciele, i wszystko.

— Nie tu, nie tu, upadnie pan... ach, na fotelu!.. pfuj do licha!.. i on przecież połamany.., nie mogę! ol wiecie, druhy serdeczne, kto to?.. czy wiecie? — wyrzekł Fonwizin, wskazując na gościa: nasz pierwszy, wielki i jedyny poeta, Michajło Wasiljcz Łomonosow.

Młodzi ludzie zaczęli poprawiać krawaty i mundury, w dalszym ciągu, z zarumienionymi twarzami, w zmieszaniu patrząc na gościa.

— Ot przeszkodziłem przyjacielskiej konwersacji, — rzekł, wstając z łózka, Łomonosow: wiedziałbym i nie wstąpiłbym. Zostawajcie, panowie, jak jesteście albo ja zaraz rejteruję.

— Zlituj się pan jak można! nigdy! — wykrzykiwali, naciągając kamizelki i resztę, zaskoczeni przyjaciele Fonwizina.

— Graliśmy w piłkę, zmęczyliśmy się i zakąszamy, — oznajmił, patrząc na przyjaciół, Denis Iwanycz: zaszli do mnie z ćwiczeń... A teraz pan pozwoli: oto ten (wskazał na tego z okrągłą twarzą, wysokiego i z wielkim nosem), — stary znajomy wujaszka z Kazania, szeregowiec preobra-

żeński i mój przyjaciel z zamłowania do literatury, skromny pisarz miłosnych i wszelkich wesołych wierszyków, — Gawryło Dierżawin... Nie rumień się, bracie, nie rumień!.. A ten (wskazując na barczystego i tęgiego, w okularach) jego i mój przyjaciel, kapitan tegoż pułku, Piotr Bogdanycz Passek... On to i wymyślił dzisiejsze pelmeni... I obydwaj oni, Michajło Wasiljcz, jak i ja, pańscy wielbiciele.

Oczy Łomonosowa błysnęły radośnie. Specjalnie grzecznie uklonił się im, i przyjaźnie patrząc na spocone, kwitnące zdrowiem twarze młodych ludzi, opowiedział Fonwizinowi o swoim wstawiennictwie za nim u kanclerza i u samego cara. Denys Iwanycz chciał rzucić się swemu protektorowi na szyję i zatrzymał się.

Michajło Wasiljcz! — wykrzyknął: jak mam panu dziękować! oto uszczęśliwił pan, pomógł!..

— Rezolucja kanclerza, — zakończył Łomonosow: była zresztą, poza etatem; car, jednakże, kazał dać panu pensję... Tylko egzamin przyjacielu mój, egzamin, bez tego nie wolno..

— Głupstwo, — rzekł, machnąwszy ręką Fonwizina: pojedę pod Moskwą na wieś, poproszę o pieniądze babkę lub ciotkę, — bogatą babkę mam tam, a jaką całego pana umie na pamięć i nie dłużej, jak do końca miesiąca, zdam wszelki egzamin... Czy nie chce pan fajeczki, Michajło Wasiljcz? oto piankowa, a oto i tytoń..

— No i skończona sprawa.. Z próbą nie należy zwlekać... A pan, mości panie, również lubi składać wiersze?—zwrócił się Łomonosow do preobrażeńskiego żołnierza.

— Nocami, gdy położą się spać w koszarach, — nieśmiało i zająkując się odpowiedział Dierżawin: nocami... smaruję tak sobie, bez zasad, rymy do-

bieram. U nas ciasno znów, żołnierstwo nie tem zajęte, rysz tunek, przeglądy — więcej w karty, lub w wolne godziny przy winie...

— Cóż pan pisze? — spytał gość.

— Trjolety o pięknościach, — wyrzekł, nabierając otuchy. Dierżawin: — przypowiadki na konto, to jest różnych spraw pułkowych... a, zresztą, próbowałem tłumaczyć Telemaka i Hellerta...

— W jaki sposób próbował pan ich tłumaczyć?

— Na wzór, wybaczy pan, pański styl naśladowałem.

Łomonosow zaczął nakładać fajkę. Rumieniec wystąpił na jego wychudłej, surowej twarzy. Fonwizin dawał znaki przyjaciółom.

— A więc, może z przypowiadek cokolwiek, — rzekł, mrugając do Dierżawina. Choć to:

„Jam na to ciebie poznał,

Żebym niewolnikiem twym zostałem?”

Albo to:

„Chodzi Berger, — złe minuty,

Na podwórze mej Aniuty.

Na wachtparadę się spóźnił,

Do kondegardy się dostał...”

— No, dosyć.. też chęć — przerwał mu, nie wiedząc, gdzie patrzeć, stropiony Dierżawin: takimi głupstwami zabawiać drogiego gościa?

— Pracujcie, panowie moi, pracujcie, — wypaliwszy i odstawiając fajkę, rzekł Łomonosow: wyście nasi następcy, spadkobiercy! Nie dawajcie ucichnąć biednemu, jeszcze słowianemu królestwu naszemu... Budźcie, wskrzeszajcie martwą ziemię... Lecz żeby do waszej duszy nie wkradły się złe jakie ćwiczenia i paplanina... Najważniejsze — pracaj! A bez niej nic nie zrobicie. Chleb, panowie, za

brzuchem nie chadzał. I wiele tarcia znieść musi pszenica, zanim się białym kołaczem stanie...

Zacząli rozmawiać o naukach, o literaturze; potem przeszli na nowości miejskie i dworskie.

Pelmeni były zaomniane. Mundury i krawaty, na prośbę Łomonosowa, znów zdjęte.

Wszedł jeszcze gość, lat osiemnastu, średniego wzrostu, z wielkim, pochyłym czołem, bladej, z czarnymi, marzącymi oczyma i nieśmiałym uśmiechem na dobrych, miękko zarysowanych ustach.

— Również pański wielbiciel — wyrzekł, wskazując na niego, Fonwizin: żołnierz izmajłowski i lokator tu w domu wujaszka, Nikołaj Iwanycz Nowikow. A to? — zwrócił się do Nowikowa: napewno wiesz? nasz nieśmiertelny Michajło Wasiljcz Łomonosow... No, jakie nowości, przyjacielu? Na zebraniu byłeś? co mówią?

— Tak, czasyl — rzekł niegłośnie, patrząc na Łomonosowa, Nowikow: niema co mówić... Dostaliśmy się na rozstaje.. Kładź wiosła i módl się do Boga: w dole — woda, w górze — bieda...

— A co? nie krępuj się, zwrócił się do niego Fonwizin: szczerze; przy nim można... On mocny nasz...

Nowikow zdjął pas, wytarł czoło i usiadł na krześle. Przez kilka chwil wszyscy milczeli.

— Tak wszystko naprężone, tak, — rzekł Nowikow: że i nienabity karabin, patrz, wypali. A myśleć inaczej, lepiej pozbawić się życia.

— Lecz o czem to wy, panowie? wtrącił się, pociągając z fajki, Łomonosow!

Przyjaciele porozumieli się wzrokiem. Fonwizin skinął głową.

— My, izmajłowcy, — cicho i patrząc gdzieś w dal, wyrzekł Nowikow: wszyscy, to jest, jak jeden człowiek, no, wszyscy pójdziemy za nią w ogień i wodę.

— Za nią, matkę naszą, boginię! — podchwycił wstając, Dierzawin: i my, preobrażeńcy, życie oddamy...

— Za nadzieję, radość i zbawienie ojczyzny! wyrzekł, chwytając za szklankę z piwem i trącając się z innymi, Passek: osiemnaście lat mieszka w Rosji! poznała ją, pokochała i stała się, przypuszczam, lepszą od każdej ruskiej. Zmarła caryca Elizawieta Piotrówna z Bestużewym, ją, obdarzoną zgóry, pomijając jej męża, wyznaczała za następczynię, lecz nie zdążyła dokonać tego i ogłosić... przaszkodzili Szuwałowowie, Bestużewa zesłali...

„Ehe-he, ot to gdzieś!... o to młodzieź! — pomyślał, patrząc na rozmówców, Łomonosow: prawdę powiedział Piotr Fiedorowicz... Niczem jeszcze siebie nie zdradzili; skromni, jak grzybki-syrowiatki pod dziuplą, w lesnej głuszy... Nikt ich nie zna i nie podejrzewa, a wszyscy jej przyjaciele. Wszyscy w niej zakochani, i za nią, przychylną i uważającą, szaleją!“

— A mimo to, w czym istota sprawy, moi panowie, nie rozumiem? — spytał Łomonosow.

Fonwizin spojrział na Passeka, ten na Dierzawina, obydwa na Nowikowa.

— A cóż, mości panie, potępiajcie nas, osądzcie! — błysnąwszy czarnymi wielkimi oczyma, z rozjaśnioną bladą twarzą, rzekł Nowikow, wstając z krzesła: nasze żołnierstwo, izmajłowcy, zdecydowało dziś — mówię to w sekrecie — nie słuchać wymysłów holsztyńców, nie iść na wyprawę do Danji. Przytem luteranizm myślą wprowadzić, kościół w pałacu w Oranienbaumie budują

— I nasi preobrażeńcy za wami! — odezwał się od okna rozkorkowujący nową butelkę piwa, Dierzawin; wybrali mnie koledzy artelszczy-

kiem na tę bezsensowną wyprawę... Lecz tylko czy na prawdę i będzie ta zamierzona wojna...

— Dlaczego? — spytał Łomonosow.

— Zdecydowało kapralstwo, — rzekł Nowikow: gdy tylko wyjdziemy na Jamską, za Kalinkin most, stanimy i spytamy, gdzie i po co nas prowadzą? dlaczego opuszczamy naszą matkę, carycę — nadzieję, Katarzynę Aleksiejewnę!...

— Której wszyscy radzi jesteśmy służyć aż do grobu, — dodał Passek.

— Jeszcze kanonik Mengden, jak słyhać, — odezwał się znów od okna Dierzawin: przepowiedział w dzieciństwie Katarzynie Aleksiejewnie, że na jej głowie spoczna trzy korony...

— Moskiewska, Kazańska i Astrachańska! — trącając się z Fonwizynym, rzekł Nowikow: ura, nasza radość, wiwat!

— No, słowem, nie idziemy do Danji! — zakończył, nalewając wszystkim szklanki, Dierzawin: nie idziemy za holsztyńców i basta...

— Lecz pozwólcie, panowie, — zwrócił się do nich Łomonosow: was za to, przecież, nie pochwalą... dowiedzą się, odkryją...

— Nie wpadniemy, — odpowiedział, patrząc na niego przez wierzch okularów, Passek: ja pierwszy, — ani w życiu...

— No, zaręczyć trudno, — wyrzekł Łomonosow: próżne, niepotrzebne ofiary, — i jeszcze z dodatkiem lepszych, jak widzę, sił i rozumów...

— Niema, daruje pan, lepszych i niema gorzych! — odpowiedział, podniósłszy rękę, Nowikow: człowiek od natury otrzymywał prawo na równość ze wszystkimi i na wolność. Równość zabita własnością, wolność ślepymi uprawnieniami ciemnych towarzystw... Bóg, materja i spokój — jedno i to samo...

— Te-te-te.. znajoma sofistyka, nie nowość! Lecz pan, młody człowieku jak widzę, różanokrzyżowiec, illuminat? — rzekł, patrząc na mówcę, Łomonosow: szeregowcowi izmajłowskiemu to, wybaczy pan, jakoś nie wypada...

— Niech żyje wielki Adam Weishaupt, Wellner i Saint-Germain! — nie uspakajając się i potrząsając szklanką, wykrzyknął Nowikow.

— Pan, mości panie, tyłu wyliczył wielkich, i jeszcze cudzoziemców, — rzekł, nachmurzywszy się i wstając, Łomonosow: że nam, niższym, że nam w tem towarzystwie i ciasno.. Żegnajcie.. Jednakże, nie mógłby pan, proszę pana, powiedzieć, gdzie się obecnie obraca wychwalany przez pana, alchemik i szarlatan, ten jakoby żyjący dziesiątki wieków, caro padre, Saint-Germaine?

— Hrabia obecnie jest w Pirze, — mimowoli odpowiedział Nowikow: pragnący go zobaczyć — mogą dowiedzieć się u skarbnika artylerji, Grygorja Orłowa... bywa i w austerjach Drezdenszy i Ambacharszy...

— Hrabiał o-ho! — zauważył z pogardliwym uśmiechem, Łomonosow: portugalskie żydowskie bydlę nazywają hrabia! A cała jego magnetyzacja i stan nadnaturalny nic więcej, jak domieszane do pączku, lub do kawy, na posiedzeniach masonów, opium... Szczegółowo to wiem! Co zaś do chemji, panowie moi, to w niej, wierzcie mi, jest on zupełnie nieuk i głupiec.. Szarlatanizm uprawia w kamieniu filozoficznym, wskrzesza jakoby martwych i włosy na łysinach odrasta! Zresztą, rozstrojonym fanatyzmem w węzłach nerwowych paniom bardzo się podoba i za to porządnie i sprawiedliwie je obiera.

Łomonosow pożegnał się z młodymi ludźmi i wyszedł. Fonwizin odprowadził go do bramy.

— Jaka szkoda! mój wuj na polowaniu w Rospzy, — rzekł, rozstając się ze znakomitym gościem dwudziestego ósmego czerwca dzień jego urodzin; ja choć i wyjadę do Moskwy, lecz na ten dzień bezwarunkowo powrócę.. Nie odmówi pan, Michajło Wasiljicz, na pierog... I wuj i ciotka będą bardzo radzi widzieć pana. Oni są tak wdzięczni panu za mnie; dwudziestego ósmego — nie zapomni pan?

Łomonosow z początku odmówił; dwudziestego dziewiątego czerwca, w dzień Piotra i Pawła, w akademji wyznaczone było uroczyste posiedzenie, i jemu polecono przygotować i powiedzieć tego dnia pochwalną ku czci cara mowę łacińską. Lecz, pomysławszy, spojrzawszy na młodzieńca, uprzejmie uściśnął mu rękę i dał słowo być u niego na pierogu wuja, po posiedzeniu w akademji.

Rozmowa w murowance długo nie wychodziła z głowy Michajły Wasiljicza.

„Niedobre zamysły, niedobre“, — rozmyślał: prawdziwe wróble! wyłapią ich jeżeli gorzej nie będzie, zginą ani za co, ani dla czego... A ten w okularach, Passek? ani w życiu, powiada, nie wpadnę... Jacy sprytni, świergoć, nastroszają się poprostu wróble...

Po trzech dniach Łomonosow poinformował się w kollegji i dowiedział, że rozkaz, z pozwoleniem Mirowiczowi na powrót, podpisany został w przeddzień i już posłany do armji. Chciał jechać do mostu Kalinkina, odszukiwać B-wykinową, gdy zobaczył na schodach kollegjum Uszakowa, z którym poznał się wiosną, odprowadzając Mirowicza do Szlisselburga. Łomonosow powiadomił

go o informacji o przyjacielu jego i dodał: „à propos niech pan zastąpi mnie, pojedzie do wspólnej naszej znajomej, Bawykinoj, coś niedomagam, a trzeba by się dowiedzieć adres pańskiego przyjaciela i prędzej go uradować“.

Uszakow udał się do mostu Kalinkina.

Pokój u greczyнки Bundi, gdzie mieszkała teraz Filatowna, był przesiąknięty zapachem ptactwa domowego. W sąsiedztwie, za drzwiami, mieścił się, widocznie, kurnik gospodyni. Bardzo wychudła, z niezadowoloną i smutną twarzą, Bawykina, przykryta starą kacabajką, leżała na kufrze, pod obrazami.

— Co wam jest, mateczko! — spytał Uszakow: czyście zdrowi? jaka szkoda, że nie dała pani o sobie wiadomości; chętnie bym odwiedził..

— No, już ty byś odwiedził jedna jagódka z przyjacielem swoim. Do trumny dawno już czas mi; rozewrzyj się, matko ziemio surowa, — ledwie spojrzawszy na gościa, ponuro i w zamieszaniu wyrzekła Filatowna: ot ona, dola baby Nastasji... na ptasznicę i ogródniczkę w takich latach poszłał Cóż, chłopcze, nie oskarżaj; chlebka każdy chciałby pozuć. I wodę sama noszę... A omal że z fe-bry nie umarłam, jakim jego to, twojego prokuratora, odprowadziwszy, tutaj się przeniosłam.

— A ja do pani, Nastasjo Filatowno, z dobrą wiadomością, — rzekł, siadając. Uszekow: nie u wszystkich interesy dobre, i ja oto w ucisku, straciłem znów wszystko. Od Wasilja w tych dniach kartka była, — prosił, ażeby postarać się o powrót jego; inaczej — pisał, — bez zapytania, na zgubę swoją, gotów zostać dezterem. Więc silni ludzie wystarali mu się o pozwolenie! wczoraj, powinszujcie, napisano do Buturlina i do jego pułku narwskiego...

Bawykina podniosła głowę z poduszki. Oczy jej niespokojnie zabiegały po pokoju, z przerażeniem zatrzymując się na kretonowej firance, przeciągniętej od pieca do szafki z naczyniami. Usta coś szeptały.

— Co wy, mateczko, nie słyszysz? — nachylając się nad nią, spytał Uszakow.

Filatowna, kiwając głową, nie spuszczała przerażonych oczu z szafki. — „Co by to znaczyło? — pomyślał Uszakow. Wstał, wolno podniósł firankę.

Pod piecem, schwytawszy się za włosy, w zabloconym szynelu i wysokich butach podróżnych, siedział Mirowicz, z opuszczoną głową.

— Bogowie sprawiedliwi... co ja widzę?.. to ty? — zawołał Uszakow: jak i kiedy? urlop dopiero co posłany.

— Bez urlopu, uciekłem...

— Lecz przecież to dezercja! jakieś się mógł zdecydować?

— Co się pytać, dosyć! dziw jak! nie wytrzymałem — no, i to wszystko! — grubo odpowiedział Mirowicz: znaczy się był powód.

— Kiedy przyjechałeś?

— Dziś w nocy, z żydami, wielkołuuckimi furmanami.

— I nie obawiasz się? nie poczekałeś! no, a jak żydzi wydadzą?

— Nie wydadzą. Nie wszyscy przecież są Kaini, zdrajcy. A doniosą, — eh, djabeł! tu i drogol — ostro rzekł Mirowicz: oficer, z naszej loży mason, przewoził sprzęt z Mitawy; no i przewiózł przez rogatki w pakach.

Uszakow nie mógł przyjść do siebie. Przewyższający go moralnym charakterem i rozumem Mirowicz, wydawał mu się marnym, nikczemnym.

— Cóż teraz! — rzekł Uszakow: przecież są wojenny, przecież zguba nad głową... A on siedzi... Ach, Wasilij, przypomnij sobie spotkanie u Drezdenty. twoje słowa o sile woli, o radach rozumul Z Joziem słońce zamierzał zatrzymać, z prorokiem Eljaszem chciał otwierać i zamykać niebo, — a nie mógł wyczekać, zagranicą, zwolnienia na urlop, z komendy! schrecklich!..

— Eh, wynos się, djable! rady jeszcze! ginąć, to ginąć. Wszystko kłamstwo, — ponuro i ze złością wyrzekł Mirowicz: wszyscy podleczy, najobrzydliwsze twory, a tyś pierwszy z nich.. Jedna w świecie prawda, jedna, — miłość.. Ot chyba, zresztą, i ona.. ach napluć!.. Żeby prędzej tej decyzji koniec..

— Uspokój się przyjacielu Wasilij, uspokój się, rzekł, mrugnawszy na Filatownę, Uszakow: objaśnij lepiej, jak to się stało. I z przedmiotem miłości swojej teraz prędko, — no, choćby i dziś, — spotkasz się, widziałem ją... Dziewica wyjątkowo godna i, prawdopodobnie, czeka nie doczeka się... A już od sądu, Wasia, jakoś, w tak niezwykłej faksji, postarają się uratować cię silni przyjaciele..

Mirowicz, pogardliwie ziewnawszy, nic nie odpowiedział.

Uszakow zawiadomił o przyjeździe przyjaciela Łomonosowa, prosząc o wstawienie się za nim do hetmana. i przypomniał Mirowiczowi wiosennego znajomego jego z domu Drezdenty, Grygorja Grygorjewicza Orłowa, do którego ten następnego dnia się udał.

— Al. Cudownie zgubna piątka! — zawołał, na widok Mirowicza, zahłmejster artylerji gwardji, Grygorij Orłow: jak tam sprawa z faraonem i z bilardem?..

— Żle, Grygorij Grygorjewicz! cały, jak jestem, przegrałem.

— Cóż, pieniędzy potrzeba?

— Nie, nie ich. Raz pomógł pan, za co do grobu wdzięczny będę, — jeszcze w jednym niech pan pomoże... odłuszę...

— O co rzecz idzie?..

Mirowicz opowiedział o swojej ucieczce. Orłow opuścił ręce.

— Żle, bracie, szczególnie źle! — rzekł, kręcąc głową: tyś mason? no mów, nie bój się, — i jam mason..

Mirowicz zrobił specjalny, dziwny znak ręką. „Znakomicie, — tak i myślałem, przyda się, — rzekł do siebie Grygorij Orłow: wolny mularz i amator kart! Stepana Wasiljewicza Pierfiljewu wydelegowali, by nas obserwował, a my jako szpiega przy nim postawimy tego gąsiora. Pierfiljew w pikietę psa zjadł, — za to w la mouche mu się nie wiedzie.., Oto dla niego odrazu i dystrakcja i pomsta... Ten go, już, bez wątpienia, pobije z pierwszych rzutów!..”

— Przychodź jutro, — rzekł Orłow: rozpatrzmy twą sprawę.

Mirowicza ubrali, zaopatrzyli w pieniądze. Ażeby uwolnić go od odpowiedzialności za samowolną ucieczkę jego z armji, Orłow urządził tak, że raport o nim schowano, do narwskiego pułku dano znać, że czasowo wyznaczony został do artylerji, do komisji „o przegładzie szuwałowskich haubic“, a jemu kazano siedzieć z Perfiljewym i nosa nigdzie nie pokazywać. Pomogli przytem i masoni, z jednej loży z Orłowym.

Wasilij Jakowlewicz ukradkiem widział się z Pczolkiną. Po wyjeździe ze Szlisselburga, mieszkała ona na Kamiennej, u Pticynych. Spotkanie

ich było dziwne. Poliksena jakby uradowała się, nawet jakby gwałtownie, nerwowo rozplakała się. Mirowicz, jednakże, zobaczył coś innego, nie to, czego oczekiwał. Sam nie zdając sobie sprawy, o co rzecz idzie, w milczeniu, ponuro usiadł i przez cały czas z podełba patrzył, słuchając Polikseny. „Zupełny wilczek, — pomyślała o nim Pticyna, obecna przy tem spotkaniu: i jak ona nie strzeże się go! oczy — ostre noże!”.

Organizator zabaw gwardyjskich, Orłow, zapoznał Mirowicza w loży masonskiej, z Perfiujewym. Nowi znajomi, jak zasiedli do stołu, to już i nie wstawali. Dnie upływały, noce bez przerwy, — oni bez odpoczynku grali, rzadko zmieniając miejsce gry, a kiedy podchodzili inni amatorzy, siadali przy okrągłym stole w biribi lub w faraona. Opium masonerii, połączywszy się w Mirowiczu z upojeniem grą karciana, zniewoliło w końcu myśli jego, serce, wolę.

Dwudziestego trzeciego czerwca, Mirowicz, wychudły, z zapadłymi policzkami i z błędnym, przygasłym, gniewnym wzrokiem, przyjechał do Łomonosowa, przeszedł do niego do ogrodu i, usiadłszy w altance, przerywanym, bardzo podnieconym głosem, spytał go:

— Wie pan, co się stało?..

— Nie wiem...

Mirowicz nie podnosił oczu. Zgarbiony i nastrozony, przesiedział kilka sekund w milczeniu, z opuszczoną dolną wargą i opadłymi z kolan rękoma, nienawistnie oczekując, co mu powie jeszcze Łomonosow.

— Jam prosto z Kamiennej, — zaczął znów Mirowicz, umyślnie cedząc słowa: wczoraj Polkse-

na spacerowała z dziećmi Pticynych... no, spacerowała i zaszła do gaju nad Newką...

— Cóż tam zobaczyła? — spytał Łomonosow.

— Dzieci zbierały grzyby; Poliksena czytała książkę... ha, ha! w tym czasie — książkę!.. Naraz słyszy kroki; spojrzała — idzie dwóch..

Powiedziawszy to, Mirowicz kurczowo wzruszył ramionami, zupełnie jakby miał febrę, i nerwowo ziewnął.

— I ktoż, pan myśli, byli ci dwaj? niech pan zgadnie, — spytał, jakos nienaturalnie uśmiechając się, Mirowicz.

— Nie wiem, — odrzekł Łomonosow: skąd mogę wiedzieć?

— Księżę Joan Antonowicz i z nim, widocznie, nowy szlisselburski komisarz, — z pogardliwie-dumnym uśmiechem wyrzekł Mirowicz.

— Co ty, Wasilij Jakowlewicz! nie może być.. czyżbyż książę?..

— On! Poliksena nie omyliła się, poznała... on! drugi tydzień już w tajemnicy mieszka w willi Gudowicza w lesie...

Łomonosow, przez głowę Mirowicza i szczyty drzew, spoznał na zmierzchające się, zalane mglistym światłem niebo i z uczuciem, powoli, przeżegnał się.

— Lecz jest i druga sprawa, — ciągnął, spieszac się i zajakając, Mirowicz: i to o czem dowiedziałem się wypadkowo, — no, grając z jedną tu kompanją, — to o tem straszne i mówić..

— Cóż się dowiedział?

— Nie dziś, jutro, spodziewają się buntu, za-
burzeń, — odpowiedział, utkwivszy w twarzy Łomonosowa, czarne, bez blasku, oczy Mirowicz: wsumostko, zapewnają, gotowe i najwierniejsi, bliźcy monarsze ludzie sprzedają się, jeżeli już nie sprzedali się jego wrogom.

Mówiąc to, Mirowicz zarumienił się i zamilkł — Dosyć, czy mało tam gadają! — rzekł Łomonosow, przypominając rozmowę u Fonwizina: zbaw Boże przed złymi, burzliwymi dniami! wszystko pójdzie do góry dnem.

— Nie wierzy pan? — spytał, wstając, Mirowicz.

Wyprostował się, kurczowo poprawił włosy. Czarne, zamglone z niepokoju i bezsenności, oczy jego patrzyły gniewnie. Poczynał w nich płonąć zły i dziki ogień. Zebranie wszelkiej goryczy, nienawiści i zemsty wywoływało nadmierne podniecenie.

— Pokażę im, — rzekł z zimną nienawiścią: dowiem się bliżej, i wszystko, jak jest, ujawnię. Cierpiałem straszliwą, bezgraniczną biedę, ubóstwo, nędzę, a przyjaciele moi byli bogaci i znakomici. Czas się wybić... I już jeżeli za to nie otrzymam satysfakcji we wszystkich mych nieszczęściach, — niema prawdy na ziemi!..

Mirowicz wyszedł. Kroki jego zamilkły w końcu ogrodu.

Łomonosow nic mu nie odpowiedział i nie odprowadził go.

W dalszym ciągu z altanki patrzył na ciemniejące, nad drzewami, w ostatnich odbłyśkach zachodu niebo i myślał o czem innym. Wymęczony więzieniem, łagodny i dostoyny na wygląd młodzieniec nie schodził z oczu jego myśli..

VII.

W willi Gudowicza.

Dzień dwudziesty czwarty czerwca był gorący, duszny. Zamieniła go spokojna, cała zalana błękitnawem światłem księżyca, noc.

Wonna, błotno-łączna mgła, nie rozprasząc się, napełniła każdą polanę, każdy skryty zakątek lasu. Powietrze było nieruchome. Długie kolumny uradowanych z ciepła muszek, to wijąc się, to rozpraszając, płynęły nad szczytami pogrążonych w drzemce nowych lasów.

Biała mgła, jak całun, podpełzała z zachodu, z wybrzeża, gdzie na krótki odpoczynek skryło się, płonące jak purpurowa kula, słońce. Wonia sosen i traw, zupełnie jak kadzidłem, przeciągnął po pustkowiach ledwie dostrzegalny wietrzyk poranny. Obudził się za sinem grzebieniem lasu, tam, gdzie wkrótce winna była zapłonąć smuzka porannej zorzy, i ledwie poruszał źdźbła łopuchów i paproci, rozpędzając muszki i budząc przylotne, niedługo śpiewające tu, słowiki.

W ciemnych jeziorach i kałużach odbijał się pełny księżyc, przesieki, ogrody i domy tu i owdzie rozrzuconych samotnie willi. Nietoperze, w pogoni za muszkami i wszelkiem robactwem, bezdźwięcznie migały w promieniach księżyca.

Willi Gudowicza stała na brzegu rzeczki bez nazwy, oddzielającej wyspę Kamienną od Krestowskiej.

Wysoki parkan z desek otaczał podwórze i ogrody. Główny, ze szklanną oranżerją dom, gdzie latem mieszkała rodzina ulubionego sługi carskiego, wychodził na wielką drogę. Zapasowa, nowa oficyna położona była w głębi podwórza, w ogrodzie, dochodzącym do rzeki. Służbowy, stajnia, obora i pozostałe budynki gospodarcze ciągnęły się na prawo i na lewo od głównego domu. Sam gospodarz rzadko kiedy przyjeżdżał tu na odpoczynek i ażeby spojrzeć na konie, których był wielkim amatorem.

Drugi tydzień Gudowicz nieodłącznie znajdo-

wał się przy carze w Oraniebaumie, lecz zawiadomił, że wkrótce przyjedzie. Staruszka matka i siostry—panny oczekiwały go z godziny na godzinę i do późna nie kładły się spać. Długo świeciło się światło w wielkim domu i obok niego w służbowym, gdzie dla czegoś, od niedawnego czasu, zmieniała się sekretna nocna warta z policjantów i poddanych inwalidów. Dwaj wartownicy z muszkietami nocowali — jeden na ganku oficyny od podwórza, drugi w ogrodzie, na balkonie. Służba dworska spoglądała na okna i drzwi oficyny i kiwała głowami, widząc, jak szeptem stara pani z panienkami.

Do oficyny nosili jedzenie, herbatę, kawę i deser; chodzili do niej cyrulik, szewc i krawiec. Przenieśli tam, przed trzema dniami, dla kogoś nowy kaftan holsztyński, zielony z srebrnym haftem i czerwonym kołnierzem i mankietami, żółtą kamizelę, takżej pantalon, lakierowane ze sprzączkami trzewiki, trójrożny kapelusz z galonami i łosiowe rękawiczki. Z oficyny prowadziły oddzielne drzwi balkonowe do ogrodu, na furtkach którego wisiały kłódki.

Było daleko po północy.

W wielkim, obitym nowymi szpalerami, pokoju stały dwa łóżka. Na jednym spał przykryty wojskowym szynelem, zmęczony, tęgi starszy człowiek; na drugim—długowłosa, z niewielką kasztanową bródką młodzieniec. Bielizna i ubranie, rozrzucone po krzesłach i sofie, roztrwarte walizy i puzdra, fuzja w zakurzonym futerale na ścianie, — wskazywały, że mieszkający tej oficyny nie zdążyli się jeszcze urządzić.

Wieczorem długo spacerowali po ogrodzie, wychodzili przez specjalną furtkę w gęstwinę leśną na wybrzeże morskie i na łąki, łapali ryby na

wędkę i zbierali grzyby i kwiaty. Byli to komisarz Życharew i książę Joan.

Życharew starannie zamknął furtkę i drzwi balkonowe, klucze od nich zabrał do siebie, po kolacji w łóżku przypomniał sobie Robinsona Kruzoę, o którym słyszał od Czurmantiewa, porozmawiał cokolwiek z księciem i, widząc, że ten zaczął drzemać, zasił świeczkę i zasnął.

Życharew widział we śnie, jak Robinson, wyjeżdżając z pustej wyspy, gdzie mieszkał dwadzieścia osiem lat, zabrał ze sobą na pamiątkę kozi parasol, takżej czapkę, służę Piętaszka i jedną z papuz, która wyraźnie powtarzała: „Biedny Robin, biedny! gdzie cię los zaniósł?”

Komisarz marzył: „I jam biedny i ja!.. Tyle lat przyżurował w Kronsztadzie, dostałem się do Pitra, urządziłem z rodziną, myślałem życie skończyć w stolicy, i naraz przeniesi, zamknęli w Służynie. Zaszczytne zaufanie, lecz jaka odpowiedzialność! Teraz tu wysłali. Czyżby uwolnili księcia? Czyż i mnie w takim razie uwolnią zupełnie, na odpoczynek?.. Bez wątplenia, przy tak pewnej okazji, dadzą pensję, być może, na wyżywienie dzieci i wioseczkę, gdziekolwiek nad Wołgą, lub w stepach za Moskwą.. Wyjadę, zacznę żyć, ani smutku, ani mustry, ani wymówek władzy nie słuchać“...

Książę Joan spał niespokojnym, gorączkowym snem.

Marzyły mu się porure, grobowe kazamaty, ordynarni, bez serca strażnicy i wieczna, codzienna i cogodzinna, jednoznaczna, nie pokonana, nieubłagana i niema, jak grób, niewola baszty Swietlicznoj.

Miotał się we śnie i oddychał ciężko. Wielkie krople potu występowały na przystojnej, dzie-

cinnie-dobrej twarzy. Coś straszego, dławiącego, kamiennego legło na piersi jego. — „Śmierć! — przemknęło w myśli księcia: oto ona nakoniec... Boże! daj ją prędzej! zabierz mnie, przyjm, uspokój...“ Zajączał głucho, drgnął i obudził się.

Patrzy — nieznany, obszerny, czysty pokój. Nie czuć zapachu zgnilizny; nie widać pleśni na kamiennym stropie i w kątach. Pachnie kwiatami, wonną smołą sosnową. Lampka przed obrazem, migając, ledwie płonie. Okno zamknięte. Drzwi z kłódką. Lecz oto i lampka, mignawszy raz i drugi, zgasła. Promienie księżycy wpadają, ślizgają się z podwórza, błędzą po pokoju. Duszno. Kołdra zrzucona. Serce trwożnie bije, błądzi. Niezrozumiałe okrzyki, mowa, dzwonienie i szum w uszach.

Słychać słowiki, skowronki, dzwonią dzwonki, trąby rozlegają się w oddali. Tiń-tiń... i milknie... I znów pieśni, okrzyki, dzwony świąteczne i gwar... Gdzieś radują się, weselą, kogoś wzywają i wabią...

— „Trąby Jerychon! grzmijcie, dźwięczcie! Hosanna na wysokościach... padną grzeszne mury, padną! Jam jest alfa i omega, pierwszy i ostatni, początek i koniec...“

Znów cisza.

Błękitne promienie sypią się przez okno. Ktoś jakby chodził, szeleścił po pokoju. Coś hiałego usiadło na krześle, patrzy z mroku, i rośnie — wysokie, bezgłowe, w fałdach i z wyciągniętymi rękoma. Za szafą — kosmate, zawinięte w czerń, z ogonem i ostremi, długimi szponami. Od szpon ciągną się po podłodze świecące cienie. Poruszają się, jak węże, ślizgają się i gasną w kącie. Coś wyrosło przy drzwiach i, kofyszac się, zbliża się do łóżka. „Herodjada, zwierz siedmiogłowy, biesyl...“

Joan Antonowicz uniósł się, wpatruje się w przerażeniu.. Gdzie jest? gdzie go los zaniósł?

Te same widma, te same strachy i dźwięki, które przez tyle lat, każdej długiej, bezsennej nocy zjawiały mu się i dawały mu się słyszeć w zamknięciu. Lecz miejsce, gdzie jest teraz, niepodobne do więzienia. Widma, bledną, nikną. A tam, za oknem — prawdziwe, wolne słowiki.

Zycharew zmęczony przez tydzień na spacerach po wybrzeżu morskiem i po lasach, po dzikich ścieżynach, i śpi mocno.

„Uciec! — myśli książę: naspacerować się do woli, na pachnącej świeżej wolności! Obecnie, powiadają, dzień św. Jana, — tak i jest! moje imieniny... Nie. Jeszcze złapią, przykują na łańcuch, jak zwierzę... I nie zobaczę więcej, przez zamurowane okno, ani błękitnego nieba, ani morza, ani kwiatów, ani jej.. Gdzie ona? Czy we śnie?... Tak! widziałem ją, widziałem tu, niedaleko; pamiętam miejsce, gdzie ona, przestraszona, skryła się... Coż, jeżeli by“...

Iwanuszka słucha. Znów mu się majaczą dzwoneczki, trąby. — „Głos trąb, i muzyki, i fletów“... Dzwoni i ścisła, i oblewa żarem i zimnem... „Córa Idumejska, żyjąca na ziemi! i na ciebie przyjdzie czara Pańska, i nie upoiwszy się, nie wesel się... Eufrazja! myśli książę: złotowłosa, pachnie kadzidłem, mirą i różą... Gdzie ona? i jak zesła?... Spałem i marzyły mi się strachy śmiertelne... I zjawiała się ona, obleczone w białor, purpurę i słońce! Księżyc pod nogami, na głowie wieniec z gwiazd i na nim napisane — tajemnica... Coż, gdyby wolność, gdyby uciec?“...

Na balkonie dał się słyszeć szelest. Ktoś z podwórza pochylił się do okna, jakby zaglądał w mrok

pokoju, poskrobał paznokciem raz i drugi po szybie. — „Boże, wzywają mnie, wzywają“..

Aresztant zerwał się, podszedł do okna, wyjrzał do ogrodu. Widoczny balkon, wysypany piaskiem placyk i najbliższe drzewa i krzaki. Policjant-wartownik śpi, rozciągnięwszy się w poprzek ganek. A pod okienkiem, kręcąc ogonem, siedzi i uprzejmie łagodnie oczyma patrzy się kudłaty, biały pudel gospodarza. Iwanuszka pomacał po ramie, znalazł zasuwkę, otworzył okno. Pies bezdźwięcznie wskoczył do pokoju. — „Nakarmić go, nakarmić biedaka! nie jadł!“ — zdecydował, czule głosząc go, aresztant. Odszukał w szafie, odlał psu resztki kolacji. Świeże przepojone smolą i parą rzezną powietrze obfitym wdarem wdarło się do pokoju. Oddycha leśną ciszą, wolnością i wabi w mrok.

Pudel, stuliwszy uszy i ogon, począł chleptać z tale za. Iwanuszka postać nad śpiącym komisarzem, obuł się naprędce i drżącymi rękoma zaczął kłaść na siebie nowe, sprawione mu ubranie. — „Tu, za mną“, — szepnął psu, całując go w mordę i w wesoło patrzące oczy: za mną! O! przypomniałem w zupełności — znam drogę, podpatrzyłem, — mostek, i prosto.. dom pod brzoškami — wieżyczka i ganek“..

Pudel wykoczył przez okno. Iwanuszka za nim. Minęli policjanta inwalidę, przeszli w głąb ogrodu i zatrzymali się przed furką do lasu. Furka zamknięta. Jak czarni olbrzymi wznoszą się do góry za ogrodzeniem rosiste jodły i sosny. Pudel, z podniesioną łapą, patrzy na Iwanuszkę. Wszędzie cicho; słychać tylko plusk ryby na sąsiednim wybrzeżu, i wysoko, w zmroku przed świtem, świszcząc skrzydłami, ciągną z błot ku wybrzeżu morskiemu stada rzeźkich nurków.

Aresztant ujął za pień starej brzozy, wspiał się do dziupli. Lecz nie wejść na parkan; jest wysoki i deski gładko wyhetlowane. Iwanuszka obszedł kilka ścieżynek, obejrzał się, — niema psa. Pobiegł go szukać. Słyszy — pudel prędko biega, straszac śpiące ptaki po tamtej stronie ogrodzenia. Gdziez wyjście? Trawa zdeptana; stary ściek wije się w gąszczu łopuchów. W końcu jego — przejście pod dolną deską parkanu. Iwanuszka nachylił się. — „Czyby nie rozkopać ziemi?“ — Rozkopał popsuty nawóz, przesunął głowę, kadłub, posłuchał i wylazł z ogrodu.

„Bożel jaka wolność! co powietrza, co przestrzeni, swobody“.. Ciemne ściany lasów ciągną się na prawo i na lewo. Kępy ich zupełnie jakby pływały w nadciągającej mgle. — „Jm, kwiat polny i krzak nizinny“, — myśli więzień: „jako krzak w ciemni, tak szczerość moja pośród cór.. Jako jabłoń — pośród drzew leśnych“!.. — „A jeżeli oszuka?.. Co powiedziano o niewiastach?.. Jeśli uboga, nienawścią bogaci się ganiona — złości się, przeszczona — wznosi się.. Nie! ona nie Dalila, nie Herodjada.. nie zdradzi, nie sprzeda!“

Iwanuszka podniósł głowę, wyprostował się i z początku nieśmiało, niezręcznie, potem pewnie i śmiało krokami poszedł, nie oglądając się od willi Gudowicza.

Mgła jeszcze się nie rozproszyła. Zmierzczył otulał okolice. Wysoki, chudy, z nieuczesanymi, rozpuszczonymi włosami, wędrowiec kroczył na wprost przez gęstwinę leśną. Ani kępy, ani wrzośy ani mchy nie powstrzymywały go. Gałęzie czepiały się murłuru, zrywały obszyty galonami trójrożny kapelusz. Ostrożnie, jak zwierzę, przyglądał

się, przysłuchiwał, zwalniał kroki, rzucając się w bok, i wysuwając z krzaków głowę, czekał i znów bez ustanku szedł i szedł.

Poliksena spała u Pticynych w pokoju nagórze, wychodzącym oknami na las. Wieczorem byli goście z miasta. Poszli spać późno. Ledwie usnęła pierwszym mocnym snem, posłyszała, że ją budzą. Przed nią, bosą, w koszulnie, stała wystraszona, nawpół senna dziewczynka, córka klucznicy.

— Co ci, Lizutka?

— Tam, na galerji, panienko... o! coś strasznego, naprzeciwko samego salonu, chodzi... niech panienka idzie, spojrz.

— Lecz gdzie? co ty?

— Oj, boję się... A to od lasu, — straszne chodzi po galerji; odejdzie na drogę i patrzy na wrota, na płot.

Poliksena spojrzała przez okno i zdrewniała. Na skraju lasu stało blade widmo. Był to książę Joan.

— Idź Lizuta, idź, gołąbko, Bóg z tobą, kładź się. Wydało ci się. Nikogo tu niema...

Namówiwszy nawpół senną dziewczynkę do odejścia, położyła ją, przeżegnała, ubrała się sama przeszła do salonu i otworzyła drzwi na ganek.

— Czy to wy, panie? — spytała Pczołkina, podszedłszy do księcia: jakim sposobem?..

— Ja... ja... oto, droga, widzisz, znalazłem ciebie! Pójdziemy, pójdziemy żeż... — rzekł, chwytawszy Poliksenę za rękę.

— Lecz gdzie? co pan? Usłysza, przybiegną.

— Życie moje! rzucimy wszystko, uciekniemy, — ciągnął dalej zadyszany Iwanuszką: zobaczyłem ciebie... wszystko minęło, wolność, życie...

— Czyż taką jest wolność? Ach, pan nie jest prosty, zwykły człowiek. Pana nie puszczą do browolnie, pan niebezpieczny, — będą śledzić, znajdą na dnie morza, pod ziemią.

— Przyjacielu, przyjacielu!.. za cóż, za col..

„Oto on, przeznaczony dla tak wielkiego państwa, — myślała Poliksena, patrząc na więźnia: dla jego wybawienia wybuchały bunt, tron uważano za niepewny, póki on żyje. Posyłano szpiegów, tworzono w jego imieniu spiski... Zamysłano porwać go w Berlinie; przez całą wojnę przez niego dywersję myśleli zrobić... I pamięć o nim wygasła, wszyscy uważali, że jest w grobie... Lecz on tu, przedemną, prześladowany przez zły los, błagający... I mnie, marnej, nieznałej, nowej wybrance, czyżby sądzonem było dokonać święty czyn, powrócić tron nieszczęśliwie urodzonemu?.. Ukryć go, a rano odwieźć do pałacu... Cara oczekują z Oranienbaumu, — będzie zmiana warty“...

— Nie obawiajcie się, panie, — rzekła Pczołkina: teraz pana mi nie odbiorą... ja pana uratuję... tak, powrócę panu szczęście, wolność, wszystko... A kiedy pan będzie przy mocy i sławie...

Nie domówiła. Aresztant naraz schwytał ją, namiętnie — dziko przytulił się do niej i zaczął ją obsypywać palącymi, gwałtownymi pocałunkami. Ręce jego drżały, oddech rwał się, szeptał słowa bez związku, bezmyślne. Poliksena próbowała mu się wyrwać. Pociągał ją z drogi w gąszcz drzew.

— Co pan, gdzie? — szepnęła Poliksena, kiedy znaleźli się na skraju lasu.

Aresztant nieprzytomnie, z przerażeniem ogłądał się. Mowa odmawiała mu posłuszeństwa. Zaczynało świtać. Na prawo widniała odnoga rzeki. „Co mu jest? — w przerażeniu pomyślała Poliksena: czy on rozumie, czy słyszy, co do niego mówię? niema co zwlekać“...

— Tam znów duszą, biją, mordują — rzekł naraz więzień: a oto i wolność... I boję się kogoś stracić, kogoś nie widzieć..

— O kim pan mówi? — spytała Pczolki-
na.

— Zawiniłem wobec niej! żeby nie przestała kochać! — szeptał więzień, z utrudą rażą wpatrując się w twarz Poliksena i dotykając jej ręki,

— Wkrótce będzie ranek, — rzekła Pczolki-
na: spostrzegą, że pana niema; zaczną pościg. Tu się pan nie ukryje. Trzeba do miasta, do cara. Oczekiwali go wieczorem. W nim jednym ocale-
nie. Lecz ze mną zaraz pana poznają... Pan musi sam.. Czy pan potrafi?

Iwanuszka milczał.

— Oto ścieżka, — ciągnęła dalej Poliksena: prowadzi do rzeki. Tam most, lecz nie, lemej łódki. Zgadza się pan? Pana odprowadzę. Do-
jeździe pan do miasta, i prosto do fortecy; tam znów w łódkę i do pałacu. Niechże pan idzie... Ręka pańska... Wszystko zdąży opowiedzieć. Niech pan idzie, — a oto pieniądze na przewóz...

Poliksena przeprowadziła księcia do krańców Kamiennej wyspy. Z brzegu, przez Newkę, w nagle porannej, widniało już przedmieście Kołtowskie. Od przystani odbijało czółno.

Zbieg i przewodniczka zatrzymali się.

— Niech pan więc słucha... pierwszą ulicą, i wciąż prosto; i ani słowa z nikim, niech pan pamięta — ani słowa...

— Będę pamiętał...

Pożegnali się.

— Może podwieźć, panie? zawołał do księcia z brzegu siwy, jak księżyc, w wojłokowym kap-
turze, krótkowzroczny przewoźnik.

— Podwieź... tylko ja oto... —, rzekł i zająk-

nał się więzień, oglądając się ku drzewom, po za-
ktoremi pozostawił Poliksena.

— Lecz gdzież to, duszo Chrystusowa?

— Do pałacu... cara potrzebuję... cara...

— Po służbie, czy co, potrzebny? na zmianę warty spieszysz?... siadaj, — eh ranek! czy nie-
tutejszy? czy nie zabłądziłeś, człowiecze Chrystu-
sowy...

— Eh, pyta się i pyta, — gniewnie, ostro ka-
szlac, odezwał się z pod kozucha długi, młodszy przewoźnik, leżący przy szafasie: ty już wiesz, dzia-
dzie, czego się rozgadywać? ot, kiwają z brzegu, czekają. Murycz to ci w kark nakładzie...

— Nie nakładzie, nam co! robotę swoją zna-
my! — odpowiedział, pomagając Iwanuszce wejść do łódki, starzec: pochodzono, ponoszono, powo-
żono... Pod trzema carycami, pod trzecim carem chl-bek to jemy. Ma on, wasza cześci, febrę, —
dodał dziad: on się i gryzie, głupawy, szczeka... Widywalismy was, pchlarzy... prawda, pchlarzy,
wszarzy...

Iwanuszka nie mógł usiedzieć. Chciał mówić, dopytywać się bez końca; lecz pamiętał o zakazie Poliksena. Obawiając się obejrzeć po za siebie, z mocno bijącym sercem wpatrywał się w niski, płynący mu na spotkanie, z domkami, ogrodami i przystaniami brzeg Kołtowskiej. Wsiadłszy na brzeg, niezręcznie wsunął starcowi daną mu mo-
netę, postać jeszcze, nieśmiało poprawił ubranie i nie oglądając się puścił się ulcami i zaułkami budzącej się ze snu strony Petersburskiej. Prze-
chodnie wskazywali mu drogę. Od cerkwi Zbawie-
nia wyszedł na Sytny targ przy fortecy.

Dziwny, z kanciętymi ruchami i długonogi, jak zając, piechur, w nowym rozpiętym holsztyń-
skim, zawałanym ziemią i liśćmi mundurze, zwró-

cił na siebie uwagę wczesnych przekupek. Na zapytanie o pałac zamieniły z sobą spojrzenia, poszeptały i wskazały mu na fortecę.— Widzisz, długonogi niemiec, jak niewyraźnie mówił — rzekła jedna przekupka wśląd za nim: z pałacowych, wiadać, lub zamorski czyjskolwiek sługa. U pięknotek, widocznie, jasnowłosa niemczura się opóźnił... Kustykaj teraz piętami...

Słońce wzniosło się już nad starymi, szarymi, kramami i szałasami targu, kiedy Joan Antonowicz wszedł na szerokie zielone pustkowie, otaczające bastjony twierdzy. Przez kanał przerzucony był most, za mostem wejście do fortecy. Napis, „Brama Joanowska, 1740 r.“, rzucił się księciu w oczy.

Zatrzymał się, zdjął kapelusz i długo, zmieszany, stał, patrząc na znaczące słowa i coś kombinując.— „Oto, panowałem... tak, moje imię ślad“... rzekł do siebie Iwanuszka, ocierając twarz i nieśmiało wchodząc do fortecy.

W tym czasie na brzeg wyspy Kamiennej, gdzie przy szałasie leżał młody przewoźnik, wybiegł z lasu, głośno szczekając, biały pies. Za nim, w towarzystwie koniucha, przypędził starszy, w granatowym garnizonowym mundurze, jeździec. Na zapytanie, — czy nie przechodził tędy i gdzie się skierował taki to, w zielonym mundurze, jegomość? — przewoźnik, pokaszując z pod kożucha, wskazał na Kołtowską i dodał:

— Do cara, powiadał, poszedł.. do pałacu...

Jeźdźcy pomknęli ku mostowi pontonowemu, znajdującemu się wyżej, między Kamienną a Aptekarską wyspami.

Joan Antonowicz wszedł do fortecy.

Slepa stara żebraczka, nisko mu się kłaniając, otworzyła drzwi do soboru.

— Wejdz, ojczulku, wejdz, świecie, pomódl się: nikogo tu niema jeden djacek! — rzekła: wszyscy carowie ziemscy i caryce — monarchinie tu pochowani.. zbaw cię, Boże!. I wielki car Piotr Aleksieicz na prawo to, ojczulku, pierwszy, i caryca ci Anna Iwanowna i Lizawieta, świat mateczka, anielska...

Boleść zabiło serce uciekiniera przy tych imionach. Ledwie dosłyszalnie wszedłszy pod ciemne, dławiące stropy świątyni, pełne zapachu kadzidła, postął nad świeżym, jeszcze niewykończonym grobowcem Elżbiety Piotrowny, myśląc: „Herodjadł oto teraz u nóg moich... sama nicość, proch!“ — Szybko spojrzawszy na wspaniały, z monogramem, grobowiec Piotra Wielkiego, księżę padł na kolana przed grobowcem ciotki, Anny Joanowny.

— Czy widzisz, — omdlewając, szeptał: czy widzisz, łaskawa.. dobra dla mnie, wybranego przez ciebie na następcę?... Oto ja... Męczyli mnie, krzywdzili.. nazwali Grygorjem... Oto twój siostrzeniec, Iwanuszka.. Dwadzieścia lat, dzień i noc, dwadzieścia lat, od kołyski w więzieniu... Lecz, jeżeli Bogu się spodoba, jeżeli.. nie zabiją, jak carewicz Dymitrija.. przysięgam“...

Myśli więźnia spletały się... Upadł krzyżem na zimne, kamienne płyty i długo, bez słów, gorąco modlił się. — „Nikt, jak ja, nikt — powtarzał sztywniejącym językiem: zakosztowałem strasznej niewoli, krwią wyplakałem... Gdzie zbawczyni, gdzie słońce szczęścia?... Przeprowadził go dzień, wskrzesił go czas.. Nie odpędź modlitwy mojej od oblicza swego“...

Djacek zadzwonił kluczami.

— Czas już, panie, raczcie, — rzekł.

Iwanuszka pomyślał:

— Chociażby w tej cerkwi stróżem był... —
cicho tak, ikony, światło...

Wyszedł do przysionka, spytał znów starsz-
ki i przez newskie wrota wyszedł ku rzece, my-
ślać:

— Umrę, nie pochowają mnie z carami —
przodkami...

Szeroka, błękitna cała świeżo zalana
słońcem, Newa, z pływającymi po niej wielowio-
słowymi galeriami i galerotkami z białymi żaglami
i brygami, ukazała się przed nim. Na tym brze-
gu — szereg wysokich domów, z balkonami i figu-
rami na gżemsach, tonących w zieleni ogrodów.
A wyżej nad wszystkimi budynkami — z jasno pło-
nąciami w porannych promieniach słońca szerega-
mi okien, i z mnóstwem posągów na dachu, — no-
wy murowany pałac zimowy.

— Tam... tu... do samego cara! — myślał ucie-
kinier, wsiadając na przystani do łódki.

— A ciebie do taljanca, architekta, czy co, do
nowego pałacu? — spytał go brodaty, w czerwonej
koszuli, przewoźnik.

— Do niego, tu! — powtórzył w myśli książe,
wskazując z łódki za Newę.

Przy przystani pałacowej zebrała się groma-
da gapiów. Zajęło ich dwóch jeźdźców, na spie-
nionych koniach, którzy przyjechali z poza baterji
admiralicii. Podczas gdy koniucha przeprowadzał
konie, pan jego unawiał się z woźnicą najemne-

go powozu i nie opuszczał oczu z łodzi, płynącej
od fortecy ku pałcowi.

Z brzegu wyraźnie była widoczna ta łódź i,
na niej, w jasno zielonym, z srebrnym haftem,
mupdurze i w żółtej kamizeli, wysoki młody czło-
wiek. Kapelusze zdjął i dłońmi zakrywał przed
słońcem oczy. Długie, niezafryzowane w harcapy
włosy rozrzucone były na ramionach.

— Wasza wysokość, — wyrzekł spotykając
Joana Antonowicza, komisarz Zycharew: gdzież to
pana uciekł? ach, ach, czyż można? Car czeka na
pana u siebie; oto powóz.

Uciekinier z przerażeniem spojrział na komi-
sarza. Twarz ostatniego była tak uprzejma, tak ła-
godna.

— Jaki? nie oszukaństwo?

— Dlaczegoż by, przestanciel!

— A gdzie car! och kręci mi się w głowie...

— Jego carska mość w willi, w Ranbowie
proszę bardzo, mości panie.

— Jaki, jeszcze nie przyjechał?... Lecz czy
ty na pewno wiesz?... gdzie Ranbow?...
— Niedaleko; duchem dojedziemy.

Uciekinier z niedowierzaniem wsiadł do po-
wozu. Była chwila gotów był krzyknąć, opierać
się. Lecz wokoło zebrano się tylu przechoźniów.
Wszyscy z ciekawością patrzyli na niego, szepta-
li z sobą. Zmieształ się, niezręcznie postawił nogę
na stopniu powozu i usiadł, wyszeptawszy: „Ach,
no, już prędzej; nie spóźnić by się“..

Powóz potoczył się.

— Kogo to powieźli? — spytał koniucha Gu-
dowicza wysoki, barczysty jegomość w płócien-
nym płaszczu i ze zwitkiem papierów, przecho-
dzący obok pałacu ze spaceru po Letnim ogrodzie.

— A kto go tam wiel... uciekał widać, warjat, z pod straży... więc go i złapali...

— Kto złapał?

— Major gwardji Życharew.

Łomonosow pobiegł na bulwar. Lecz powozu nie było już widać... Zniknął za bastjonami admiralicji. Oto wyskoczył na most, wjechał na wyspę Wasiljewską, ominął szlachecki korpus kadetów i mknął z powrotem na Kołtowski, na wyspy.

VIII

Mucha na rogach wołu.

Rankiem 26 czerwca, drogą z Oranienbaumu do Perterhofu, jechała wybrzeżem morskiem, niewielką z dworskim, w żółtej liberji, lokajem i herbami, czerwona karetka. Siedziała w niej niewysokiego wzrostu, z ruchliwą, ożywioną twarzą, cokolwiek podniecona, nerwowa osoba lat około dziesiętnastu. Z delikatną, cienką szyją i wypukłą piękną piersią, na którą spadał lok wysoko u fryzowanych, upudrowanych włosów, pociągała blaskiem wielkich i mądrych oczu, uprzejmie i dumnie patrzących z pod szerokiego, białego czoła.

Była to siostra hrabiny Woroncovej, księżna Katarzyna Romanowna Daszkowa. Tego ranka spotkała się u siostry z carem, i myśli jej nie opuszczały słowa, posłyszane od niego.

Piotr Fiedorowicz był jej chrzestnym ojcem i, posadziwszy ją obok siebie, naraz rzekł do niej ze zwykłą swą szczerością:

— Ach, zdrajczył! Wiem, wiem o pani... łaski proszę!..

— Cóż pan wie, carze? — zarumieniwszy się spytała Daszkowa.

— Wszystko wiem, wszystko. O! niech pani się nie zrywa... Wszystkie pani a laise z moimi przeciwnikami są mi wiadome. Pani mieszka więcej w mieście, unika dworu naszych spokojnych przyjemności, zabaw... A propos, niech pani powie: czemu panią banda niektórych ludzi oczarowała? czemu?... Że na niedźwiedzia z oszczerstwem chodzą, i całe noce grywają w karty i hulają? Tylko i słyhać o bachanaljach awanturach, wyścigach z pieśniami na rysakach... Próżniaki, wściekli zerwi-głowy i atleci! Wasi pozostali partyzanci — zrujnowane szlachetki drobni oficerkowie, marni na służbie i mieszkający w zakątkach. Co? widzi pani? Wszystko wiem i na wszystko tymczasem patrzę przez palce... Czy to są te ideały, które pani z moją żoną w D'Alambencie, Diderocie Rousseani wyczytała?

— Oszczerstwo, wasza carka mości! wybaczy pan, nie mogę słuhać takiej mowy, pójdę! — zakrywając twarz rękoma, rzekła Daszkowa.

— Proch, o! proszek! już uciekac? — wyrzekł, znów ją sadzając, Piotr Fiedorowicz: oddanie pani mojej żonie zrozumiałe jest i godne szacunku... Saperlot!.. Kogo ona nie oczaruje! Lecz pani, Kataszyno Romanowno, ma siostrę, proste i dobre stworzenie. Niech pani ceni ją więcej... Ja, zgodnie z zaletami, oczekuje inny, godny zazdrości n'engagement... Dowie się o tem pani później.

Car zamilkł na chwilę.

— Mein holdes Kind! — ciągnął dalej: weź pod uwagę jedną moją przychylną radę.. Ja vonus dirai tout franchement... Nie zaszkodziłoby pani pamiętać, że przyjaźń uczciwych prostaków i nawet kołpaków, jak siostra pani... a i pani najniższy

sluga... jest znacznie bezpieczniejszą, niż wielkich mędrków, którzy z pomarańczy wycisną sok, a skórkę rzucą pod stół.

— Lecz o co idzie? — spytała Daszkowa.

— O wszystko wiem, wszystko, powtórzył Piotr Fiedorowicz: eh ehl radzę, żeby potem nie potrzeba było pokutować...

„Co on się dowiedział? i czy zdażę ją uprzedzić, — myślała Daszkowa, jadąc przez park do Peterhofu i niecierpliwie wysuwając głada, okrytą czerwonymi plamami twarz to z jednego okna karety, to z drugiego: widocznie mu znów donieśli, lecz co i na kogo? Wkótce dziesiąta godzina. Caryca napewno już się ubrała, lub konczy toaletę. Czy wszystkie moje zawiadomienia, notatki dochodzą do niej? Nasi wrogowie nie drzemą, częste spotkania są niebezpieczne. Lecz teraz, po drodze, a nuż zdażę“...

Czerwona z herbami karetą zaczęła wspinać się od wybrzeża morskiego na lesiste wzgórze. Powiało smolnym chłodem.

Daszkowa wysiadła z powozu, otworzyła żółtą z frędzlami parasolkę i poszła w cieniu rozłożystych, gestych sosen i lip. Z pagórka widniały najbliższe pałacyki, oficyny i dachy starożytnego pałacu peterhofskiego.

„I wciąż ja, jedna ja! — myślała Daszkowa, przymrużonemi, krótko widzącemi oczyma odszukując w zieleni dolnego ogrodu znany dach z dachówki i okna starego, piotrowskiego Mon-plaisiru, w którym teraz mieszkała Katarzyna: sirasza, że przyjaciele są nadmiernie zaniepokojeni, nie wytrzymają i wywołają wybuch. Głupstwo, wszystko spokojne. Panin obstaże przy legalnem przejściu do regencji i szwedzkiej formy mądów. Mało z tego rozumiem! Lecz czas upływa.. Co jest

z Katarzyną? Ona jakby się usuwała. Grzebie w swoich książkach, nieśmiała, jak dziecię, idealistka, jak pensjonarka, i praktyk życiowych ani na włos nie zna.. Piemotczyk Odar, jej sekretarz, wciąż się krząta, w pośpiechu.. Wielkie szykują się wypadki. I czwżby mnie, słabej i skromnej, sądzonem było zająć taką rolę w historii? Czżbyż moje nazwisko?.. Niechce się wierzyć, zupełnie jak we śnie“...

Daszkowa zatrzymała się, zwinęła parasolkę, wsiadła do karety i pojechała do pałacu peterhofskiego.

— Niezdecydowana! — myślała o Katarzynie, schodząc przez park do dolnego ogrodu: zaproszona na dziś obiad do Oranienbaumu jutro i a święto do Gostilic. A tam groza, coś zamysłają stanowczego. Lecz gdzież jej powóz? Nie widać. Czyżbym się z nią minęła?..

Oddzielny, niewysoki pawilon Monplaisir frontowymi pokojami wychodził na odnogę morską, wewnątrznymi dochodził do brzoź i lip dolnego ogrodu.

W przedpokoju pawilonu, na wypolerowanej przez lata, rzeźbionej skrzyni dębowej, ze złożonemi rękoma, siedział i, przy plusku fontain okolicznych, drzemł mistrz garderoby carycy, Wasilij Grygorjewicz Szkuryn; w następnym pokoju, kwaciarni, sąsiadującej z gabinetem carycy, przy otwartem na odnogę morską oknie, w czepcu i z olbrzymimi srebrnymi okularami na nosie, w starym skórzanym fotelu, robiła żółtą jedwabną pończochę, ulubiona kamer-frau carycy, Katarzyna Iwanowna Szargorodzkaia. Cisza w pokojach, na podwórzu i w ogrodzie i na nią silnie działała.

Szargorodzkaja coraz też kiwała się, spuszczała oczka, zicwała, zegnała usta i znów ziewając i wzdychając, zabierała się do robienia pończochy. Od czasu do czasu, przez drzemkę, wyglądała przez okno, z którego skroś wonną zielen drzew widniały marmurowe posągi na ganku, zagle dalekich statków i zalane słońcem, cicho falujące morze. Kiwnąwszy czepkiem jeszcze raz — drugi, Szargorodzkaja pomyślała:

„Tak, nie prędko jeszcze... oh, dawno wybiła dziewiąta... kiedy to zawoła?“ — specjalnie słodko i szeroko ziewnęła i ulokowała się wygodnie w fotelu. Ręce z pończochą upadły na fartuch. Głowa w czepcu pochylila się na ramię. Zasnęła.

Niewielki wesoly pokoiik, za kwiaciarnią, służył carycy za gabinet i jednocześnie za sypialnię. Wysokie brzozy i lipy za oknem nie przeszkadzały tu wtargnięciu szczodrych promieni słonecznych.

Wszystko tu było przytulne, domowe i czyste. Na oknach kwitnące róże, laki i heliotropy. Za parawanem — pod białą kołdrą — łózko. Przy wieszaku stolik; na nim pod zielonym ekranem, dwie woskowe, bardzo opalone świece. Przy piecu na watowanym jedwabnym materacyku dwa miniaturowe pieski, podarunek jakiejś angielskiej lady. Z drugiej strony parawanu kilka foteli, szafka, sofa, tremo i biurko. Na fotelach, otomanie i sofie białe, wykrochmalone, zupełnie jakby dopiero co wyprane i wyprasowane pokrowce. Na wyginanym z szufladami, stole, kałamarz, obok — kupa książek i papierów. Między nimi tomy Boileau, Montesquieu, Bela i Woltera. Między sofą a parawanem drzwi do garderoby, będącej pod nadzorem drugiej służebnej carycy, młodszej, kamer-jungfrau, Mawry Sawiszny Pierekusichinowej. Wszystko na miejscu, nigdzie ani okruszyny, ani pyłku.

Przy drzwiach do garderoby — taboret: na nim wanienska, na podłodze dzbanek. W waniencie coś pierze, z zawiniętymi po łokcie rękawami, piękna kobieta lat trzydziestu dwu — trzech, średniego wzrostu, pełna, jasnowłosa.

Szary kot Bagadur leniwie rozwaliwszy się na sofie, porusza puszystym ogonem i słodko mruczy oczy na promień słoneczny, igrający na podłodze, meblach i kwiatach.

Na dworze rozległ się odgłos kół.

„Czyżby zajechali? — pomyślał mistrz garderoby Szkuryn, z powątpiewaniem patrząc na zegar ścienny z kukułką. „Nie, widocznie, obcy,“ — rzekł do siebie, wstając.

Szybko weszła Daszkowa.

— Co caryca? — spytała: jedzie? ubrała się?

— Pewnie ubrali się.. proszę bardzo! — odpowiedział, otwierając drzwi do następnego pokoju, Szkuryn.

Daszkowa weszła do jadalni. Ze zdziwieniem podniósłszy brwi na widok śpiącej Szargorodzkiej, minęła ją, zastukała do drzwi gabinetu.

— Herein! — dało się słyszeć z tamtąd.

Daszkowa przekroczyła próg.

— Co to? wykrzyknęła, klasnąwszy w ręce.

— Jak to co, mój Boże? Pioreę swoje mankiety i kołnierzyki. — odpowiedziała, odwracając się do niej caryca.

Katarzyna była w porannym, białym, pikowym szlafrocuku i w koronkowym prościutkim czepczku, na blond, niewysoko uczesanych włosach. Dwa stojące pukielki były wysunięte przy malutkich, bez kolczyków, uszach. Błękitne, uśmiechające się oczy patrzyły uprzejmie i wesoło. Rumiana pełna, z prostym nosem i okrągłym, mocnym podbródkiem, twarz tchnęła świeżością

i zdrowiem. Aksamitne, niebieskie pantofelki, na wysokich obcasach, obciągały krótką i tęgą, stopę. Głos Katarzyna był gruby. Pragnąc go zmiekczyć, mówiła przeciągle, z wyraźnym akcentem niemieckim i cokolwiek śpiewnie.

— Takie zajęcia, kiedy dorga jest każda godzina, każda chwila? — wyrzekła Daszkowa.

— Tak u irnie zaprowadzone; tak, mości pani, darujcie, i robie! — odpowiedziała flegmatycznie Katarzyna starannie wzięmając i zaczerwienionemi, zreżnemi palcami strzepując wyprawne, przyczem ze znużenia krople potu wystąpiły jej nad górną wargą.

„Oto ona, patr cie! — pomyślała Daszkowa: zamierza carstwować, a zajęta jest praniem kołnierzyczków“...

— Lecz do tego, wybacz pani, są inne ręce, — rzekł gość.

— Te-te-te, śpiewajcie mi! — odpowiedziała Katarzyna: w tym dziale lubię radzić sobie sama. Ile mam czasu wolnego... A prop s wczoraj doczytałam „Anuales ecclésiastiques“ Baroniusa, wierszem przetłomaczyłam odę Woltera do wolności.. A czy zna pani, mój przyjacielu, jego „Peusées sur l'administration?“ jakie cudnel.. La liberé consiste à ne dé pendre que des bois.. Oto rozum oto myśli i styl..

— Lecz czyż książkami jest teraz czas się zajmować? — zawołała, wruszając ramionami Daszkowa: jesteście na wulkanie, czy pani słyszy, na beczce prochu. Chwila — i nastąpi wybuch!

Katarzyna spojrzała na nią.

— Worek niezdecydowany, Panin, zwleka, — ciągnęła dalej Daszkowa: ten chłop — hetman powtarza przysłowia chochłackie, — noja chata z brzegu, a powiedz jak tam? — hop, kiedy prze-

skoczysz... A car coś się dowiedział, napomyka, nie na żarty grozi... Daruje pani, pani zwłóczy, zwłóczył!

W oczach Daszkowej zakręciły się łzy.

Katarzyna pomyślała: „Dzięki Bogu, nic pewnego nie wie!“ — łaskawie wzięła ją za rękę i posadziła obok siebie. Przypomniały się jej słowa męża do Panina, przy trumnie zmarłej Elżbiety: „obetnę ci uszy, jak wstąpię na tron, zmuszę cię, ażebyś lepiej słuchał“... Panin nie mógł zwlekać, długo czekać.

— Pani ma częściowo słuszność, — rzekła: mąż mógł się rzeczywiście dowiedzieć, nie mało jest błędów z naszej strony. Ile gadaniny, pustych rozmów, zupełnie jakby orderu się spodziewali za troski i gadanie...

— Pani nie obdarza nas swemi wskazówkami, — odpowiedziała Daszkowa: ach, ile przepuszczono! w grudniu, w tą noc, kiedy pani się przyznałam, prosiłam pania o polecenia, pełnomocnictwa. Pani odpowiedziała, trzeba mieć nadzieję w Opatrzności.

— To samo powiem pani i teraz.

— Lecz przecież sprawa nie czeka! z uczuciem szczerzej rozpaczki, rzekła Daszkowa: nie o sobie mówię, — o pani.

— Tak droga, — odpowiedziała Katarzyna: nie do pozazdroszczenia jest dola waszej biednej przyjaciółki. Ja, ruska w duszy, szczerze pokochałam moją drugą ojczyznę i — żeby się nie wiem co stało, bez walki nie ustąpię tej miłości.. Jak car Iwan, nie będę myśleć o ucieczce do angiolków, pozostanę tu...

— Lecz należy działać, nie mówić! — prze-rwała Daszkowa; inaczej, przysięgam, będzie późno...

— Działać, lecz cichożnie, — wyrzekła Katarzyna; ot co, niech pani się tylko nie gniewa, dla dobra sprawy tylko mówię... Piętnaście kartek przez konnych i pieszych posłańców, od kogóż to otrzymałam w tym tygodniu? I na każdą pani kartkę odpowiadaj, — i odpowiadałam.. Lecz, jak to, mości pani, gołabeczko, według pani, nie kłopot?..

Katarzyna uściśnęła Daszkową i mocno ją pocałowała.

— Nie, wola pani, nie! co pani chce — nie mogę! — rozplakawszy się wyrzekła Daszkowa; pani niezdecydowanie, pani pogład na sprawę, zgubią nas wszystkich i przedewszystkiem panią samą..

Katarzyna nie zaprzeczała. W oczach jej również ukazały się łzy. Jedną rękę złożyła na rękę gościa, — drugą zaś obejmowała Daszkową i kilka minut obie kochające się, związane niedawną przyjaźnią kobiety milczały. Twarze ich były zwilżone szczeremi łzami.

— Wybacz pani, ma bonne et chère amie, — rzekła, całując Daszkową, Katarzyna: nieszczęście jest moim udziałem; pani mnie żałuje, lecz nie zgadzamy się w poglądach. Pani czeka pomocy od przyjaciół, — ja uważam, że ona może przyjść tylko z góry.

— I pani gotowa uleść losowi, znieść zamknięcie gwałtem w klasztorze, lub — co gorsze od tego — pozwolić holsztyńczykom uwięzić siebie, zamiast księcia Joana, w Szlisselburgu.

— No, do tego, przypuszczam, zapewne nie dojdzie! — odpowiedziała, błysnąwszy niebieskimi oczyma, Katarzyna.

Daszkowa wstała. Ostatnie słowa carycy ostatecznie ją wzburzyły. Oczy jej zmętniały. Twarz okryła się plamami. Zbiałała, gniewne

usta brzydko usiłowały coś powiedzieć. Katarzyna spojrzała na gościa — i zrobiło się jej podwójnie żal, i jednocześnie niewiadomo dlaczego wesoło. Okrągły podbródek jej drgnął. „Tchórz! — pomyślała: oto tchórz; kocha, a jaka marna... Jakie porównanie z tymi! — rzymianie, orły“!..

— No, niech pani powie, co jeszcze słyszała? — spytała Katarzyna: czas mi już na obiad.

Daszkowa powtórzyła o swej bytności w Oranienbaumie i o rozmowie z carem. Wybiła dziesięć godzin. Weszła Perekusichina, za nią Szargorodzka. Wniosły paradną suknię żałobną carycy. Przed ganek, z łoskotem, podjechała ciężka, poszostna karetka.

— Cóż, w końcu, robisz? — spytała po francuzku Daszkowa, kiedy Katarzyna z nią wyszła, w czarnym krepowym kapeluszu, na ganek.

— Cierpliwości, droga przyjaciółko, cierpliwość i ostrożność, — odpowiedziała półgłosem, mocno ściskając jej rękę, Katarzyna: pani — Katia, i ja — Katia: będziemy obydwie Katie mądrymi.

„No, mości pani, daruj już, — pomyślała Daszkowa, głębokim, według wszelkich przepisów reweransem, kłaniając się przed ganekiem odjeżdżającej carycy: przyjdzie czas, — nie będziemy ceremonjować się z panią“..

„Mucha na norach wołu, — odpowiadając na ukłon księżnej Daszkowej, pomyślała Katarzyna: biega, kłopotczy się.. i wszystko, mój Boże, ażeby tylko powiedzieć, i myśmy rolę tą orali.. Myśli, że ją dopuszczono do tajemnicy, że przyjęto ją do spisku.. nie jest ona w spisku, a w gadaniu.. Nie, — dodała do siebie Katarzyna: niemam słusności, jam — esprit gauché! nieznośna namiętność do satyry.. Księżna jest oddana, zapalczywa i typowo kobieca osoba, i wiele ma, z mężem, przyjaciół..

Oddanie, zapall. Nie w nich jednych siła — trzeba przytem i coś innego“...

Myśli Katarzyny pobiegły daleko, — do tych dni, kiedy, zawezwana przez carycę Elżbietę, po raz pierwszy wjechała, przez Rygę i Psków, do Rosji i przypatrywała się jej pustym równinom, samotnym wioskom i niekończącym się gęstym lasom, i kiedy marzyła, że kiedyś panować będzie nad tym biednym, obszernym kraju.

Kareta carycy galopem minęła ostatnią prześiekę parku peterfopskiego. Stały się widoczne nad odnogą morską wysoki ganek i okna pałacu oranienbaumskiego.

Żółte, niebieskie i białe mundury holsztyńskie migały już tu i tam, za ażurową kratą żelazną. Pędzili kurjerzy. Ojjeżdżały powozy przybywających ze stolicy gości.

IX.

Aresztowanie Passeka.

Obiad w Oranienbaumie odznaczał się specjalną wspaniałością

Stół, na pięćdziesiąt nakryć, był zastawiony w sali japońskiej. Usługiwali mamelucy w żółtych kurtkach i czerwonych turbanach i laufry ze strusimi piórami na czapkach. Caryca siedziała obok Minicha. Car w czasie obiadu był bardzo nieusposobiony. Od czasu do czasu szentął z Aleksandrem Szuwałowym i Gidowiczem, jednocześnie pytając spoglądał na carycę. Pod wieczór na maskaradzie, w teatrze opery, widocznie rozweselił się. Na słowa Woroncovej: „spójrzyj, carze, pańska małżonka bez ekaterynńskiej gwiazdy; czy nie dlatego, że ja, dzięki waszej łasce,

otrzymałam ten order?“—odpowiedział: „ba! głupstwo. Romanowna! pytałem.. niechcący złamała gwiazdę i oddała do reparaacji Pozierowi.

Następnego dnia, 27 czerwca, w czwartek, Piotr i Katarzyna spotkali się znów na wspaniałej uroczystości, wyprawionej dla uczczenia wyśkiej pary przez hrabiego Aleksę Grygorjewicza Razumowskiego i jego brata—hetmana, w Costilicach.

Były tu najpierwsze piękności ze zwykłej dworskiej świty cara. Wszyscy byli weseli, jeździli z muzyką po jeziorze. Toastom towarzyszyło bicie z dział. Obydwaj Razumowscy, szczególnie ulubieniec cara — hetman, na wyścigi starali się dogodzić carowi. — „Pocałunek Judasza“ — myśleli niektorzy ze znających tajemnicę, patrząc na nich.

— Jutro, spodziewam się jeść obiad u pani i o wszystkim, bez szkodliwych iluzji, porozmawiać, — rzekł car do carycy, odjeżdżając wieczorem do Oranienbaumu: a moje imienniny, pojutrze, spędzimy, nieprawdaż, u mnie?

Caryca, w milczeniu, wciągnęła za sobą po stopniach powozu welon żałobny. Drzwiczki zatrzasnęły się. Kareta pomknęła do Peterhofu. Więcej w życiu Piotr z Katarzyna nie widzieli się.

„Boże moj, Boże! — myślała Katarzyna, wstrzymując łzy i przysłuchując się tententowi koni: co mnie czeka? Rozwiązanie bliźkie. Nikt i nie podejrzewa, że Panin i hetman są gotowi... Cierpieć czy też uprzedzić cios? Wolność — i więzienie, korona i klasztor?.. Nie poddam się, jak regentka Anna... Najlepsze rozumy zawezwę do tronu, będą rządzić łgodnością, głosu wszelkiej prawdy słuchać. Odnówię, wskrzeszą ten zapomniany, biedny i jednocześnie bogaty, mnie jednej zrozu-

miały kraj. Stanę się matką ojczyzny... Umrę lub będę panować“...

Powróciwszy do Peterhofu, Katarzyna zwolniła służbę, zamknęła drzwi i otworzyła okno. Morze cicho pluskało pod Mon-plaisirem.

„Daszkował przyjaciółko moja! — myślała caryca: niema ciebie obok mnie w tej chwili, a tyś mi teraz tak potrzebna... Cóż, jeżeli ty masz słuszość, żeśmy się spóźnili i niema już powrotu?“.

Katarzyna poszukała w szufladach, odłożyła i spaliła kilka papierów, zawinęła do łokci rękawy bluzy i zaczęła w niepokoju chodzić tam i z powrotem po pokoju. Najmniejszy odgłos nad odnogą morską i w ogrodzie przejmował ją dreszczem i gorączką...

Piotr Fiedorowicz później wyjechał z Gostilic. Również był niespokojny i podniecony.

„Poczekaj, mameczko-gołąbko! — myślał, przyglądając się okrytym mrokiem polom: nie długo czekać... Pojutrze, w sobotę, moje święto. Dzień Piotra i Pawła nadługo zostanie pamiętnym. Wszystko gotowe, — i Lizawietta Romanowna się zgadza, i księżę Joan pod ręką... Hetman obiecuje zupełne powodzenie. Pokażę księcia ludowi, ogłoszę następcą i ożenię się.. Żonę i syna zamknę w Szlisselburgu, urządę tymczasową regencję z księcia Nikity Trubeckawo, Gudowicza i wuja — księcia George'a... i z armją na wyprawę! Wszystko gotowe... Oni i nie spodziewają się“.

„Jaka cisza, jaka!“ — rzekł do siebie Piotr Fiedorowicz, podjeżdżając do pałacu w Oranienbaumie: spokój i nie podejrzewa, co mu się szykuje.. Powietrze nie zakolysze się, wokoło ani dźwięku... O! ile wielkości i ile mocy w duszy bacznego, ostrożnego i zdecydowanego człowieka. Panina poszła do Szwecji — zdławić tamtejszą

samowolę, hetmanem zrobię Gudowicza... Lecz główne, główne.. Świat zagrzmi od nieoczekiwanej wieści, i nowa wielka stronica dodaną będzie do historii Trzeciego Piotra“...

Na pół godziny przed powrotem cara ze zdradzieckiej uczy, ulubiony jego murzyn, Narcyz, przyszedł do jego gabinetu i położył na biurku list, przysłany przez tajemnego gońca od byłego carskiego fryzjera Bressana. Na liście był po francusku napis: „bardzo sekretne i pilne“. Było to zawiadomienie o spisku.

Piotr Fiedorowicz, poszukując cygar, zobaczył obok nich kopertę, — chciał ją otworzyć, lecz czując zmęczenie, w roztargnieniu pokręcił w ręku, rzucił na etażerkę na kupę innych, przygotowanych na rano papierów, przeszedł do sypialni, zaczął rozbiierać się i zamyslił się.

— Koncert natury — koncert namiętności duszy,“ — powtórzył sobie słowa Sterna, z książki, czytanej w przeddzień. Ciągnęło go z pokoju na powietrze.

Car zdjął ze ściany ulubione skrzypce, podarunek wirtuoza Tastini, wyszedł z niemi na balkon — i długo, w ciszy, otulającej odnogę morską, pałac i ogród, rozlegały się dźwięki czułych cava-tin i pastoreli. Piotr Fiedorowicz grał, rozmyślając: „Wszystko idzie znakomicie... I jaka zupełna, poetyczna cisza!.. Tak, świat zdumieje się nową stronicą w historii Trzeciego Piotra..“

Było po północy, kiedy powrócił do sypialni. „Wołkow bada francuską chartę, radzi wprowadzić w Rosji stany... Każdy stanie się wolnym... Każdy będzie szczęśliwy, każdy będzie żyć pod swoim drzewem fgowem!“ — Z temi myślami odwrócił się do ściany, posłyszawszy brzęk komara zaczął przysłuchiwać się jego pieśni i lotowi i zasnął.

Oczekiwania cara nie spełniły się. Nie za dzień i nie w sobotę, a tegoż samego dwudziestego siódmego czerwca, w czwartek, zaszedł w Petersburgu ważny, choć, widocznie, marny wypadek.

Preobrażeński grenadier, posłyszawszy gaudanie, że carycy groi niebezpieczeństwo od holenderszczyków, zaszedł do swego kapitana, Piotra Bogdanowicza Passeka, dowiedzieć się, czy prawdę mówią wśród lu'u. Passek odpowiedział, żeby nie kłamali, i że caryca jest bezpieczna. Grenadier zdecydował patrzeć bacznie; w nocy nie zamknął oczu, łamał sobie głowę, a potem zaszedł do majora przeobrażenców Piotra Pirowsicza Wojejkowa.

— Wasza szlachetności, — rzekł: okażcie łaską boską. Żeby potem za nich nie odpowiadać.

— Za kogo?

— Za holenderszczyków.

— A co?

— A czy wszystko jest pomyślnie co do matczki — carycy?

Wojejkow nadawił uszu.

— Głupstwa, — odpowiedział.

— Pytałem w tajemnicy ich szlachetność, Piotra Bogdanowicza, — rzekł grenadier.

— No i cóż on? — spytał Wojejkow.

— Powtórz, mówi żołnierstwu, żeby do czasu napróżno nie strzępili ozorów. Trzeba będzie — ogłoszą przez kapralstwo.

Wojejkowa, jakby warem, oblały te słowa. Zrozumiał, że sprawa niedobra, zatrzymał grenadiera i aresztował Passeka.

„Ot i ręczył za ostrożność“, — pomyślał Łomonosow, dowiedziawszy się o tem i przypominając spotkanie z Passekiem u Fonwizina.

Stronnicy Katarzyny stracili głowy. W groźnej

ciszy przed nimi jakby wzniosła się pierwsza, ostrzegawcza rakietka.

Panin dowiedział się o tem od Orłowa, grając wieczorem u Daszkowej w karty. Daszkowa poradziła Orłowowi natychmiast pędzić do Peterhofu i o wszystkim zawiadomić Katarzynę, jeszcze przed świtem. Panin posłał wskazówki hetmanowi Razumowskiemu, komendantowi pułku i zmajłowskiego. Daszkowa wdziała męski płaszcz i, nie ufając Orłowowi, poszła dowiedzieć się szczegółów do Rosławlewa. Wszyscy byli w oczekiwaniu czegoś niezwykłego, fatalnego.

Mirowicz drugi tydzień grał w karty u Perfiljewa. Gra odbywała się w domu generała Wozyńskiego, byłego lejbstangreta Elżbiety Piotrowny, na Newskim, przy Gościńnym dworze Mirowiczowi wiodło się, lecz stracił zupełnie siły, stał się rozdrażnionym, zaczepnym i ordynarnym.

Wieczorem dwudziestego siódmego czerwca, kiedy partnerzy Perfiljewa siedzieli przy stole karcianym, do nich, po pewnej nieobecności, znów przybył Grygorij Orłow. Wysypał na stół stos złota. Gra zaczęła się z nową siłą. Roznosili wino, napoje chłodzące.

Była godzina druga w nocy. Mirowicza wywołano na ganek. Jakiś chłop podał mu kartkę. Był to list Pczółkinej. Na dworze świeciło. Mirowicz otworzył i przeczytał co następuje:

— „Co pan robi? — pisała Pczółkina: zapomniał pan o wszystkich i wszystkim. Dowiedziawszy się, gdzie się pan ukrywa od tyłu dni, śpieszę zawiadomić o tem, co dowiedziałam się od przybyłego do nas w poszukiwaniu pana Uszako-

wa. Miasto w niebezpieczeństwie. Każdej chwili oczekują wybuchu Pan prosił o oddanie mi usługi. Oto ona. Passek aresztowany; wrogowie cara obawiają się jego zeznań i gotowi zacząć działać. Niech pan jedzie do Uszakowa. Wszystko panu objaśni”.

— Podły jestem, nikczemny! — z wściekłością rzekł do siebie Mirowicz. Wybiegł do przedpokoju, porwał kapelusz i szpadę, zawołał dorożkarza i pojechał do Smolnego, gdzie w zaułku mieszkał Uszakow.

— „Oto ono, zdecydowanie, dług sumienia! — rozmyślał: wszystko zapomniałem, wszystko. Miałem możność uprzedzić cara, uratować go, i to zaniedbałem. Chrystus wielki i jedyny, sława naszego zakonu, i jam cię zdradził! Wiele się myślało i wszystko obalone. Znow jestem zgubioną istotą, podłem i dzikiem stworzeniem. A zrównać się myślałem według słów braci masonów, z Mojżeszem, z Hiramem — Apifem... Zdrajca, karciarz, rozrzutnik!..

Zgrzytając zębami, Mirowicz zaciskał pięści i nienawistnie śmiał się z siebie. — „Kto jest wolnym mularzem? — zapytywał siebie z drżeniem oburzenia: człowiek, umiejący powstrzymać swe porywy, poddawać wolę swą rozumowi. Do świątyni prawdy wchodzić tylko najmądrzejsi; duma i swawola wypędzają się ztamtąd. A ja nie spełniłem obowiązku w takim czasie, siedziałem przy stole karcianym, słuchałem wycia pieśni pijackich, służyłem z takimi trzpiotami Bachusowi! Komuż zapowiedziane jest miłosierdzie? — dla nieszcześliwych... Współczucie? — dla winowajców... Wybacz mi, panie, wybacz słabemu uczniowi, symbol którego — nieociosany, prosty kamień. Daj mi odkupić

moje przewiny... zasłużyć... Przebaczenie upadku — w planie twojej górnej miłości...

W mieszkaniu Uszakowa Mirowiczowi powiedziano, że Apollon Iljicz wieczorem najął powóz i wyjechał za miasto.

„Nowy smutek — pomyślał Mirowicz: od kogoż się teraz dowiedzieć?”

Pojechał z powrotem, i na Litejnoj przypomniał sobie Bressana. Dom kamerhera fryzjera był mu po drodze, na Fontance, przy moście Simeonowskim.

— „Chyba spróbować do niego? — pomyślał Mirowicz: jest on przyjacielem cara, znał mnie w korpusie”.

Okno górnego piętra domu Bressana było oświetlone, drzwi na ulicę — otwarte. Zwolniwszy dorożkarza, Mirowicz wszedł po wązkich drewnianych schodach.

Zaniepokojony i do ostateczności roztargniony francuz, z początku nie poznał gościa, potem przyjął go ze łzami i rozpostartymi ramionami.

— Mon Dieu, quelle misère! jaki smutek! — krzyczał rozbitym głosem, bijąc się w pierś, nieuczesany, w szlafroku i pantoflach na bosych nogach starzec: biedny, nieszczęsny car! Oh il est perdu! Pisałem i posłałem, lecz widocznie mego raportu nie czytał... pół dnia — i ztamtąd ani słychu.

Bressan szczegółowo opowiedział Mirowiczowi o wypadku z Passekiem, o zebraniach i przygotowaniach stronników Katarzyny, Panina, hetmana, oficerów izmajłowskich i preobrażeńskich.

— Powóz i konie! — wykrzyknął, prostując się, Mirowicz.

Twarz jego naraz rozjaśniła się zupełnie jakby odkrył coś niezwykle — wielkiego, tajemnicę światową.

— Niech pan pożycz swego konia, — powtórzył: nie wszystko jeszcze stracone. Momentalnie dojadę i, choć głowę z karku, wszystko powtórzę, uprzęde cara.

— Niema koni, wszystkie rozesłałem, — żalostliwie odpowiedział Bressan: do comte Szowałow, do prince Trubeckoj, pozostał tylko jeden posyłkowy woziwoda...

— Dawaj woziwodę, lecz nuż — niech diabli wezmą! vite, vite...

Lecz i koń posyłkowy okazał się nieobecnym, na targu. W końcu czwartej godziny Mirowiczowi podali, nareszcie, konia. Napisał coś na papierze, schował go na piersi, uściśnął rękę Bressanowi, skoczył na siodło i pomknął wzdłuż Fontanki.

„Nie wiem, jak i co, — myślał: lecz wierzę, że zrobię wszystkim na przekór, wszystkim“... — Przy moście Kalinkina, „gdzie mieszkała Filatowna, Mirowicz wstrzymał konia, minął rogatkę stępa. Zupełna cisza panowała w okolicy. Przedmieście, budząc się, milczało jeszcze. Ani konnych ani pieszych. Z lewej strony w Izmajłowskim pułku, zaturkotała czyjaś spóźniona karetka; lecz i ta wkrótce ucichła. Z pobliskich sadów i ogrodów wiało zapachem zroszonych liści. Gdzieś nad dachem wznosił się wczesny dymek. Mirowicz minął przedmieście i galopem pomknął drogą do Oranienbaumu, myśląc sobie, — „Hetman zdrajca, nie dziw jeszcze, — lubieżnik; lecz Panin... widocznie, im więcej idealizmu. — tym łapa bardziej chciwa“...

Lecz tegoż samego rana i przed wyjazdem Mirowicza, dzięki Daszkowej, zdarzył się nieprzewidziany wypadek, któremu dobroduszny kronikarz tych czasów dał skromną i trafną nazwę: „postanowienie pana Orłowa“.

Do Peterhofu, daleko przed świtem, mknął dzielna własną trójką, Aleksy Orłow.

„Postanowienie pana Orłowa“.

Był początek piątej godziny rano dwudziestego ósmego czerwca. Zupełna cisza otulała peterhofski ogród, pałac i park. Słońce wzeszło, choć mgła od odnogi morskiej stała się po nizinach ogrodowych, gdzie nie gdzie, zupełnie jak obłokiem dymu, ogarniając tarasy i drogi górnego ogrodu.

Na skraj parku podjechała spieniona trójka. Z wozu wstał przysłany przez Daszkową olbrzymiego wzrostu, w preobrazenskim mundurze, oficer. Zwolniwszy woźnicę, przeszedł do straży leśnej i posłał stróża na pobliski folwark. Z ostatniego wkrótce nadjechał powóz dwuosobowy, zaprzężony w cztery konie.

Pozostawiając powóz przy ogrodzeniu parku, oficer zeszedł do Monplaisire'u, popatrzał na otaczające go aleje, na okna i ganki pogrążonego jeszcze w drzewce starego pawilonu, podszedł do jego galerji i nachylił się ku oknu. Z pod zapuszczonej firanki nie można było dojrzeć wnętrza pokoju. Było to mieszkanie kamer-frau carycy, Szargorodzkiej. Oficer zastukał w okno, lecz widząc, że go słyszą, wszedł przez służbowe schody do sieni i na niewielki nawpół oświetlony korytarz. Drzwi na prawo prowadziły do mieszkania mistrza garderoby Szkuryna; nalewo do pokoju Szargorodzkiej przyległych do własnych apartamentów carycy. W pawilonie, widocznie, wszyscy jeszcze spali.

Oficer wszedł do pokoju na lewo.

Piesek Szargorodzkiej zaszczekał i obudził swoją panią.

— Czy to pan, Aleksy Grygorjicz? — spytała,

z przerażeniem wyglądając z sypialni, Katarzyna Iwanowna. Oficer wyjaśnił powód swej nieoczekiwanej wizyty. Szargorodzka momentalnie pobiegła do sypialni carycy.

— O co idzie? — spytała gościa przez drzwi Katarzyna.

— Nie zwlekajcie, wasza carska mości, ani chwilil — odpowiedział Orłow: trzeba się zdecydować, jechać.

— Lecz na miłość Boga, co zasło?

— Passek aresztowany, — rzekł po francusku Orłow: pani grozi forteca Szlisselburska lub, jak pierwszej żonie Wielkiego Piotra, — klasztor.

Katarzyna więcej nie dopytywała się. — „Ubierać się!” — rzekła do Szargorodzkiej i po kilku minutach wyszła w prostej ciemnej sukni, w wstędze orderowej i gwieździe — pod mantylą. Lekkie drżenie przebiegało przez jej członki, twarz była blada, lecz zupełnie spokojna. Oczy patrzyły żywo i śmiało.

— Gotowa! — wyrzekła do Orłowa: lecz pod jaką postacią przejdziemy mimo stróży i wartowników.

Siłacz i hulaka, nieznający wahań i chodzący w pojedynkę z oszczepem na niedźwiedzie, Orłow zwlekał z odpowiedzią. Odwaga zaczynała go opuszczać.

— Pod postacią pańskiej żony, — zdecydowała caryca, biorąc parasolkę i woalkę i podając rękę Orłowowi.

Wyszli z pawilonu.

— Gdybym była żołnierzem, — wyrzekła Katarzyna mijając pierwszą aleję: nigdybym nie dośłużyła do generała.

— Dlaczego? — spytał Orłow.

— Zabili by mnie jeszcze kapralem.

Przez dolny ogród przeszli szczęśliwie. Na wybrzeżu złała się mgła. Morze cicho pluskało o przystań: ztamąd biegła pieśń: „Och ty, wolusko: świat smutek!” Zaczął się górny ogród, przyległy do parku. Za kratą, na ulicy, słychać już było ruch. Szły baby na targ. ogrodnicy z taczkami. Dymisjonowany elżbietński żołnierz — stróż, przy bramie parku, wyprostował się i salutował oficera.

Katarzyna spokojnie wsiadła do powozu, przygotowanego w przeddzień, na polecenie mistrza garderoby Szkuryna. Orłow usiadł przy stangrecie na koźle. Drugi jakby wypadkowo przybyły oficer, kapitan korpusu inżynierów, Wasilij Iljicz Bibikow, rozmawiając z nimi, jechał z boku powozu, pałac fajeczkę. Wszystko miało pozór porannej przejażdżki. Konie biegły lekkim kłusem. Ominawszy brzeg parku, podróżni zatrzymali się. Orłow zaproponował Bibikowowi, ażeby zajął miejsce przy Katarzynie, stangretowi kazał wziąć jego konia, sam ujął lejce i popędził czwórkę galopem.

— Pamiętny dzień, — rzekła Katarzyna do Bibikowa, patrząc na wschodzące im na spotkanie słońce: akurat osiemnaście lat temu, również dwudziestego ósmego czerwca, uroczyste przyjechałam w Moskwie prawosławie... Pamiętam jeszcze, zmarła caryca — ciotka i wszyscy byli zdumieni, że ja, niedawny gość tego kraju, tak wyraźnie wypowiedziałam głośno symbol wiary...

Gaje i doliny, tu i owdzie porozrzucane domki i mosty migwały po bokach. Gęsty kurz tumanami wznosił się z pod kół.

Spotkani wędrowcy, — żołnierze, czuchońcy na dwukołowych wózkach, kosiarze, — usuwali się na bok, oglądali i ze zdumieniem patrzeli, co za

osobę wioził powozem dzielny i piękny sierżant preobrażeński.

Oto Strelna. Zbliżają się ogrody pustelni Siergiejewa. Za niemi las, pole z jarką i chatki wsi Ligowa. Nowe łąki i las, wioski, karczmy Gorielaja i Krasnaja.

Przy zjeździe do mostu, nie dojeżdżając do Krasnej Karczmy, z gaju naprzeciwko powozu, wyjechał na gniadym, grubonogim koniu jeździec. Był to Mirowicz. Z daleka jeszcze zauważył on, i pędzącą galopem z lesistego pagórka czwórkę, i postać rosnącego gwardzisty, popędzającego co sił konie.

— Kto by to był? — rozmyślał Mirowicz, oglądając się na obłok gęstego kurzu, mknący mu na spotkanie.

Powóz z opuszczonym wierzchem, migające kopyta i pyski koni, grzmot kół na belkach mostu i zacerwieniona, zakurzona twarz woźnicy w mundurze, z bliźną na policzku, wszystko to szybko mignęło i przemknęło obok Mirowicza.

— Orłow? czyżby on? — spytał siebie, oglądając się, Mirowicz: nie, tego pozostawiłem z resztą kompanji u Pierfiljewal...

W tej chwili rzuciła mu się w oczy jeszcze jedna okoliczność: z tylnej osi powozu, widocznie, zgubiono mutrę. Koło ledwie trzymało się w biegu.

— Hej, hej! — krzyknął Mirowicz na woźnicę.

Powóz mknął po drugiej stronie mostu.

— Hej, kołol kołol — głośniej krzyknął i zaczął machać kapeluszem Mirowicz.

Dama zawołowana wyjrzała z powozu: woźnica zaczął wstrzymywać konie. Powóz zniknął pod Ligowem, w lesistym wąwozie.

Mirowicz poczekał. Czwórka nie wyjeżdżała z lasu. „Zatem usłyszeli, zauważyli kołol — rzekł

sobie Mirowicz: miłostka widocznie, porwanie damy serca... i komu to ja usługę oddałem?... Uderzył konia ostrogami i, wdarszy się na wzgórze, znów się obejrzał.

Powóz porzucono w lesie. Oprócz koła przeszkodził zapędzony koń dyszlowy — upadł bez życia. Wędrowcy poszli drogą pieszo. A z niedalekiego i już widocznego w zorzy porannej przedmieścia, na spotkanie ich mknęła poszostna karetka miejska. Dopędziła ich; wsiedli i jeszcze szybciej pomknęli do Petersburga.

„Cobym dał, cobym dał za to, ażeby poodróżni zauważyli, kto właściwie okazał im tę usługę! — myślał w następstwie nie raz Mirowicz, pod ciężkimi ciosami życia, do drobiazgow wspominając wszystkie, fatalne, wszystkie smutne wypadki tego dnia: i trzebaż mi było zawołać, zatrzymać! Gdybym nie zwrócił ich uwagi, szalonych koni nie powstrzymali by, i od kogo obecnie zależał by mój los, dola milionów — niewiadomo“...

Spotkana karetka należała do księcia Fiedora Siergiejewicza Bariatyńskiego, tego samego, który w maju otrzymał od Piotra Fiedorowicza rozkaz aresztowania carycy. Z nim, na spotkanie Katarzyny, przybył i Grygorij Orłow.

— Nasze morze nie burzy się, wchodzi tylko w swoje brzegi, — rzekł ostatni.

— Pić mi się chce, strasznie duszno! — odpowiedziała Katarzyna: więcej niż wiorstę szliśmy pieszo na wasze spotkanie.

Bracia Orłowy stanęli w tyle. Bariatyński i Bibikow zostali zaproszeni przez carycę do karety. Konie pomknęły, i wkrótce karetka już grzmiała na ulicach przedmieścia.

Przy moście Kalinkina przechodziła drogą wysoka, w męskiej kamizeli, siwa staruszka z pełnemi wiadrami.

— Na minutę, na miłość Boga, pić! — rzekła Katarzyna.

Powóz zatrzymał się. Staruszkę zawołano do drzewce. Katarzyna, stojąc na podnóżku karety, schwytała oburącz wilgotne, pełne wiadro i powoli, chciwie napiła się. — „Chwila — i katejdoskop odwróci się! — myślała, widząc siebie w wodzie, jak w zwierciadle, Katarzyna: chwila, i znikną marzenia, oczekiwania, ciężkich osiemnastu lat“...

— Na długi wiek, w dobrą godzinę! — przemawiała staruszka, kłaniając się i przyglądając niezwyklej podróży: Nikoła na pomoc, Chrystus po drodze!...

— Dziękuję, droga, — rzekła Katarzyna, odrywając się od wiadra i oddychając z ulgą: jak się nazywasz?

— Lejbkompansza, Nastazja Bawykina; witaj i wiele lat żyj mateczko-caryco, w świętą godzinę, w archanielską.

— Gdzie mieszkaś?..

— U greczynki Bundi.

„Lejt kompansza, sługa ciotki, — pomyślała Katarzyna: nie zapomnę... to przecież pierwsza“...

Bicz trzasnął. Karetą minęła najbliższe koszarowe pułku Izmajłowskiego i zatrzymała się na zielonem pustkowiu, przy pułkowej zajezdni. Tu było jeszcze cicho.

Pod dzwonem sygnałowym, przy moście przez rów, otaczający podwórze pułkowe, z karabinem na ramieniu, stał wartownik. Katarzyna wysiadła z karety. Wartownik od razu ją poznał. Nie spuszczał z niej płonących zdumieniem, le-

kiem i radością oczu, wyprostował się przy wejściu na most i sprezentował broń.

„Czy przepuści? — pomyślała Katarzyna: co, jak zastąpi drogę, da przedczesny sygnał na alarm?“ — Twarz jej okrył rumieniec.

Nie spiesząc się i nie patrząc na wartownika, równym, spokojnym krokiem pewnie skierowała się od karety ku mostowi.

Wartownik nie drgnął. Tylko pierś jego podnosiła się wysoko, i młode, zamierające serce biło szybko i gorąco.

„Ot spuści na poręcz muszkiet, uderzy w dzwon! — myślała Katarzyna, w chłodzie i dreszczu nieświadomości, śmiało i rzeźko krocząc po szarych wydeptanych garbinkach mostu.

„Przechodź, mądra, radość! — myślał tymczasem, patrząc na carycę, wartownik: zgaduję... Oto oni, orłęta, pomocnicy twoi, śmiałkowic... Idź... Nie na ucisk, nie na zgubę i bezcelowe marnowanie naszych sił... na sławę, cześć i wolność patriotów idziesz panować...“

Katarzyna bez przeszkód przeszła za rów, towarzysze podążali za nią.

— Nazwisko twoje? — na chwilę zatrzymując się i spojrzawszy na bladą, mądrą twarz szeregowca, spytała Katarzyna.

— Czciiciel i wierny rab waszej carskiej mości, Mikołaj Nowikow! — odpowiedział, prezentując broń, ku czci oddawna oczekiwanego gościa, wartownik.

Starszy Orłow wszedł do wartowni. Wysoczył stamtąd nawpółubrany żołnierz, za nim jeszcze kilku szeregowców. Głucho i nieśmiało zagrzmiął bęben. Rzeźwiej wtórując mu i budząc ciszę poranną, w przyległych podwórzach koszar zawarczały inne bębny. Katarzyna stanęła na

skraju placu ujeżdżalni. Z prawej i lewej strony zbiegli się starzy i młodzi żołnierze. Przyprawiali pod ręce bladego niepewnego duchownego, z krzyżem. Wynieśli z cerkwi pułkowej i postawili pośrodku podwórza anałoj.

— Przysięgać!.. przysięgać!..

— Hura, usłyszała nas mateczka caryca! — krzyczeli grenadjerzy. Kompanja za kompanją i rota za rotą, zrzucając po drodze wążkie, nowego wzoru, i wdziewając stare, odebrane już do zechthausów, elżbietańskie mundury, zbiegali się na huczące i przepelnione uradowanym tłumem podwórze. Zaczęło się całowanie krzyża.

Kiedy nadeszła ostatnia rota, oficerowie Wyrubow, Rosławlew, Wsiewołodskij, Łasunskij i Pochwisniew zaczęli machać kapeluszami. Krzyki umilkły. Otoczono Katarzynę.

— Przybyłam do was po pomoc! — rozległ się w ciszy łagodny i dźwięczny, jakby mężki, z daleka dosłyszalny głos: niebezpieczeństwo zmusiło mnie do szukania wśród was ratunku..

Nowikow, odepchnięty przez tłoczący się tłum, podniósł się na palce. Niewysoka tęga z ramięm niepokoju, Katarzyna stała o dzieśnięć kroków od niego. Ręce trzymała wyciągnięte; na czole i na górnej wardze wystąpiły wielkie krople potu; zamglone oczy szukały wokoło oparcia.

— Doradcy cara, męża mego, — ciągnęła dalej: postanowili bez zwłoki uwięzić mnie i mego syna jedynego w fortecy Szlisselburskiej..

— Śmierć holztyńczykom! — śmierć! — zahuczał tłum.

— Przed wrogami miałam jeden ratunek — ucieczkę! — rzekła, ocierając łzy Katarzyna: nie miałam gdzie uciekać, jak tylko do was.. W was

pokładam nadzieję, wam wierzę. Czy okażecie pomoc synowi i mnie?..

— Wszystkich prowadził życie oddamy — nie zdradzimy!.. śmierć nieprzyjaciółom!..

— Nikogo nie ruszajcie. — wyrzekła Katarzyna: słuchajcie naczelników, Bóg z nami.

Żołnierze i oficerowie padali na kolana przed Katarzyną, całowali jej ręce, suknię. Wyniesiono sztandar pułkowy.

— Do siemionowców!.. do Kazańskiego! — krzyczeli jedni: Do preobrażenców!.. oni matkę Lizawietę na carstwo wprowadzili! — krzyczeli drudzy. — Do gwardji konnej!.. do wszystkich cerkwil!.. Karetę!.. gdzie hetman?.. — Do Panina, do Letniego popędził. — A Aleksy Orłow? — Po archijera Dmitrija... — Do Kazańskiego! do Kazańskiego!..

Roty stawały w ordynku.

— Czego zwłóczycie, gapie? — krzyczał Rosławlew.

— Żywo, sztandary naprzód, bębny! — korderowali Obuchow i Łasunskij.

— Zbawicielka nasza!.. matka rodzona! wiwat! — nie milkli żołnierze.

— Wyciągaj armaty! Równaj się! — krzyczeli kaprale: duchownego napród!.. do Kazańskiego!..

Na prawo i na lewo, we wszystkie strony mknęli kurjerzy.

Pod naporem pchającego się napród, krzyżącego i machającego kapeluszami i muszkietami tłumy, caryca wsiadła znów do karety. Krępy, z krzyżem w rękę i z drżąca jasną bródką duchowny, pokaszując i z przerażeniem płacząc się w błękitnej wypełzłej sutannie, ruszył napród. Stojący w szeregach pułk, otoczywszy karete carycy, podążył za nią.

Prowadzeni przez Wadkowskiego, Teodora Orłowa i innych oficerów, siemieniowcy również złożyli przysięgę. Z prospektu Zagorodnego pochód ruszył ul. Grochową, skręcił w Mieszczańską i zaczął zbliżać się do placu soboru Kazańskiego.

Okna i drzwi rozwarły się na ścieżaj. Mieszkanie przyłączyli się do pochodu i również krzyčili wiwat i hura.

XI.

Zjawisko Felicy.

Rankiem tegoż samego dwudziestego ósmego czerwca Łomonosow obudził się wcześniej niż zwykle. Miał jeszcze dokonać ostatecznego przeglądu mowy łacińskiej, którą z urzędu, winien był jutro, w dzień imienin carskich, przeczytać na uroczystym posiedzeniu akademii nauk. Poza tem pamiętał słowo, dane studentowi Fonwizinowi, że będzie w Izmajłowskim pułku.

— Och, już te rozjazdy, i pierogi imieninowej jedna strata czasu! — mruzczał, wchodząc o poranym chłodku do ostatecznie wyremontowanego, gabinetu do pracy, w oficynie. O godzinie dziewiątej kucharka wsunęła się przez drzwi, z filiżanką kawy i z dopiero co przyniesionym przez posłańca z akademii zeszytem „St. Petersburgskich Wiadomości”. W tytule gazety widniało: „Nr. 52, piątek 28 czerwca”. Dalej był artykuł; „Z Rzymu w dn. 27 maja piszą. Jezuiti kupili dla braci swoich dom markiza D'Ossoli. Kązą pogłoski, że zamierzają skasować to bractwo”...

„Prowadziła rozmowę świniał.. djabeł jeden z drugim! — pomyślał Łomonosow: akurat skasują te zmije”...

Rzucił gazetę na stół, otworzył okno do ogrodu, wyjął z szuflady szkic mowy i zamyślił się nad zdaniem: „Hic festus Petri, patriae dilectissimae patris et filii, dies usque in aeternum redivivus recurrat”... — i t. d. Po rusku zdanie oznaczało; „Ten dzień Piotra, ojca ojczyzny i syna, — z podwójną uroczystością, niech powraca nazawsze bardziej radosny, bardziej szczęśliwy, i niech przyniesie późniejszym pokoleniom ogólną nienaruszoną radość”...

Łomonosow znów usiadł przy stole. Lecz ledwie ujął za pióro, — z ulicy dały się słyszeć głośnie, bezładne głosy. Przez okno było widać, jak brzegiem Mojki, na lewo od Siniego mostu, w bezładzie biegł liczny tłum; chłopcy z barek, robotnicy, baby i rzemieślnicy. Część biegnących zatrzymała się i, w tumanach wzniesionego kurzu, z wymysłami i krzykiem, pchała jakiegoś wysokiego w holsztyńskim mundurze, oficera.

„Wpadł, niemiec! — pomyślał Łomonosow: — czemskolwiek, grubjanin, dosolid”...

Tłum przesunął się. Brzeg oczyścił się. Lecz znów gdzieś rozległy się głosy. Z pobliskich i dalszych cerkwi zaczęło się dziwne, nie w porę dzwonicie. „Czy nie pożar? — przyszyła myśl Łomonosowowi. Spojrzał na zegarek. Było cokolwiek po ósmej.

— Ojczulkowie, koniec świata! — dało się słyszeć z dołu, z pod schodów, wycie kucharki: — złodziejel masłol.. masła cały garnek... puszkę z szuwaksem ściągnęli... Wyrodził gubicielel..

Łomonosow zeszedł na dwór. Przy bramie panował ruch. Snuły się jakieś palta sukienne: rozpięci, z czerwonymi twarzami, marynarze zagłądali przez furtkę przy bramie. Nieznajomy duchowny, z przerażeniem wysunawszy się z ulicy,

dopytywał o coś stróża. A stróż, wyprzegając spiesznie z wózka konia, klepał go po grzbiecie, podskakując na bosych, z zawiniętymi szarawarami nogach, zupełnie jakby zamierzał wskoczyć na konia i gdzieś uciec.

— A a-a! hura! — dobiegły od Siniego mostu donośne, głośnie okrzyki.

— Niel nie pożar! — rzekł do siebie Łomonosow: czyżbyż zmiana, nieoczekiwany, brzemienny wszelkimi nieszczęściami, bunt?..

Wziął trzcinę i kapelusz, wyszedł na ulicę i, wyprzedzany przez pieszych i konnych, skierował się na lewo wzdłuż Mojki.

— Popłoch, chłopcy, popłoch!.. trzymaj, Sysojka, trzymaj.. U-ahl — wrzeszczeli zasmarowani wapnem i gliną malarze i murarze, wybiegając gęsiego z sąsiedniego podwórka.

— Gdzie popłoch?.. eh, kłamią, bałwany! — gniewnie warknął pękaty, rudy szynkarz, w perkalowej koszuli i fartuchu, bosy, stojąc ze szklanką sbitnia na ganku piwniczki.

— Ażeby cię pokręciło na wszystkie strony! — rzekł ktoś.

— O! poczekaj, grubasiel!.. już wszystkich was spotka zapłata!.. wszystkich wymordują! — krzyknął chudy, piegowaty, wysoki malarz, z kubelkiem i pędzlem, podążając w ślad za innymi.

Przy Czerwonym meście Łomonosow z trudem mógł się posuwać naprzód. Z głębi Grochowej dobiegało głośnie hura. Poruszali się tam żołnierze i powiewały sztandary. Przy wjeździe na most stłoczyło się kilka pojazdów. W jednej z karet widoczny był były faworyt, Iwan Iwanowicz Szuwałow, spiesznie i niespokojnie rozmawiający z kimś z nadjeżdżających znajomych. Z drugiej, zatarasowanej przez krzyczący i napierający ze

wszystkich stron tłum, wyglądała wykrzywiona przez lęk, z mętnie utkwionym w przestrzeń wzrokiem i z drżąca, obwisłą wargą, trupio-błada twarz księcia Birona..

Z trudem przecisnąwszy się przez most, Łomonosow wpadł w taki ścisk, że nie mógł już iść, gdzie chciał. Od Czerwonego mostu poniosło go na Newski do Zielonego lub Polceyjnego. Dom policji otoczony był przez lud. Wrota jego były wyłamane, szyby w oknach wybite. Przed tem dopiero co aresztowali i gdzieś odprawili generał-policmajstra Korfa. Tłum zakurzonych, rozwścieczonych robotników i żołnierzy, z krzykami „do wody go!.. wszystkich ich djabłów, niemieckich sług, tam!” — pięściami i kolbami pchał do Mojki wystraszonego w podartym aksamitnym kaftanie i w wielkiej potarmoszonej peruce, starszka-cudzoziemca. Jakiś oficer, siłą odbiwszy szeregowcom nawpół pomiętą figurkę, wepchnął ją do łódki i kazał zawieźć do fortecy.

— Lesztok! — dało się słyszeć w tłumie.

— Jaki Lesztok?..

— A czyż mało ich djabłów, Niemców.. Ot, i wujaszka Georgea pobilo żołnierstwo, porwało na nim odzież..

— Sic transit gloria mundi! — pomyślał Łomonosow: skąd to wszystko i w czym istota sprawy?..

Przy soborze Kazńskim dowiedział się, wreszcie, o powodach ogólnego wzburzenia.

Nie zdążył pochód pokazać się na Mieszczańskiej, gdy od gościnnego dworu dały się słyszeć krzyki i przerywane bicie w bębny. Przy żelaznem

ogrodzeniu soboru ukazali się biegnący przez Newski w jasno zielonych elzbietańskich mundurach, z muszkietami w rękę, preobrażeńcy. Oficerowie, przywodcy ruchu, Bredichin, Baskakow, Protasow, Stupiszyn i Czertkow z całej mocy powstrzymywali i wyrównywali ich zmieszane szeregi.

— Zawiniłszy, matko, późno przyszliśmy! — krzyczeli do carycy grenadjerzy.

Nie zdążyli preobrażeńcy stanąć w kolumnach w ogrodzeniu, na Newskim znów rozległy się dźwięki trąb, stuk podków i bliżej i bliżej rozbrzmiewające okrzyki hura. Ukazały się mknące, ciężkie szeregi zielonych, w złotych galonach, rajtarów. Galopem, z obnażonymi szablami i rozwiniętym sztandarem, grzmiąc podkowiami po bruku, pędziła od Aniczkowa gwardja konna.

— Mateczko! słońce ty jasne!.. zbawczyni!.. nie wydamy! — z zachwytem krzyczeli konnogwardziści, dowodzeni przez Chitrowo, Nieswickiego, Rzewskiego, Czerkaskiego i Mansurowa, stając w ordynku między soborem i ogrodem hetmana Razumowskiego.

W przysionku ukazał się otoczony „wszystkim świętobliwym soborem i sinklitom“ w szatach liturgicznych arcybiskup nowogrodzki Dymitry Siczzenow. Przeżegnał krzyżem Katarzynę.

Słońce oświetliło biały atlas, malinowy złotogłów, siwe głowy i brody duchowieństwa. Żałobna suknia Katarzyny sieroco wyróżniała się w tej mieszance aksamitu, złota i jasnych promieni słonecznych.

„Przysięgać przysięgać — rozległy się okrzyki: władczyń!.. z synem Pawłem!.. regentką! — „Sama, sama!.. niech żyje samowładczyni, mateczka nasza, Katarzyna Aleksiejewna!.. — krzyknął Aleksy Orłow, a za nim przednie szeregi.

— Hura! — podchwycili pozostali: samowładczyni!.. krzyż całować! hura!..

Prędko podjechała szóstka złota karet dworska, z niej wysiadł błądy, starający się ukryć radosne podniecenie, Nikita Panin, prowadząc za rękę swego wychowanka, zaniepokojonego, nieśmiało kroczącego, chudziutkiego Wielkiego Księcia Pawła Piotrowicza.

Arcybiskup zeszedł z przysionka i zaczął obchodzić szeregi wojska. Oficerowie padali na kolana przed Katarzyną, z zachwytem wymachując szpadami i kapelusami. Okna, balkony i drzwi okolicznych domów przepelnione były widzami. Kto nie dostał się na plac, wdierał się na sąsiednie dachy, na drzewa Newskiego i ogrodu hetmańskiego.

— Gdzie caryca? gdzie? pozwólcie! — spytał usiłując spojrzeć z poza pleców innych, niskiego wzrostu, puciołowaty młodzi-niec, ze spoconą przystojną twarzą, który podjechał doróżką od Mieszcząńskiej.

— Oto ona, ojczulku, oto, a obok niej wielkie książętko, Paweł Piotrowicz, — odpowiedział starzec w mieszcząńskim żupaniku.

— Lecz gdzie? pozwólcie, nie widać.

— W przysionku, mości panie, oto, prosto patrzcie; w smutnej to sukni... w czarnej czapeczce, z gwiazdą.

— Ech, oczy, dziadku, gdzieś podział? — odezwał się głos z tłumu: przegapiłeś... z przewielebnym weszła do soboru.

— Nabożeństwo odprawiał... na carstwo się koronuje! — dawało się słyszeć tu i tam.

— A Panin to nie opuszczał wielkiego księcia, z nim te noce, powiadają, spał, strzegł carskie dzieciątko...

Ścisk na placu zaczął się zmniejszać.

Elegancki młodzieniec, poprawiając pukielki i pomięty trójrożny kapelusz i rozpościerając woń kogucich jagód, przecisnął się do ogrodzenia cerkwi.

To Fon-Wizin ujrzał swego znajomego, szeregowca Dierzawina. Ostatni, wymachując rękoma, opowiadał coś preobrazencom i jakby skarżył się na kogoś.

— Co ci jest? — spytał go Fon-Wizin: i co takiego zaszło?

— Wyobraź sobie, wypadek! — zwrócił się do niego Dierzawin: — i w takim czasie... Wczoraj z pod głowy, jedna bestja wykradła wszystkie pieniądze — więcej niż sto rubli..

— Kto wykradł?..

— A sługa jednego żołnierza — dziedzica... I śmiech, i żal, — taki los! rodzicielka uciułała i przysłała ostatnie. Czy wierzysz, całą noc nie spałem...

— No, teraz za to pocieszyleś się.

— Jeszcze by.

— A gdzie nasz bataljonowy Wojekow, który Passeka aresztował?

— Wyobraź sobie, zamyślił grenadierom, ażeby nie szli tutaj, wymyślać i po karabinach rąbać. Ci ryknęli na Litejną i rzucili się na niego z bagnetami...

— I cóż?

— Uciekł — po brzuch konia — do Fontanki, nie dostali.

— A ci kto?

— Daszkowa.. Panin.. hetman Razumowski.

Do soboru podążali znani w mieście wielmoże i żony dygnitarzy. Fonwizin również przycisnął

się do przysionka. Kręciło mu się w głowie. Słuchał i nie wierzył swym uszom: Przez rozwarte drzwi cerkwi widoczne były jasno płonące lampy i świece. Z kłębamii dymu dobiegał donośny głos prododjakona: „Jeszcze modlimy się za najszlachetniejszą, samowładną, wielką carycę... imperatrycę Katarzynę Aleksiejewnę... i za następcą jej Pawła Piotrowicza“... Chór śpiewaków podchwytował. I nigdy śpiew kleru nie wydawał się Fon-Wizinowi tak słodkim, jak teraz.

„Bożel jakie wypadki!“ — myślał, z poza łez zachwyty nie widząc nikogo wokoło siebie: „czyż spodziewał się, czy oczekiwał kto tak prędko?“

Wyjął chustkę, obtarł oczy i zaczerwienioną twarz — i obejrzał się.

Pod zieloną, rozłożystą lipą na Newskim, ściśnięty przez dławiący się z upału i tłoku tłum, stał w pobliżu ogrodzenia cerkiewnego znajomy, atletycznej postaci, jegomość. Tęgie ramiona unosiły się nad skierowanymi ku cerkwi głowami; filcowy, wyrudziały od wiatru trójrożny kapelusz zsunięty był na kark; surowa pomarszczona twarz wyrażała zdumienie i radosne przerażenie.

„Michajło Wasiljicz! czyżby to on?“ — pomyślał Fon-Wizin, przypominając sobie ostatnie spotkanie z Łomonosowym, toasty ku czci carycy i zaprosiny na imieniny wuja. — „Bożel jakie spotkanie! — rzekł do siebie młodzieniec, przeciskając się z ogrodzenia na Newski: akurat, tego dnia“...

Pod lipą rzeczywiście stał Łomonosow.

— Karetę carycy, karetę! — krzyknięto w tym czasie od strony soboru. Szeregi wojsk, odpierając i powstrzymując lud, rozsunięły się.

— Miejsce, miejscel..
— Gdzie pojechała?
— Do nowego pałacu! w koroniel..
— Kłamiesz! czegoś gebę rozdziawił?.. armata wjedziel.. a nie pchajżeź się, żółtooki, rękę złamiesz!..

— Eh, ludzie, doprawdy! leżał..

— Oj, rękę zgnietyl!.. nóżkę!..

Tłum, runawszy z placu rozdzielił się na dwa strumienie. Jeden falując i kręcąc się, porwał i pociągnął na lewo, po Newskim tych, którzy stali przy ogrodzie hetmana. Drugi pociągnął wzdłuż Koniuszennych tych, którzy znajdowali się na prawo naprzeciwko soboru.

Fonwizin, splaszczony między brodatym, śmierdzącym tranem i muszkatelem, sklepikarzem i tłustą, czerwona jak rak, popadja, — zobaczył w oddali, w tumanie kurzu, raz i drugi migające ramiona i kapelusz Łomonosowa. Spróbował uwołać się, lecz napróżno. Burzliwy potok ludzki, ściana wszy go, jak w kleszczach, unosił go dalej i dalej naprzód Łomonosowowi wpadła w oczy wzburzona twarz Pczółkinoj. Stała na czymś ganku, ponuro, z niezadowolaniem patrząc na biegnący mimo niej tłum..

Katarzyna pojechała do nowego, jeszcze, otoczonego rusztowaniami, pałacu zimowego. Tu, otoczona przez świtę, ukazała się ludowi wraz z synem, na górnym i teraz jeszcze istniejącym balkonie, nad prawym gankiem.

— Manifest piszą, naradzają się, — dało się słyszeć w tłumie: do starego pałacu zwołany jest senat i synod.

Podjeżdżały nowe powozy, pędzili jeźdźcy.

Głucho grzmiały ciężkimi kołami i lafetami, na plac wjechała artylerja. Armaty umieszczono na rogach placu i przy wjeździe do najbliższych ulic.

Łomonosow stał przy admiralicji. Widział, jak z teczką pod pachą, klusem, na długich zwawych nóżkach, przeszedł do bramy pałacowej ulubieniec hetmana — prezydenta akademji, Grygorij Tieplow.

— Oto czyje pióro stało się potrzebnem w tak ważnej chwili — z goryczą pomyślał Łomonosow o swym dawnym nieprzyjacielu: na przyszłość wiedzieć będą.. Niewiele dobrego zwiastują negocjacje z takim konfidentem... Czas, znaczy się, i do siebie..

Udał się do domu, zjadł naprędce obiad i znów wyszedł na ulicę. Lecz nie zdążył dotrzeć do Grochowej, gdy lud z kądzi znów napłynął i pociągnął go ku pałacowi. Wieczorem plac rozbrzmiał nowymi głośnymi okrzykami — Katarzyna wsiadła do karety. Otoczona przez wojsko jechała do starego pałacu Elzbiety.

Porwany przez fale ludu, Łomonosow znalazł się przy słupie latarni na Morskiej, na rogu placu pałacowego. Przed nim na Newskim ustawiały się szeregi preobrażeńców, siemionowców i gwardji konnej; na prawo, na Morskiej, — izmajlowcy, artylerja i pułki armji.

Ktoś dotknął ramienia Łomonosowa. Obejrzał się; przed nim stał Fonwizin.

— Jakie wypadki, jakiel — rzekł Denis Iwanowicz.

— Tak, buntów i wszelkich zamieszek niemal — z przykrością odpowiedział Łomonosow, przypominając sobie Tieplowa: mach—mach, i wy-

wieźli, zaczęli nowe panowie. Wszystko to bardzo już przedko...

— Nie rozumiem pana, — ze zdziwieniem wyrzekł Fonwizin.

— Nie rozumie pan?... A jak ci, mości panie, oprzytomnieją i pójdą tu z Ranbowa?

— A któż ma iść?

— Jakto kto? Piotr Fiedorycz, mój przyjacielu, z holsztyńczykami, niech pan pamięta, ma więcej niż pięć tysięcy wojska.

— Obronimy się, Michajło Wasiljicz, co pan, obronimy się! — rzekł Fonwizin: miasto otoczone, i do carycy coraz przyprowadzają języka... słyżał pan, ilu już zjawilo się z pokorą?... obdwaj Szwałowowie, Trubeckoj, Woroncow; do Kronsztadtu posłany admirał Iwan Łukjanycz Tałyzin, — odebrać od floty przysięgę.

— A Minich? — gniewnie podniósłszy brwi, wyrzekł Łomonosow: on jeden, mości panie, co jest wart?..

— Co Minich! stary niemczyk!.. my i jego...

— No, nie sądz tak złośliwie! Z Minichami, bracie, nie bardzo to żartują... Oni..

Łomonosow nie dokończył.

Plac pałacowy, jak na skinienie różdżki czarodziejskiej, naraz umilkł. Wzrok wszystkich zwrócił się w stronę krytego paradnego ganku, wychodzącego na Morską! Była godzina dziewiąta wieczór, lecz na ulicy było widno. Łomonosow znów gdzieś w tłumie zobaczył Peczolkinę.

Na ganku w otoczeniu senatorów, generalicji i pierwszych urzędników dworu, ukazali się dwaj, niewysokiego wzrostu, w wstępach i jasno zielonych mundurach gwardyjskich, oficerowie: jeden żywy i chudziutki, drugi tęższy i na wygląd okazalszy i dostojny.

— Ojczulkowie, toż to caryca i Daszkowa! — wyrzekł, podskoczywszy na miejscu, Fonwizin. Schwytał miękką, ciepłą ręką złodowaciałą, żyłastą rękę Łomonosowa, i więcej nie mógł wyrzec ani słowa.

Katarzyna ubrana była, w preobrażeński, starego kroju mundur kapitana Piotra Fiedorycza Tałyzina; Daszkowa w takiż sam mundur lejtnanta Andrzeja Fiedorycza Puszkina. Nadworniki masztalerze podprowadzili do ganku białego, z ciemnymi jabłkami, i jasno-gniadego konia.

— Wsiadają, wsiadają na konie! — przebiegło wśród tłumu: wsiadła, przejasna, przy oknach to: z ulicy było widać...

— Lecz gdzież to?..

— W pochód, widocznie...

— W jaki?..

— Odczepcie się, co wy, doprawdy!..

Katarzyna wsiadła na białego, — Daszkowa na gniadego konia. Obie odjechały kilka kroków ku Newskiemu i zatrzymały się. Włosy Daszkowej były ukryte pod kapeluszem. Rozpuszczone jasno-blond warkoczki Katarzyny gęstymi, falistymi lokami spadały, z pod trójrożnego kapelusza, na zielony, z czerwonym kołnierzem mundur. Przez ramie carycy była włożona błękitna wstęga św. Andrzeja.

— Słuchaj! na bacność!.. — rozległy się słowa komendy. Zaszczękały karabiny. Wojsko oddało honory carycy.

Katarzyna, z uśmiechem spojrzawszy na Daszkową, z ręcznie wyjęta z pochwy szpadę, chciała ją podnieść i zmieszła się. Rumieniec zalał jej twarz. Szpada okazała się bez temblaka.

— Temblak, temblak! — dało się słyszeć w bliższych szeregach.

Z przednich szeregów gwardji konnej, na wielkim, spasionym, karym koniu, wypadł i podjechał do carycy młody i, jak dziewczyna, wstydlivy, krótkowzroczny, okrągło twarzy wachmistrz. Zdjął z własnego pałaza temblak i, uchylwszy kapelusza, drżąc ręką z szacunkiem podał go carycy.

— Dziękuję! — rzekła Katarzyna, powstrzymując konia i łaskawie skinąwszy mu przez ramię.

— Kto to? kto? — zaczęto pytać w szeregach.

— Ojczulkowie — światy! — wyrzekł, klasnąwszy w ręce, Fonwizin: to przecież nasz kandydat na archijereja...

— A ty go znasz? — spytał Łomonosow.

— Jakżeż nie znać! za lenistwo i codzienne niechodzenie na lekcje razem z Nowikowym, wydany z pośród naszych moskiewskich studentów!... a teraz mason i przyjaciel Orłowych...

Kandydat na archijereja w tej chwili znajdował się w trudnej sytuacji. Młody, kary koń jego stanąwszy obok białego konia carycy, stanowczo nie chciał odjechać. Uderzył go ostrogami, — koń posunął się naprzód, parsknął, lecz pamiętając jazdę w maneżu, pokręcił głową i cofnął się w tył. Szarpnął go sznalem, koń stanął dęba, i znów ani z miejsca.

— Taki los, mości panie, — chcąc ośmielić zawstydzonego wachmistrza, z uśmiechem rzekła Katarzyna: pań-kie nazwisko?..

— Potiomkin! — zarumieniwszy się po uszy i mrugając wielkimi, krótkowidzącymi oczyma, odpowiedział z ręką przy kapeluszu białolicy i czarnobrewy wachmistrz.

Katarzyna umocowała temblak, podniosła szpadę i śmiało, zachęcająco — uprzejmie spojrzała na otaczających, na publiczność i na generalicję.

Nie była to już marna, w żalobnych szatach, prześladowana kobieta, a potężna, dumna orlica, gotowa rozwinąć skrzydła i wznieść się na niedosiężne wyżyny. Patrząc wciąż również śmiało i uprzejmie, jakby salutując, zatoczyła szpada, ruszyła uzdą i wolno posunęła się na prawo Newskim. Świta, falując różnorodnymi mundurami, wstęgami i gwiazdami, konno podążyła za nią. Ktoś przejeżdżając obok Łomonosowa, rzekł do sąsiada, wskazując na carycę:

— Palec Boży, Opatrzność...

— Zobaczmy jeszcze, zobczymy! — myślała w pobliżu niego, patrząc na radość ogólną, Pczolkina: Daszkowej również przypomnę, wyjdzie inny fantom... o nim zapomnieli... lecz on zmartwychwstanie, żywy...

— Baczość!.. równaj front!.. muszkiet na ramię!.. — rozległy się po pułkach różnogłose, według ówczesnego systemu, komendy dowódców pieszych i konnych oddziałów: Plutonami na prawo, zachód!.. lewe szeregi naprzód, w koło... szybkim krokiem, prosto, marsz!..

Kolumny ruszyły, zaczęły równać się. Zawarczały bębny, zaświstały piszczałki. Chór trębaczy, na przedzie pułków, dowodzonych przez hetmana i księcia Wołkońskiego, zagrał marsza pochodowego Piotra Wielkiego.

Z początku gwardja, piesza i konna, potem pułki armji podążyły w ślad za carycą. Okrążyli od Morskiej przez Newski, i minęli zimowy pałac Elżbiety. Katarzyna wjechała na most Policyjny. Newski, w ostatnich blaskach zachodu, wyglądał świętecznie. Trąby i bębny grzmiały. Sztandary powiewały. Katarzyna z oddali widoczna była wyraźnie cała, na białym jałkowanym, okazałym koniu, — we wstędze, ze szpadą w ręku i wspania-

łymi blond warkoczami, spadającymi na zielony ze złotem mundur.

— I to ona! — myślała, jadąc obok Katarzyny i spoglądając na nią, Daszkowa: — ona ta sarna, co przedwczoraj prała rękawki... a dziś, a teraz?... Jak nieoczekiwanie, jak cudownie ona, ona, mój ideał, mój przyjaciel, przekształciła się! Kto się spodziewał? Ile śmiałości, odwagi!.. Historia zaznaczył... I mnie jednej zawdzięcza swą wolność i to, nawet dla mnie samej, nie zrozumiałe i niewyjaśnione przeobrażenie...

— Gdzie to, gdzie? — zawołał ktoś ze spóźnionej arystokracji Iwana Iwanowicza Szuwałowa, który przy placu pałacowym spieszenie i niezgrabnie wsiadał, przy pomocy sługi, na podprowadzonego konia.

— W pochód, książętko! — niechętnie odpowiedział, machnąwszy ręką, Szuwałow.

— Jakto w pochód? gdzie?...

— Do Ranbowa, ojczulku!.. i czego się czepiasz? mille diables, niema czasu, — jeszcze bardziej gniewnie rzekł Szuwałow, nie umiejętnie machając tłustemi w pończochach nogami i doganiając pochód.

Obok Łomonosowa przesuwali się rotty za rotami, szwadrony za szwadronami. Nie odchodził z rogu placu.

— Otóż, Michajło Wasiljicz, opiewałby pan naszą radość, naszą boginię! — ktoś z zachwytem zawołał z posuwających się szeregów piechoty.

Łomonosow obejrzał się. Obok niego, równym krokiem, podążając za kolegami, z karabinem na ramieniu, po rozbitym bruku szybko kroczył w kurzu zaczerwieniony, długonogi Dierżawin.

— Widział pan? — spytał, prostując się i zmieniając krok: ten koń, ta szpada i te rozpuszczone

warkocze... Nieprawdaż, Bohaterka starożytności, Minerwa!... Felica!..

Wojska szły, okrzyki nie milkły, bębny grzmiały po Newskim.

Szeregowiec preobrażeński, przyszedł piewca tej samej Felicy, zapomniał w tej chwili bezsenne noce, stracone pieniądze i to, że od rana nie pił i nie jadł, i wszystko... Nie spuszczał oczu z długich jasnych warkoczy, rozwiewających z oddali z pod trójrożnego kapelusza, i dziarsko, rzeźko kroczył, nie czując nóg pod sobą, i w drzeniu rodzącego się natchnienia pragnąc, żeby ten bajeczny pochód był bez końca, wieczny...

A żeby hełm na niej błyszczał pierzasty,
Zefiry rozwiewały włosy...

A żeby koń pod nią kręcił głową
I burzliwie wodze pianą okrywał...

— Opiewać!.. tak, mój przyjacielu, godne to jest heroicznej, dla potomności zachowanej, rozgłosnej ody! — rzekł do Fonwizina, ocierając łzy, Łomonosow: bajka Szecherezady, sen...

Poszli razem z ludem za wojskiem, lecz nie widzieli ani wojska, ani ludu. W oczach ich jakby zarysowywały się i cudnie powstawały zarysy czegoś wielkiego, nowego i nieosiągalnego. Przeszedłszy do domu Łomonosow podał i spalił nową łacińską ku czci Piotra Trzeciego i zaczął nową ode:

Słuchajcie, wszystkie krańce świata,
I wiedzcie, co może Bóg:
Zmartwychwstała nam Elżbieta!..

— Tak, — myślał, chodząc po ogrodzie: nową, jasną erę zacznie ona, byle tylko zawezwała rozumnych i uczciwych, właściwych, państwa do-

radców... A ten uwięziony?.. Panie mocy! skłoń, w t- j chwili, serce jej ku nieszczęsnemu. W tryumfie i szczęściu, niech wspomni o nim łaską swoja..

XII.

Wylądowanie w Kronsztadzie.

Mirowicz pozostawił zmęczonego konia pod Peterhofem i z jakimś ogrodnikiem dojechał do Oranienbaumu, o godzinie siódmej rano. Pałac był jeszcze pogrążony we śnie. Szczupły, barczysty, piegowaty, oficer holsztyński, w białym koleście i łosiowych obcisłych kamaszach, chodził, w oczekiwaniu na zmianę przy wartowni, w pobliżu głównej bramy.

— Zurück, zurück! — zawołał do niego holsztyńczyk, widząc, że kieruje się do ganku pałacowego.

— Mam ja, mosci panie, ważną sprawę, — nie zatrzymując się, rzekł Mirowicz.

— Aber du, tausend Teuffel — podbiegając do nieposłusznego i chwytając go za ramię, zachrypiał rozwścieczony drabant.

— Lecz, słyszysz ty, psie, sprawa mówię! — odpowiedział, odpychając go, Mirowicz: za ordynarności później się porachujemy; widywaliśmy takich... a teraz, mówię ci, puść..

— O, Herr Je.. du Taugenichts, Schweintreiber! Hein wer ist da? — krzyknął, klasnąwszy w dlonie, holsztyńczyk.

Z wartowni wybiegło kilku żołnierzy.

Napróżno Mirowicz dowodził, przysięgał i groził. Wskazali mu przyległe, wewnętrzne podwórze, gdzie mieściła się kancelarja dyżurnego generał-adjutanta. Tam było również spokojnie. Drzwi

do kancelarji były zamknięte. Mirowicz usiadł na ganku, rozmyślając, jak uprosi Gudowicza albo Ungerna i uprzedzi cara. Świat pałacowy zaczął się budzić. Przy oficynie kuchennej ukazał się w białym kołpaku zaspany kuchcik. Gdzieś skrzypnęły drzwi, zastukały podkowy konia. Z koszar służbowych wyszedł, w szlafroku i partoflach włożonych na bosc nogi, łysy stołownicz. Umył się przy beczce, obtarł i, ziewając, zaczął się modlić.

— Królestwo śpiącej królowej, — pomyślał Mirowicz: i nie podejrzewają, co ich czeka.

Na wewnętrznym ganku pałacowym ukazał się, z ubraniem w rękę, niezadowolony i nachmurzony, ulubiony murzyn carski, Narcyz...

— Cierpliwość, cierpliwość, — rzekł sobie Mirowicz: car wkrótce obudzi się...

Przeszedł do stawu, do górki, również się umył i doprowadził do porządku swój zakurzony i zabrudzony mundur. Dławiła go fatalna, potężna, jak myślał, idea. Była nad siły jego. Uginał się pod nią. Powrócił Mirowicz przez podwórze stajenne. Tu już krzątano się. Klusem prowadzono z wodopoju konie. Przy wozowni snuli się koniuchy, szybkobiegacze. Wytaczano powozy, niesiono uprzęż.

— Co to? — spytał Mirowicz masztalerza: czyż tak wczesnie jedzie gdzie car?

— Do Peterhofu, — jada obecnie tam.

Mirowicz powrócił do głównej bramy pałacowej. Przy wartowni stał już inny oddział.

— Poczekam tu, — rzekł do siebie, drząc wewnętrznie, gniewnie przysiadłszy na występie kraty: tepaki, bydło, — tyranizują powolnością i nie podejrzewają!

Niedługo czekał tym razem. Za klombem drzew, zakrywającym ganek frontowy, dał się słyszeć tętent konia. Do bramy, odwróciwszy się na

siódle i wydając komuś w tyle polecenia, zbliżał się galopem, pochmurny, nie w humorze, Gudowicz. Otwarte błękitne lando carskie, w szóstkę cugiem, jechało na przeciwko niego — do ganku, gdzie, w oczekiwaniu na wyjście cara, tłoczyło się kilku oficerów dworskich i młode wystrojone damy. Ztamtań dobiegały wesole okrzyki, śmiech.

— Mais finissez donc, cher baron, — klepiąc Ungerna po ręce, mówiła śpiewnym głosem tęga, rumiana, z wąsikami brunetka, hrabina Briuss.

— Et puis quand je dors — ciągnął ktoś.

— Ti-ti, ta-ta, szczebiotała na ganku wesola kompanja.

— Zaskoczę ich, zbledną, modnisiel! rozwał! — z nienawistnem, radosnem drżeniem, pomyślał, przepuszczając lando, Mirowicz: niema co odkładać... było nie było... zacznę od tego!..

Stanął na drodze Gudowicza — i, kiedy ostatni wjechał za bramę, podszedł do niego i z ukłonem wręczył przygotowany u Bressana raport. Gudowicz przelotnie spojrział na papier, wziął go za zwykłą prośbę, włożył do kieszeni i, zebrawszy uzdę z lekkim skinieniem, tym że kurz — galopem pomknął po drodze do Peterhofu.

— Co ja zrobiłem! bydlę, niedołęga, babal! — wybuchnąwszy, pomyślał Mirowicz: trzeba było samemu carowi!..

Przez bramę zaczęły wjeżdżać inne powozy. Na ganku ukazała się faworyta Woroncowa, Izmajłow, Beckij i poseł pruski Goltz. W drzwiach ukazał się biały, z turkusowym kołnierzem i tarczkiem samymi wylogami, mundur, niewielki trójrożny kapelusz z pióropuszem i holsztyńska czerwona wstęga. Car wyszedł w towarzystwie Minicha. Uśmiechał się do brodu.

— I z taką gapą sam gawronem zostaniesz, —

rzekł Piotr, odpowiadając na słowa towarzysza: — gotowe? — spytał, zwracając się do świty.

— Gotowe, — kłaniając się, odpowiedział Ungern.

Na dworze było wesoło, ciepło. Słońce świeciło tak radośnie. Car skłonił się wszystkim kapeluszem, szybko kołysząc się, zszedł po schodkach i wsiadł do powozu Woroncowa i hrabina Briuss, wesołe, uśmiechające się, en robe de cour, otworzywszy kolorowe parasolki, wsiadły z nim na przednią ławkę; młodzianka księżniczka Holstein — Betska — obok cara.

Błękitne, z czerwonymi żokiejami lando, objechawszy klomb z fontanną, przemknęło obok Mirowicza na drogę. W ślad za niem potoczył szereg innych powozów. Zatrząsały bity. Szalebił się kurz. Nowo wystawiona holsztyńska warta, w łosiowych spodniach i wązkich białych koletach, wyprostowała się, z warczeniem bębnow, przy bramie.

— Nie puścili, psy, a jednak szczegółowo i, zdaje się, pierwszy zawiadomiłem o wszystkim! — pomyślał Mirowicz, patrząc od ogrodzenia, zmąconym, nienawistnym wzrokiem w ślad za powozami wesolej kompanji.

Wkrótce Mirowicz dowiedział się, że cała jego gorliwość i wszystkie starania były spóźnione i pozostały bez wyniku.

Powóz carski minął kolonję. W świeżem porannem powietrzu, nad wierzchołkami parku, ciągnącego się nad wybrzeżem morskiem, ukazały się dachy pałacu peterhofskiego. I naraz czerwony żokiej zwolnił na przedniej parze i odwrócił się.

Na spotkanie cara, z parku, mknął galopem Gudowicz.

Andrej Wasiljicz podjechał, nachylił się do powozu i zaczął coś szeptać carowi, Piotr Fiedorowicz zbladł. Gudowicz również był blady. Obydwaj przez kilka chwil milczeli.

Car wysiadł na drogę. Oczy jego patrzyły z przestrachem, na twarzy błędził dziwny, bezradny uśmiech.

— Więc tak, Andrej Wasiljicz, to nie sen?... jej niema?

— Widocznie, wasza carska mości, caryca zrejterowała...

— Poprostu powiedz: uciekła, po co łagodzić?... Lecz gdzie?..

— Nikt nie wie.

— Wszystkich pytałeś?

— Wszystkich.

Nadjechały inne powozy. Piotr Fiedorycz wsiadł do powozu z Gudowiczem, Ungernem i Minichem i kazał jechać do Monplaisir. Damom zaproponowano udać się do pałacu przez park.

Car pobiegł do pawilonu, obszedł wszystkie pokoje, — Katarzyny nie było. Na stole, w garderobie, leżała przygotowana na jutro balowa kolorowa suknia.

— Nedorzecznosc, niedorzeczność! — rzekł Piotr Fiedorowicz: ona się tu gdzieś schowała. Nie igielka — znajdziemy!..

Zaglądał do szaf, — pod kozetki, kazał obejrzeć najbliższe budynki, wybrzeże, krzaki.

— No, Romanowna, — zwrócił się car do Woroncovej, która nadjechała z wujem kanclerzem: — masz rację!.. — żona moja nas uprzedziła, uciekła!..

— Gorzej niż to, wasza carska mości, — wy-

rzekł, kłaniając się, kanclerz: nie wiem, jak zameldować!..

— Mów, mów, — co tam jeszcze?

— Dopiero co przejeżdżający włościanie zaświadomili, że cała stolica powstała; lud i wojsko stanęły za carycą i z nią skierowały się ku pałacowi.

Piotr Fiedorowicz spojrział na otaczających. Wszyscy opuścili oczy.

— Zwolnij mnie, panie, do Petersburga, — rzekł Woroncow: postaram się przekonać pańską małżonkę i przywiozę ją do pana z powrotem.

— I mnie pozwólcie, — panie, — wyrzekł Aleksander Szuwałow.

— I mnie! — dodał książę Nikita Trubeckoj.

Wszyscy trzej wyjechali do Petersburga — i nie powrócili. Zaczęły nadchodzić wieści jedna od drugiej bardziej niepokojąca. Przejeżdżający fajerwerkier zakomunikował, że Panin, Daszkowa, książę Wołkoński i hetman kierują ruchem, Petersburg otoczony, Katarzyna ogłoszona samowładczynią, i złożyli jej przysięgę senat i synod.

Otaczający Piotra nie okazali męstwa. Lecz przedewszystkiem i w największym stopniu stracił równowagę on sam. Otoczony przed młode płaczące niewiasty i samolubnych, wydelikacjonnych dworaków, chodził wielkimi krokami po alejach dolnego parku, czynił mnóstwo różnych projektów i nie wykonał ani jednego. Byli wysłani wywiadowcy na drogę narwską — dowiedzieć się, czy nie przejeżdżał goniec do armji zagranicznej. Pojechał szalupą uprzedzić komendanta w Kronsztadzie adjutant cara, hrabia Dewier.

Obsypując Katarzynę gorzkimi, ostrymi wymówkami, Piotr Fiedorowicz to groził, że całą drogę do Petersburga obstawi szubienicami i powy-

wiesz na nich wszystkich jej pomocników, — to dyktował Wołkowowi projekty bezużytecznych rozporządzeń i wezwań do narodu. Zostali posłani do Petersburga czterej żołnierze z manifestami do narodu, przyczem każdy otrzymał po sto czerwonońców. Lecz w tym czasie, gdy Wołkow pisał manifesty w Peterhofie, Tieplow pisał podobne w Petersburgu.

Nadeszła godzina obiadowa. Dzień był spokojny, upalny. Całe towarzystwo zgrupowało się na wybrzeżu morza, przy Monplaisir. Tu nakryto stoły i wszyscy zasiedli do obiadu. Pod koniec obiadu dały się słyszeć dźwięki trąb i bębnow. To zbliżały się z Oranienbaumu przyprowadzone przez Izmajłowa pułki holsztyńskie. Była godzina siódma wieczór.

— Wierni służdy waszej carskiej mości przybyli, — rzekł feldmarszałek Minich: nabierzcie, panie, męstwa!... stańcie na ich czele i idźcie na Petersburg. Macie tam, panie, jeszcze niemało przyjaciół. Stolica opamięta się i nawróci na drogę swego obowiązku. Ja pierwszy złożę siwą głowę za mego cara...

Słowa starego zwycięzcy pod Stawucznanami wywarły dręczące, przykre wrażenie. Damy zaczęły szeptać mężczyźni — porozumiewać się wzrokiem. Wszyscy czuli, że coś zwykłego, spokojnego i przyjemnego odsuwa się od nich i staje się nieprzyjemnym, niespokojnym, groźnym.

Oddziałom holsztyńskim kazano iść do zwierzynca i tam na wybrzeżu morza budować baterje. Minich kreślił miejsca na okopy; Izmajłow zajął się spisaniem komend baterji. Nadszedł wieczór.

Lecz nadeszła nowa groźna wiadomość. Do Gostilic przyjechał majordomus Razumowski

i oznajmił, że caryca i z nią więcej niż piętnaście tysięcy wojska wyruszyło ze stolicy i pełnym marszem idą na Peterhof. Damy rozplakały się, wszczęły krzyk. Ktoś półgłosem rzekł, że już jeżeli ma się czekać ataku, to lepiej powrócić do Oranienbaumu, — tam forteca. Słowa te wywołały ogólny zamęt. Wszyscy dawali rady, jedną od drugiej mniej wykonaną, spierali się i nikt nikogo nie słuchał.

— Pańskie, feldmarszałku, zdanie? — zwrócił się car do Minicha: co pan powie o proponowanej rejteradzie?

Minich zamyslił się. Surowa, śmiała twarz jego zapadła się; w oczach widniał wyraz litości, gniewu i wstydu.

— Rejterada? — wyrzekł, kręcąc głową: czego się spieszycie?... jeszcze zdążycie... A zresztą, te miejsca do zabaw... tu nas, przypuszczam, wyłapią, jak myszy...

— Więc gdzie, na miłość boską proszę, gdzie?..

— Do Kronsztadt! — rzekł Minich: jest jeszcze w pańskiej władzy. Komendant Liwers — pewny sługa... I jeżeli my zawczasu tam zdążymy, okręty jego i armaty zmuszą do mówienia inaczej i pańską nieposłuszną małżonkę, i stojący po jej stronie Petersburg!..

— Dobrze, że domyśliliśmy się! — odpowiedział car: do komendanta posłany Dewier, szykować *dessant*...

Propozycja Minicha została przyjęta. Posłano do Oranienbaumu po jacht i galere. Zanim przybyły, zaczęło się zmierzchać.

Była godzina dziesiąta wieczór. Całe towarzystwo szalupami przejechało na statki.

Na carski jacht, do pomocy marynarzom.

wprosili się niektórzy z oficerów gwardji i armji. Między nimi był przybyły z pułkami holsztyńskimi Mirowicz.

Powiał lekki przybrzeżny wiatr, lecz kiedy ostatecznie ściemniło się, ucichł. Żagle opadły. Jacht i galera posuwały się przy pomocy wiosel. Fale ledwie kołysały się. Morze zasnęła mgła.

Kończyła się pierwsza godzina w nocy, kiedy podróżni zbliżyli się do Kronsztadu.

— No, cóż mi ofiaruje zbliżający się dzień moich imiennin? — myślał, siedząc przy burcie na pokładzie, Piotr Fiedorowicz: jakie to rozkazy wydali w Krosztadzie Liwers i Deviers?

W tym czasie, gdy jacht i galera płynęły przez morze, w Petersburgu już krążył w odpisach pierwszy imienny rozkaz Katarzyny do senatu: „Panowie senatorzy! Występuję teraz z wojskiem, ażeby umocnić i upewnić tron, pozostawiając wam, jako pierwszemu memu rządowi, z całym zaufaniem, pod strażą, ojczyznę, naród i syna mego“.

Zaopatrzone w instrukcje senatu, wice-admirał Iwan Łukjanowicz Tałyzin przyplynał do Kronsztadu na łodzi sześć wiosłowej przed wieczorem. Nakazawszy wiosłarzom milczenie, poszedł do komendanta Liwersa, powiedział mu, że w Petersburgu niedobrze i że, wskutek tego, uważał za obowiązek podążyć do floty. Od Liwersa Tałyzin skierował się do koszar. Tam zebrał bardziej pewnych oficerów i marynarzy, opowiedział im o upadku partji holsztyńskiej i o przysiędze Petersburga, i zaproponował flocie stanąć po stronie nowej carycy. Wszyscy krzyknęli wiwat, i udali się z Tałyzinem do komendanta.

— Co to za hałas? — spytał, spotykając ich Liwers.

Z komendantem stał przysłany po posiłki adjutant cara, hrabia Deviers.

— A oto co, panowie moi,—odpowiedział drażliwy i uprzejmy w obejściu Iwan Łukjanowicz: panowie nie mieliście tyle odwagi, ażeby domyślić się i aresztować mnie, więc darujcie, a ja was przy tej sposobności aresztuję..

Z Liwersem i Deviersem został aresztowany i kapitan portu, który zawołał do marynarzy:

— Czego patrzycie na niego?... wiążcie buntownika!..

Tałyzin odebrał od całej załogi przysięgę, przy wejściu do portu postawił pewne warty, armaty baterji kazał nabić kulami i wyszedł do przystani.

Morze cicho pluskało o niski brzeg, o słupy i kamienie wieży strażniczej.

— Ludzi w Krosztadzie nadzwyczaj mało, ażeby obstawić tak obszerny port,—rozmyślał Tałyzin, chodząc tam i z powrotem po wybrzeżu: czy przysłał, jakim prosił, na sukurs żołnierzy z Pitra? A to, żeby nie nadjechał tu niedobry gość z Arenboga, — tak wtedy nazywano Oranienbaum lub obecny, ludowo Rambow.

Skierowawszy lornetę na morze, Iwan Łukjanowicz niespokojnie wpatrywał się, czy nie płynie z „Arenboga“ niedobry gość.

Mgła nad morzem nie rozpraszała się, Księżyc się nie pokazywał Iwan Łukjanowicz obszedł wszystkich wartowników.

— Kto na strażce?—zawołał na wartownika, stojącego przy wejściu do portu na wązkim płaszczystym przesmyku..

— Tryfon Awerjanow,—odpowiedział z poza

pagórka głos młodego wartownika, chodzącego w zmroku po wilgotnym piasku.

— Patrz-że, Awerjanow, i wyglądaj gości, — krzyknął do niego Tałyzin: a nadjadą, dawaj głos, żeby jechali precz... strzelać będziemy... Masz tubę?..

— Nie mam.

— No, mały, patrz; a ja przyszlę..

A gość z „Arenboga“ akurat nadjechał.

W mglistym zmroku zarysowały się czarne maszty i reje dwóch powoli, o wiosłach, podpływających statków. Coś zaszeleściło i wpadło do wody.

— Kotwice zapuszczają,—pomyślał, powstrzymując oddech, Tałyzin. Dał umówiony sygnał do sąsiednich baterji. Z wyszki było wyraźnie słychać, jak na przybyłych statkach ktoś cicho dawał rozkazy, jak z jachtu, a potem i z galery, spuścili szalupy i jak, szeleszcząc sukniami i piszcząc ze strachu, na widok kołyszących się, ciemnych fal—zaczęły z burty schodzić do łódki damy.

Ośmiowiosłowa, a za nią czterowiosłowa szalupa wyłoniła się z mgły i powoli, bezdzwicznie zaczęły podpływać od zatoki ku piaszczystemu przesmykowi. Z najbliższej łódki na brzeg przrzucono deskę. Car, za nim Minich i Gudowicz szykowali się do wyjścia na płaski, bielejący w mroku przesmyk.

— Kto idzie? — rozległ się w ciszy odważny okrzyk marynarza Awerjanowa.

— Imperator! — odpowiedział Gudowicz.

— Niema u nas więcej imperatora,—odezwał się ten sam głos.

— Oto jam sam, wasz car! — wyrzekł Piotr Fiedorowicz, zrzucając płaszcz i w białym mun-

durze posuwając się do dzioba kołyszącej się łódki: rozkazuję przepuścić mnie i moją świtę.

— U nas caryca, mateczka Katarzyna Aleksiejewna, a nie car—odpowiedział Tryfon Awerjanow: i jeżeli wy, panowie oficerowie, nie odejdziecie stąd, władza będzie bomby rzucać..

— Naprzód, wasza carska mościł ręką!—rzekł Minich: nie słuchajcie tego bałwana. Nikt nie ośmielił się sprzeciwić swemu carowi.. Garnizon zobaczy was, i Kronsztadt za godzinę będzie u waszych nóg.

Gudowicz i Ungern poparli słowa Minicha. Piotr Fiedorowicz gotów był wyskoczyć na brzeg i zwłóczyć.

— Czyż ja, kochający wojsko, ja, w głębi duszy stoik i żołnierz, okażę się małoduszny tchórzem, nie zdecyduję się? — myślał, czując, jak silnie biło mu serce. Ciemne fale głucho pluskały o brzeg. Zarysy miasta i fortów niewyraźnie wylaniały się z mgły.

Przy wieży strażniczej dała się słyszeć komenda artyleryj-ka. Na ukrytej w mroku najbliższej baterji błysnął zapalony lont. Z łodek, z zatoki dobiegały wystraszone głosy dam.

— Nie—rzekł Piotr Fiedorowicz: o siebie się nie obawiam, Lecz nie jestem sam... Kule nie będą rozróżniać, komu nieść mają zgubę, kogo oszczędzać..

On i jego przewodnicy zawrócili. Galera i jacht tak szybko uciekały na morze, że nie zdążyły nawet podnieść kotwic; liny ich, w zamieszaniu i tłoku, przecięto toporami.

Była godzina druga po północy. Powiał wietrzyk poranny. Ożyła ciemna morska głębia. Biały ranek szedł na spotkanie białej nocy czerwcowej.

Car siedział na pokładzie. Świta oddzielnymi

gromadkami szeptała na boku. Twarze wszystkich były ponure, smutne.

— Nie zdążyłem dać ci pełnej wolności, nie zdążyłem! — myślał Piotr Fiedorowicz, patrząc z burty w mglistą dal: wybacź, bracie! wybacź... Nie żyć nam tutaj... Niezrozumiale i dziwnie postawił nas los. Ja byłem oderwany od szwedzkiego, ty od ruskiego tronu. Spotkaliśmy się... Tyś był imperatorem czterysta dni; ile mnie sążone jest panować?..

Jacht płynął. Piotr Fiedorowicz nie spuszczał oczu z morza.

Wydawało mu się, że przy burcie, ledwie oświetlony bladym świtem, towarzyszył mu czyjś cień. Zgrabny i blady, z długimi włosami, młodzieniec unosił się nad falami, obok niego.. Przypomnił sobie Piotr Fiedorowicz, jak błagał o nieodkładanie uwolnienia jego.

— W głuszę, w lasy — myślał Piotr Fiedorowicz: dlaczego wtedy nie posłuchałem go, dlaczego sam, jak zdecydowałem, nie wyprowadziłem go na wolność z głuchego więzienia?.. Gudowicz dziś powinien być jechać po niego, a ja zamierzałem natychmiast go zaręczyć i ogłosić... Oto siedzi i jego narzeczona. Cóż z nim?.. żeby choć już się wyrwał teraz: gdziekolwiek uciekł z willi Gudowicza..

Zbliżał się brzeg. Świtało.

— Gdzie pan rozkaze? — spytał Gudowicz cara: do Peterhofu czy do Oranienbaumu?

Car zwrócił się do Minicha.

— No, feldmarszałku, — rzekł: widzę teraz wyraźnie i żałuję, że nie w całej pełni posłuchałem pańskich rad... Naucz, niezwycięzony i mężny, jak wyjść z naszej obecnej sytuacji?..

— Do wiernego Rewla, do eskadry! — odpowiedział Minich: ztamtąd do armji zagranicznej.

Wojsko przyjmie was, panie, prześladowanego, z zachwytem. Powracajcie z niem, panie, i ręczę, Petersburg i całe państwo znów będą wasze...

— Lecz niema wiatru! — wtrąciły się damy: czyżbyż wciąż wiosłami?.. wiosłarze się zmęczą... do Rewla!.. zgroza... co robić wtedy?..

— Eh, głupstwa! — rzekł feldmarszałek: a nasze ręce na co?.. sami weźmiemy się do wiosel i będziemy wiosłować...

Car widział przed sobą twarz zdecydowanego, żelaznego starca i bezradne, wystraszone, błagalne twarze młodych kobiet, i nie wiedział, z kim się zgodzić i kogo słuchać.

Rzeczkie powietrze morza i naprężenie niepokojnej, bez snu spędzonej nocy, drażniły cara, gniewały go. Spojrzał na zbliżający się brzeg, z kąd już ciągnęło znanym, smolnym zapachem zielonych wzgorz i lasów. Zapachniało porannym dymkiem. Piotr Fiedorowicz poczuł przyjemny apetyt na śniadanie, na fajkę. Jego ulubiony tytoń wyszedł jeszcze w Petersburgu. Przypomnił sobie syczący na masle kotlet barani, skrzydełko kurczęcia, z groszkiem i świeżemi grzybkami, partję starego burgunda, przysłanego mu przez kogoś w prezencie z Holsztynji, i paczkę długich cygar fidibusów, zapomnianych rano w pałacu, na stosie nieprzejrzanych wieczorem papierów, i wydał Gudowiczowi rozkaz skierowania się do Oranienbaumu.

Jacht i galera znów przyplłynęły do brzegu. Mirowicz przytrzymał schodki, po których car zeszedł na przystań. Widząc, jak drżały policzki i całe ciało Piotra Fiedorowicza, Mirowicz przypomniał sobie przykazanie masonów: „Wielkość ziemską — proch, nieskazitelna — jedna wieczna nieomylna prawda“.

— O, gdybym mógł być mu użytecznym w tym czasie!...

Tałyzin dojrzał przez lornetę z wartowni kronsztadzkiej odwrót podróżników, zdjął kapelusz, obtarł twarz i przeżegnał się.

Udał się do miasta, lecz skręcił z drogi i zaszedł na piaszczysty przesmyk, gdzie wciąż jeszcze zapomniany przez nocną zmianę kroczył po wilgotnym, bielejącym przesmyku Tryfon Awerjanow.

— Zuch! — zawołał do niego ochryłym, zmęczonym głosem Tałyzin.

Awerjanow drgnął i sprezentował broń.

Przykro było w głębi duszy dziarskiemu, sprytnemu marynarzowi. Rodem z Suzdala, niedawno dostał się do floty. Szare, proste oczy jego patrzyły niesmiało, powieki spuchły z bezsenności. Suchy z garbikiem nos niespokojnie wpatrywał się w szarą mgłę poranną, w której zniknęli nocni goście.

I nigdy potem, w długie, surowo spędzone życie, marynarz Tryfon Awerjanow, w zakonie starzec Tryfilij, zmarły w osiemdziesiątym roku życia służką klasztornym metropolity moskiewskiego Filareta, nigdy potem nie mógł zapomnieć ani tej nocy, ani swej odpowiedzi niewysokiemu, z płaską pierśią, w białym mundurze, człowiekowi: „U nas nie imperator, a caryca; nie odjedziecie władza będzie bomby rzucać“...

Dalsze losy bohaterów zawarte są w romansie p. tyt.
Katastrofa w Szlisselburgu.



154531

P. T. Prenumeratorzy proszeni są o przysyłanie na wszelkie reklamacje 25 gr. na odpowiedź, a na zmianę adresu 50 gr. w znaczkach pocztowych.

ADMINISTRACJA

Biblioteki Nowości w Warszawie

W WIEKU NERWOWYM LEO BELMONT

BEZDRZEWNY PAPIER
Cena 7 złotych

Ta powieść zainicjowała kierunek psychologiczny w naszej beletrystyce i jest świetnym dokumentem epoki. Posiada wdzięk nieprzemijający, subtelnie maluje dusze o przeczulonych nerwach. Wstrząsa obrazami obłędu. Na tle dziejów miłości porusza zagadnienia wieczne. Mówi o tajemnicach szczęścia.

DO NABYCIA
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

Do Biblioteki Nowości w Warszawie.

DEKLARACJA

Ja niżej podpisany

Zawód

Zamieszkały

Poczta

Zamawiam i zobowiązuję się uiścić prenumeratę
KSIĄŻEK WYTWORNYCH

BIBLIOTEKI NOWOŚCI W WARSZAWIE

na jeden kwartał za 27 — zł (tomów 6), płatnych odrazu, lub
w trzech ratach miesięcznych a 9. — zł., lub prenumeratę
KSIĄŻEK ESTETYCZNYCH

BIBLIOTEKI NOWOŚCI W WARSZAWIE

na pół roku za 21.—zł. (26 tomów) płatnych odrazu, lub w trzech
ratach miesięcznych a 7.—zł. Pieniądze wpłacam jednocześnie z wysta-
niem deklaracji na Nr. P. K. O. 13355, przesyłam przekazem pocztowym,
lub listem poleconym wraz z deklaracją. Deklaracja powyższa nie może
być ani cofniętą ani zmienioną.

UWAGA: Niepotrzebne skreślić.

Podpis:

Niniejszym zamawiam za pobraniem pocztowym następujące książki w oprawie a 1.50 zł tom. Związki spokojne 2 t. M. Decobra, Będzie jak było G. Olechowski, Kat miasta Bernu F. Cooper, Symfonia wichrowa 2 tomy J. Rzepecka, Pieśń ulicy, Ludzie w maskach Smolarski, A gdy komunizm zapanuje 2 tomy Jezierski, Romans Znajdy J. Relidzyński, Manowce sławy M. Hr. Łubieński, Przygody Tadzia na obczyźnie C. Marion, Za ocean bez pieniędzy Krzewiński, Jutro o święcie, Chrystus zmartwychwstał, Ostatni Dzień Urwancew, Maryśka J Maciejowski. Czerwone Jaskółki M. Jarosławski 3 tomy.

Podpis.

UWAGA: Niepotrzebne skreślić.

DRUK

5 groszy

DO

BIBLIOTEKI NOWOŚCI

w **WARSZAWIE**

ul. Krakowskie-Przedmieście 93.